KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 6/212** **1965**



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. DERY : **SYNOWA**

G. DE CERIZAY : **LITERACI WARSZAWSCY**

P. SZANDRUK : **HISTORYCZNA PRAWDA O UKRAIŃSKIEJ ARMII NARODOWEJ**

B. BRODZIŃSKI : **GOSPODARKA POLSKA NA PRZEŁOMIE**

SPIS RZECZY

Bohdan Brodziński:	*Gospodarka polska na przełomie* ..	3
Mieczysław Korczyński:	*„Na przełomie" — czy w stojącej wodzie*	10
	◆	
Paweł Hostowiec:	*Notatnik nieśpiesznego przechodnia*	17
Tibor Dèry:	*Synowa*	26
	WIERSZE	
Kazimierz Wierzyński:	*Quai d'Anjou*	57
Bogdan Czaykowski:	*Własny rytm morza*	61
Bogdan Czaykowski:	*Budowa przestrzeni*	61
Bogdan Czaykowski:	*Gwałtownikami kogo nazywamy dziś?*	63
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Juliusz Mieroszewski:	*Zjednoczenie Europy a ideologia* ..	64
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	71
	KRAJ	
Gaston de Cerizay:	*Literaci warszawscy a prorosyjskość doktryny Hallsteina*	77
	SĄSIEDZI	
Paweł Szandruk:	*Historyczna prawda o Ukraińskiej Armii Narodowej*	85
M.K. Dziewanowski:	*Pamiętniki gen. Szandruka*	103
—	*Za co gen. Szandruk dostał Virtuti Militari*	106
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Michał Chmielowiec:	*Katolicyzm postępowy??*	108
	NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI	
Tadeusz Święcicki:	*Z kronik Buchenwaldu*	118
	KRONIKA KULTURALNA	
—	*Maria Dąbrowska*	125
Zbigniew A. Jordan:	*Zarysy systematyzacji nauk społecznych*	126
Jan Szczepański:	*Malewski*	134
—	*Stanisław Lam (1891-1965)*	136
—	*Alfons Bronarski (1891-1965)*	137
—	*Maria Kosko (1908-1965)*	138
—	*Komunikaty*	138
	1) *Polski Inst. Naukowy w Ameryce*	
	2) *Polska Biblioteka Uniwersytecka w Australii*	
	3) *Polskie sukcesy w Monaco*	
	4) *Nagrody literackie*	
	5) *Witold Gombrowicz*	
	KSIĄŻKI	
Maria Czapska:	*„Zaklęte lata"*	142
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	144
—	*Wydawnictwa „Biblioteki Kultury"*	145
	◆	
Zofia Hertz:	*Humor krajowy*	148
K. Akuła, J. Giełdud, A. Jacewicz, Zb. Jasiński, T. Katelbach, H.Z. Komar, J. Luczyszyn, J. Mackiewicz, A.W. Rudziński:	*Listy do Redakcji*	150

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Czerwiec - Juin 1965

INSTYTUT LITERACKI

ZBIÓRKA NA NAGROBEK DLA A. M. SWINARSKIEGO

Znany poeta i dramaturg, *Artur Maria SWINARSKI* zmarł nagle we Wiedniu, gdzie przebywał od kilku lat na emigracji. Pogrzebem i nagrobkiem zajęło się Stowarzyszenie Polskiej Kultury i Wzajemnej Pomocy w Austrii. Koszty nagrobka przekraczają jednak skromne możliwości Towarzystwa. Redakcja „Kultury" przekazała na powyższy cel F.500,00. Wpłaty można przekazywać na konto Stowarzyszenia Polskiej Kultury (Wien VIII, Fr. Schmidplatz 4) konto w: Creditanstalt-Bankverein, Wien Schekkonto 24-93849.

Wspomnienie o A.M. Swinarskim wraz z jednym z jego utworów, który otrzymaliśmy od niego przed samą śmiercią, ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Kultury".

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

L. Demby, Nomansland, Wilts (W. Brytania), po raz szósty .... F. 14,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, New York, po raz trzeci ..... " 300,00
Dr. med. Leszek Ochota, Silver Spring, Maryland (USA) zamiast kwiatów na grób inż. Franciszka Ochoty, zmarłego na Śląsku Polskim ..... " 122,00
Inż. Z. Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty ..... " 45,00
Dr S.N. Korzeniowski, Ladd, Ill. (USA), po raz czternasty ..... " 73,50
M. W. K. (Australia), po raz dziesiąty ..... " 55,00

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Gospodarka polska na przełomie

Poniższe uwagi idą po linii szukania rozwiązań niepersonalnych i niepryncypialnych. Nie wychodzą mianowicie z założenia, że niezbędnym warunkiem jest zastąpienie X-a przez Y-a, czy usunięcie Z-a; ani że warunkiem jest zmiana ustroju. Ograniczają się one do przedstawienia reform możliwych w istniejącym obecnie ustroju.

◆

Polska znajduje się obecnie w sytuacji wykazującej duży paralelizm do sytuacji sprzed dziesięciu lat. W tamtym okresie napór stalinizmu przeciwko wsi doprowadził do ciężkiego kryzysu rolnego, objawiającego się spadającą produkcją, kurczeniem pogłowia zwierząt, zmniejszaniem użytków rolnych. Śmierć Stalina i następujące po niej procesy reformatorskie uchowały Polskę od katastrofy na miarę ukraińskiego wielkiego głodu z lat trzydziestych. Widmo katastrofy głodu rzuciło Polskę na drogę reform w dziedzinie rolnej, które poszły dalej niż w pozostałych państwach bloku socjalistycznego i dokonane były mimo niezadowolenia i opozycji większości tych państw. W rezultacie druga połowa lat pięćdziesiątych jest w Polsce okresem dość znacznej poprawy, wyrażającej się widomym wzrostem stopy życiowej.

Okres bieżący, tzn. lata 1961-1965, jest okresem zastoju a nawet pogarszania się sytuacji ludności Polski. Tego rodzaju rozwój sytuacji był zresztą przewidywany i w tym kierunku szły założenia planu gospodarczego na ten okres. Oto co mówi na ten temat oficjalne źródło krajowe (A. Karpiński, *The Polish Economy* 1961-1965, Warszawa 1962):

„Nieco niższa niż w ubiegłych pięciu latach stopa wzrostu konsumpcji na głowę ludności, planowana na lata 1961-1965 tłumaczy się faktem, że dostawy produktów rolnych na rynki miejskie są niewystarczające na pokrycie istniejącego popytu... W związku z tym głównym celem zmian w strukturze konsumpcji jest maksymalne zwiększenie konsumpcji... trwałych dóbr konsumpcyjnych i zwiększenie budownictwa mieszkaniowego".

Praktyka okazała się jeszcze gorsza niż przewidywania planu. Sytuacja wyżywieniowa uległa pogorszeniu, objawiającemu się — w przeliczeniu na głowę ludności — spadkiem spożycia artykułów wysokowartościowych (mięsa, masła) i wzrostem spożycia artykułów zbożowych i ziemniaków oraz zwiększeniem się udziału wydatków na żywność w budżetach gospodarstw domowych. Planowana kompensata konsumenta w formie zwiększonego budownictwa mieszkaniowego i dostaw trwałych dóbr konsumpcyjnych nie nastąpiła. Plany budownictwa mieszkaniowego rewidowano w dół szereg razy, jednak nie były one wykonywane. W tej dziedzinie szczególnie cierpi wieś. Ogólnie, według obliczeń ekonomistów krajowych (por. np. artykuł w „Przeglądzie Związkowym" z września 1964) ilość izb zbudowanych w omawianym okresie była o około 27% mniejsza niż minimum potrzebne do utrzymania poziomu istniejącego na początku okresu. Natomiast wspomniana produkcja trwałych dóbr konsumpcyjnych w sporej części trafiła nie do konsumenta a do magazynów jako „wzrost zapasów". Przyczyną była bądź polityka prohibicyjnych cen (np. na telewizory), bądź produkcja dla planu a nie dla rynku.

Dalej należy wymienić, że nawet w dziedzinach będących oknem reklamowym socjalizmu, a więc w oświacie, kulturze i służbie zdrowia zaobserwować się daje spadek lub zahamowanie wzrostu odnośnych wskaźników. Wskaźniki korzystania z transportu wykazują spadek już od 1958 r. Wreszcie w okresie tym uległ również zmniejszeniu margines wolności jednostki.

Jednak czynnikiem, który gra rolę zasadniczą i stwarza atmosferę kryzysowości jest sytuacja na rynku pracy. W najbliższej pięciolatce trzy i pół miliona młodzieży powiększy szeregi ludności zdolnej do pracy. A przecież już w tej chwili istnieje problem zatrudnienia, objawiający się choćby w nieśmiałych i niepełnych statystykach GUS-u: liczba „poszukujących pracy" wzrasta z roku na rok, przekraczając w 1963 r. 60.000 osób. („Mały Rocznik Statystyczny" 1964, GUS). Dochodzi do tego chroniczny nadmiar ludności na wsi. Niedawno, dość powierzchowny przegląd wykrył we wsiach jednego tylko województwa rzeszowskiego ponad 100.000 „zbędnych ludzi" („Głos Pracy", 3 luty 1965). A województwa: warszawskie, łódzkie, lubelskie, krakowskie, kieleckie, białostockie mają ekonomiczno-społeczną strukturę bardzo zbliżoną do woj. rzeszowskiego. Nawet uwzględniając niezbyt rygorystyczne kryteria stosowane w przeglądzie „Głosu Pracy", można obliczyć, że wymienione województwa dysponują już w tej chwili około milionem osób, dla których trzeba by znaleźć miejsca pracy. Miejsc tych nie ma, a w „Tymczasowych wynikach gospodarki polskiej" za r. 1964 GUS podaje jako osiągnięcie, że wzrost zatrudnienia był mniejszy niż planowano.

Wszystkie te czynniki sprawiają, że w gospodarce polskiej zarysowuje się kryzys na miarę kryzysu sprzed lat dziesięciu. Wtedy źródło kryzysu leżało na wsi, dziś przesunęło się ono do miast. Ale ogólny efekt społeczny jest podobny w obu wypadkach. Reformy popaździernikowe przyniosły poprawę na kilka lat. Można

postawić i obszernie uzasadnić tezę, że obecny kryzys jest wynikiem zatrzymania lub niekiedy nawet odwrócenia procesów reformatorskich zainicjowanych w tamtym okresie. Gdyby kierownictwo polskiej gospodarki samo wystąpiło dziś z tą tezą, nie byłoby ono unikatem w obozie socjalistycznym. Oto w pierwszej połowie marca br. Istvan Szirmai, sekretarz CK Węgierskiej Partii Komunistycznej, stwierdził w wywiadzie telewizyjnym: „Robimy błędy... Nie powinniśmy powtarzać wszystkich dawnych doświadczeń radzieckich, sami powinniśmy być pionierami". Jednak bardziej owocne będzie przeanalizowanie obecnych możliwości i omówienie kroków potrzebnych do załagodzenia kryzysu.

Zogniskowanie się kryzysu w dziedzinie zatrudnienia świadczy, że źródła zła trzeba szukać w polityce inwestycyjnej lat ubiegłych. Nie można się tu powoływać na zaniedbania Piłsudskiego czy Bolesława Chrobrego. Polska Ludowa skończyła już dwadzieścia lat. W okresie tym miliony ludzi cierpiało, pracowało nad siły, znosiło największe wyrzeczenia „dla dobra przyszłych pokoleń". No i przyszłe pokolenia przyszły. Okazuje się, że konwencjonalny szablon inwestycyjny zawiódł. Pierwszym wskazaniem jest więc zrewidowanie zasady o pierwszeństwie przemysłu ciężkiego. Łączy się z tym zagadnienie co najmniej tak samo ważne. Polska produkuje obecnie przeszło 8 milionów ton stali. Jest to ilość wystarczająca np. na pokrycie światowej produkcji samochodów. Co się dzieje z tą stalą? Jaki jest bilans stali? Wiadomo, że nowoczesne niemal w pełni zautomatyzowane stalownie produkują miliony ton przy udziale paru tysięcy pracowników. A więc wyprodukowanie paru milionów ton surowej stali i wyeksportowanie jej w tym stanie da zatrudnienie paru tysiącom hutników i paru setkom kolejarzy. Ale przerobienie tej samej stali na zegarki, aparaty filmowe, maszyny do pisania i liczenia, stwarza zawrotne możliwości dla rynku pracy. Innymi słowy Polski nie stać było, i nie stać obecnie, na gigantyczne inwestycje produkujące półfabrykaty o minimalnej zawartości czynnika pracy. W związku z tym powinny ulec rewizji obecne plany perspektywiczne, które przewidują potrojenie polskiej produkcji stali i podwojenie produkcji węgla. Realizacja tych planów przyniosłaby korzyść przede wszystkim odbiorcom polskich surowców i półfabrykatów, a więc Czechosłowacji, NRD i ZSSR, zwłaszcza przy istniejącym systemie wyceny produktów, nie uwzględniającym w pełni kosztu inwestycji. Wycena ta winna włączać nie tylko odpowiednią amortyzację, ale i procent od inwestycji; procent jest miarą i wskaźnikiem tych możliwości, które utraciło się, podejmując daną inwestycję. Czynniki te winny być brane pod uwagę zarówno w ustalaniu poziomu cen, jaki Polska winna negocjować ze swymi partnerami zagranicznymi, jak również w podejmowaniu decyzji inwestowania. Polska jest krajem niedoinwestowanym, ubogim w środki produkcyjne, stąd procent od kapitału kształtuje się na poziomie wysokim. Przed przyjęciem wielkich projektów inwestycyjnych, które mają służyć głównie sąsia-

dom Polski, Polska powinna zapewnić sobie udział tych sąsiadów w finansowaniu inwestycji. Próby robione w tym kierunku (np. udział Czechosłowacji w polskich kopalniach siarki) były nieśmiałe i nie wiadomo czy uległy sfinalizowaniu. W odniesieniu do Czechosłowacji można by stworzyć specjalną komisję mieszaną do spraw inwestowania i do zwiększania ruchliwości siły roboczej na terenie obu tych krajów. Zagadnienie znane jest z powojennej historii Czechosłowacji, gdzie zrobiono duże postępy w rozmieszczeniu licznych obiektów gospodarczych na terenie Słowacji.

Niezależnie od szukania właściwych rozwiązań w ramach bloku socjalistycznego należy wykorzystać nadarzające się możliwości na zewnątrz bloku. Dużego rozgłosu nabrała inicjatywa Kruppa tworzenia zakładów w Polsce dla produkcji kooperatywnej z zakładami w NRF. Jest to niemal podręcznikowy przykład właściwie pojętego podziału ról między krajem niedoludnionym i bogatym w kapitał, a krajem przeludnionym i kapitałowo ubogim (jako ciekawostkę można odnotować na marginesie, że jako kraj niedoludniony występuje tu NRF z gęstością zaludnienia 221 osób na km. kw., a jako przeludniony Polska z 98 osobami na km. kw.). Tego rodzaju współpraca jest z wielu względów korzystniejsza od przywożenia siły roboczej, nie stwarza bowiem konieczności tworzenia kosztownego budownictwa mieszkaniowego i „kapitału społecznego" w drugim kraju. Jak mówi źródło niemieckie, Polska cieszy się obecnie w Niemczech popularnością niespotykaną od r. 1830. Koniunktura taka zarysowuje się również i w innych krajach. Komunikat wydany po wizycie Rapackiego w Brukseli wspomina o możliwościach współpracy na tych samych zasadach, a w angielskim przemyśle samochodowym znaleźli się również chętni do budowy zakładów w Polsce.

Ogólnie mówi się o potrzebie zorganizowania „Planu Marshalla" dla Europy Wschodniej, który pomógłby w podniesieniu gospodarki tych krajów, bez względu na ich system rządów. Polska powinna poczynić kroki, aby koniunkturę tę wykorzystać. Należy więc nie tylko nie odrzucać ewentualnych propozycji, ale wychodzić im naprzeciw, występować z własną inicjatywą, brać udział w organizacjach międzynarodowych (np. GATT, organizacji od handlu międzynarodowego i taryf celnych).

Szukanie źródeł kapitału to jedno zagadnienie. Drugim jest ustalenie właściwego kierunku inwestycji. Tu wydaje się, że rolnictwo w dalszym ciągu daje duże możliwości. Mimo ciągłych zapewnień o pomocy dla rolnictwa, jest ono jednak ciągle upośledzone. Tak np. uchwała XII plenum KC zwiększyła inwestycje rolne w latach 1964 i 1965 o 9 mld zł; z tego jednak 3 mld zł przypadły przemysłowi maszynowemu i chemicznemu, 5,6 mld zł PGR-om, a tylko 0,4 mld zł gospodarstwom chłopskim, które dają 93,2% produkcji czystej w rolnictwie*). W tej dziedzinie potrzeba nie tyle kapitałów, co rozsądnych decyzji. Stale powta-

*) *Rocznik Statystyczny* 1964, strona 70.

rza się w Polsce, że żywność będzie kiedyś w przyszłości, natomiast socjalizacja rolnictwa jest tuż za rogiem. Tę chronologię trzeba odwrócić. Żywność może być szybko, jeśli się zdecyduje odłożyć socjalizację. Taka decyzja pociągnęłaby za sobą następujące kroki prawno-administracyjne: 1. komasacja gospodarstw indywidualnych; 2. rozdzielenie zapasów ziemi, znajdujących się w PFZ; 3. przesunięcie strumienia funduszy państwowych z PGR-ów na gospodarstwa indywidualne, zwłaszcza dla celów melioracji i mechanizacji; 4. zmodyfikowanie systemu podatkowego tak, aby mogły utrzymać się „silne, zdrowe i zdolne do wydatnej produkcji gospodarstwa" (cytat z dekretu PKWN z 1944 r.).

Wymienione reformy nie wymagają wielkich nakładów a miałyby natychmiastowe dodatnie skutki gospodarcze: zainicjonowałyby autonomiczny proces inwestycyjny w rolnictwie, stwarzając pewne możliwości zatrudnienia ludności obecnie „zbędnej" i rozwiązałyby problem wyżywienia, zmniejszając jednocześnie trudności bilansu płatniczego.

Gros inwestycji należy jednak do przemysłu i tu należy zwrócić szczególną uwagę na optymalne użycie istniejących środków. Druga połowa lat pięćdziesiątych jest tu znów przykładem. Po okresie tragicznych braków, w latach tych pojawiają się ograniczone ilości towarów i usług „dla ludności", przynosząc natychmiastową ulgę. Obecnie widać, że istniejące metody daleko nie zaprowadzą. Wzrost zapasów oznacza, że ludność nie chce już więcej tych samych towarów, natomiast ciągle istnieją braki różnych produktów. Nie tak dawno „Życie Gospodarcze" podawało, że na rynku polskim brak około 2.000 typów towarów. Rynek wewnętrzny wymaga więcej uwagi. Skończył się okres „rynku sprzedawców", trzeba zainicjować politykę bardziej elastyczną, odpowiednią dla warunków „rynku kupujących". W tym kierunku muszą też iść inwestycje. W pierwszym rzędzie potrzebne jest ulepszenie sieci usług. Po drugie, ruszyć wreszcie powinna motoryzacja, która wszędzie jest generatorem produkcji, zatrudnienia, dobrobytu. Obie rzeczy ściśle się łączą: gęsta i sprawnie działająca sieć usług wymaga dużego taboru samochodowego; zasadniczym warunkiem motoryzacji jest istnienie licznych stacji obsługowych, benzynowych, reperacyjnych. I tu również wydaje się, że istnieje w Polsce potencjał na wykonanie obu postulatów, na przeszkodzie stoi jedynie inercja tzw. czynników.

Większych inwestycji wymaga budownictwo mieszkaniowe. Jest niezrozumiałe dlaczego cegła jest uważana za materiał „deficytowy" i dlaczego produkuje jej się mniej, niż przed pięciu laty; jeszcze gorsze jest, że zakłada się w planie powiększenie w r. 1970 deficytu mieszkań (obecnie jest 120 rodzin na 100 mieszkań, plan przewiduje 127 rodzin na 100 mieszkań w 1970 r.). Gliny w Polsce nie brak, ale budownictwo ogranicza się aby nie zwiększać funduszu płac (!). Rozumowanie takie prowadzi do prostego wniosku, że w Polsce ma być tym lepiej im więcej będzie bezrobotnych. Jest to rozumowanie tragiczne w swej fał-

szywości. Budownictwo mieszkaniowe trzeba rozwijać jak najbardziej. Środki wpłyną od nabywców mieszkań, a oprócz tego można zracjonować strukturę czynszów. Gdy większość nowych lokatorów musi płacić pełną cenę za tzw. mieszkanie spółdzielcze, kontynuowanie dawnych pół-darmowych czynszów jest kosztowną nielogicznością. Wszystkie mieszkania powinny zostać przeklasyfikowane na spółdzielcze, a opłaty wyrównane. Przy okazji należy dać ludności prawo dysponowania mieszkaniami, bo w obecnym stanie rzeczy ludność ta, jak średniowieczny czynszowy chłop, jest przywiązana do ziemi.

Przestawienie się na rynek wymaga również zorganizowania aparatu produkcyjnego. Gdy duża i wzrastająca część produkcji opiera się upłynnieniu i pozostaje w magazynach jako niepotrzebne nikomu „zapasy", pod znakiem zapytania stają statystyki całego dochodu narodowego. Nie ulega wątpliwości, że w sytuacji „rynku kupujących" system planowania centralnego zawodzi, gdyż w tym systemie linie komunikacji są nadmiernie wydłużone i średnio potrzeba dwóch lat by zapotrzebowanie odnotowane na poziomie detalicznym, doczekało się dostawy towaru. W reformach organizacyjnych Polska znów nie byłaby osamotniona. Dyskusja zainicjonowana przez prof. Libermana toczy się od dwóch lat w ZSSR. Z dyskusji tej wynikają jasno nowe zasady operowania przedsiębiorstw socjalistycznych, a więc: 1) „Zysk nie jest cechą właściwą tylko kapitalizmowi" (Liberman), wprost przeciwnie, ma on wielkie zastosowanie jako miernik wydajności i bodziec również w gospodarce socjalistycznej. 2) W dziedzinie dóbr konsumpcyjnych popyt powinien określać produkcję. W wyniku zastosowania tych zasad w lipcu br. 400 fabryk obuwia i odzieży w ZSSR zostanie wyłączonych z systemu planowania i przejdzie na gospodarkę samodzielną. W praktyce wygląda to tak, że określona grupa sklepów współpracuje z określoną fabryką i składa w niej zamówienia według zaobserwowanego popytu; w produkcji i obrocie obowiązują zasady normalnego rachunku ekonomicznego, uwzględniającego amortyzację kapitału i zysk. Podobny system działa już w Czechosłowacji, gdzie nosi on nazwę „systemu trustowego".

Przy tych daleko idących reformach, polskie nieśmiałe (i zarzucone) próby 34 przedsiębiorstw eksportowych, wyglądają jak raczkowanie niemowlęcia wobec szybkobiegacza. Wobec wypróbowanej wyższej wydajności systemu samodzielnych przedsiębiorstw, Polska jest w niebezpieczeństwie nienadążania gospodarczego nawet za swoimi partnerami z obozu socjalistycznego.

Większą rolę mogłoby w tym układzie grać rzemiosło i „prywatna inicjatywa" w ogóle. Ze względu na małą wielkość przedsiębiorstw, sektor ten jest w bezpośrednim kontakcie z konsumentem i ma lepsze warunki na szybkie zaspokojenie zaobserwowanych potrzeb. Tak jak w wypadku indywidualnego rolnictwa ważne są tu reformy prawne. W tej chwili „prywatna inicjatywa" jest klasą prawnie upośledzoną. Nie ma ona prawa ubiegać się o przydział mieszkań ani pomieszczeń przemysłowych; stale

narażona jest na szykany administracyjne wobec których — poza łapownictwem — jest bezbronna; działa na gruncie technicznie nielegalnym, gdyż płaci podatki, które są tak wymierzone przez urząd skarbowy, że zmuszają przedsiębiorstwa do łamania przepisów urzędu cen. Uregulowanie tej sprawy rozszerzyłoby możliwości zatrudnienia i usprawniłoby zaopatrzenie rynku. Znów należy podkreślić możliwości samo-finansowania się tego sektora.

Teoretycznie zagadnienie roli prywatnej inicjatywy zostało już chyba rozpracowane bez reszty. Od dziesięciu lat powtarza się w prasie polskiej w różnych formach argument, że budka z wodą sodową zarządzana przez ministerstwo, centralny zarząd itd. jest jednostką patetycznie nieefektywną i że ta sama budka prowadzona przez jedną osobę spełnia cenną funkcję społeczną. Czas już by przejść od teorii do praktyki i wprowadzić decentralizację i na tym odcinku. Formą najodpowiedniejszą byłoby tu zachowanie państwowej własności odnośnych przedsiębiorstw i udostępnienie ich poszczególnych zarządcom-operatorom na warunkach wynajmu. W ten sposób nie naruszając zasady społecznej własności, można by rozwiązać problem właściwego zarządzania małymi obiektami. Do kategorii takich obiektów należą — poza wspomnianymi budkami — kioski gazetowe, restauracje, drobne przedsiębiorstwa handlowe, usługowe a nawet przemysłowe.

Na odcinku handlu zagranicznego najprostszym sposobem na polepszenie bilansu handlowego wydaje się rozbudowa turystyki. Na krótką metę wystarczy jedno zarządzenie administracyjne, mianowicie zmiana turystycznego kursu złotego, aby rzesze turystów zaczęły napływać do Polski. W rzeczywistości aby turystów tych utrzymać potrzeba wielu imponderabiliów, z których większość została już wymieniona w różnych punktach powyżej; potrzeba więc lepszego zaopatrzenia w żywność, w usługi, w budownictwo mieszkaniowe (niezależnie od hoteli), w obsługę motoryzacji. Dziedziny te tworzą jeden kompleks, a poprawa w jednej dziedzinie automatycznie stwarza lepsze warunki w innych. Stąd ekonomiści operują pojęciem *mnożnika* jako dźwigni gospodarczej. W warunkach polskich należałoby wprowadzić pojęcie *dzielnika;* mianowicie istnienie ciągłych braków stwarza atmosferę depresji, w której pojawienie się każdej nowej trudności hamuje działalność gospodarczą w stopniu bardziej niż proporcjonalnym do swej wielkości.

Powyższe uwagi z pewnością nie wyczerpują zagadnienia kierunku i rozmiarów reform, których wymaga gospodarka polska. Dziewięć lat temu powstała w kraju Rada Ekonomiczna i rozpoczęła się długotrwała dyskusja o „modelu". Pod wieloma względami sytuacja dzisiejsza przypomina ówczesną. I gdy w kraju nie ma już Rady Ekonomicznej i nie ma warunków na prowadzenie dyskusji zasadniczej, warto dyskusję taką przeprowadzić na emigracji. Artykuł niniejszy spełniłby swą rolę, gdyby spowodował wywiązanie się takiej dyskusji.

Bohdan BRODZIŃSKI

Na "przełomie" czy w stojącej wodzie?

Być może, że to chęć szukania rozwiązań „niepersonalnych i niepryncypialnych" spowodowała, że autor „Gospodarki polskiej na przełomie", w swej słusznej analizie sytuacji gospodarczej Polski wymija jakby niektóre z podstawowych faktów, które złożyły się właśnie na ten obraz, jaki w swym artykule podaje.

Nie chodzi i nam o to, by „upersonalniać" rejestr popełnionych błędów i straconych możliwości i czynić z tego akt oskarżenia pod adresem kogokolwiek, gdyż na pewno nie to jest ważne. Ale nie można chyba z pożytkiem omawiać powstały stan rzeczy bez sięgnięcia głębiej — do jego przyczyn.

Przyczyny zaś są ważniejsze i mniej ważne, wewnętrzne i zewnętrzne. Zacznijmy od tych ostatnich. Od tego, co można byłoby nazwać miejscem Polski w Europie, czy ściślej — miejscem jej w RWPG.

Prawie 60% obrotów handlowych Polski dokonuje się z krajami RWPG. Mówi to dostatecznie o znaczeniu, jakie dla gospodarki polskiej mają stosunki z krajami tego bloku. Co Polska sprzedaje i co otrzymuje?

Handel Polski z krajami RWPG da się podzielić na dwie wielkie grupy: jedna to handel jej z ZSRR, przedstawiający połowę całości jej wymiany z krajami RWPG, druga — to handel z europejskimi krajami demokracji ludowych.

Struktura wielkich działów przemysłu w Polsce ustawiona została w uzależnieniu od dostaw surowców, jakie miały płynąć z ZSRR, toteż handel z „wielkim bratem" ma dla gospodarki polskiej niewspółmiernie ważne znaczenie.

Równocześnie jednak rzuca się w oczy, że zaopatrzenie Polski w surowce jest niewystarczające. Nie wiadomo, czy kryją się tu jakieś względy polityczne, ale analiza materiałów statystycznych wykazuje, że ZSRR zaopatruje Polskę w surowce gorzej niż Czechosłowację, czy Węgry, a przede wszystkim — niż NRD, która korzysta z najpełniejszego zaopatrzenia surowcowego w ramach RWPG. Polska musi dokonywać poza RWPG nie tylko wielkich zakupów zboża, ale i innych brakujących jej surowców.

Drugą grupę — także blisko trzecią część całości obrotów handlowych Polski — handel jej z mniejszymi krajami socjalistycznymi Europy można znów podzielić na dwie części: jedna z nich to handel z NRD i Czechosłowacją, a druga — to wymiana z pozostałymi krajami demokracji ludowych.

Zarówno NRD, jak Czechosłowacja występują w stosunku do Polski w roli państw uprzemysłowionych, sprzedających jej wy-

roby gotowe, a kupujących od niej surowce, pół-fabrykaty, czy mniej obrobione artykuły przemysłowe. Częściowo dotyczy to i Węgier. Natomiast zarówno Rumunia, jak Bułgaria — pierwsza dzięki swej opozycji w stosunku do postanowień RWPG, druga — ze względu na poparcie jakie w tym względzie otrzymuje od Rosji, wzbraniają się w układach z Polską przyznawać jej miejsce kraju uprzemysłowionego. Żądają, by Polska za sprzedawane przez nią wyroby przemysłowe kupowała od nich również maszyny i towary przemysłowe.

W konsekwencji Polska zajmuje w RWPG miejsce drugiego po ZSRR dostawcy surowców. Wszystko mogłoby się wydawać normalne, gdyby nie związane z tym „ale"...

ZSRR ma bardzo duże bogactwa naturalne. Dostarczane przez nią surowce uzyskiwane są przy małym nakładzie kosztów i sprzedawane z zyskiem, czy chodzi tu o rudę z przebogatych złóż, czy o ropę naftową, czy o drewno lub inne surowce. W Polsce surowce zdobywane są wielkim nakładem kosztów: węgiel z położonych głęboko złóż, przy niskiej wydajności dziennej górników (ok. 60% wydajności osiąganej w krajach zachodnioeuropejskich, gdzie kopalnie zamykane są z powodu nieopłacalności!), siarka, przy wydobyciu której piętrzą się trudne problemy odwodnienia. Za parę lat dojdzie do tego miedź, ze złóż wprawdzie podobno bogatych, ale położonych w wyjątkowo trudnych warunkach geologicznych, dojście do której połączone jest z wielkimi kosztami. Budowa „własnej bazy surowcowej" kosztuje Polskę bardzo drogo. Olbrzymia część nakładów inwestycyjnych idzie na ten cel. Rola dostawcy surowców i półfabrykatów, jaka przypadła Polsce w udziale w źle ustawionym podziale pracy w RWPG jest dla niej niekorzystna.

W statystykach polskiego handlu zagranicznego figuruje również znaczny eksport inwestycyjny. Cóż składa się jednak na ten eksport?

Przede wszystkim tabor kolejowy: Polska wywozi prymitywne wagony towarowe, kupując drogo np. w NRD, czy na Węgrzech wagony pasażerskie, czy kolejowy sprzęt motorowy. Po szosach polskich jeżdżą autobusy z Jelcza. W Jelczu robiona jest jednak tylko karoseria. Motory sprowadzane są za drogie pieniądze z czeskiej „Skody". Takich przykładów wyliczać można dziesiątki. Skierowanie całego wysiłku na kapitałochłonne inwestycje, z których owoców, w ustalonym podziale pracy, korzystają w poważnym stopniu inni, w kraju takim jak Polska, gdzie do wieku dojrzałego dochodzą liczne pokolenia powojenne, jest jednym z kardynalnych błędów i jedną z przyczyn dlaczego w Polsce w ostatnich latach nie widać poprawy sytuacji gospodarczej, a stagnację, czy cofanie się.

Autor artykułu ma rację, gdy zwraca uwagę na możliwości współpracy polsko-czechosłowackiej. Tylko, że Czesi tej współpracy nie chcą. Popełnili oni sami masę błędów w nadmiernym rozwoju różnych nieopłacalnych, krótkoseryjnych produkcji przemysłowych. Teraz chcą się z tego wycofać. Ale zaprzestanie ja-

kiejś dla nich nieopłacalnej produkcji chcą sprzedać Polakom, jako wkład do „socjalistycznego podziału pracy". Czesi nie zgadzają się na to, by otworzyć możliwości pracy u nich, chociażby w rolnictwie, gdzie brak im jest rąk roboczych, robotnikom z Polski. Trochę elastyczniej pod tym względem postępuje NRD, która zmuszona została do szukania sposobów wypełnienia luk, powstałych przez ucieczki do NRF. Chodzi tu jednak głównie o różnych specjalistów.

Z żadnej więc strony kraje RWPG nie przynoszą poważnej pomocy Polsce, która wciśnięta została w ramach tego bloku na miejsce, gdzie nie ma żadnych perspektyw rozwojowych. Co więcej: rysuje się coraz wyraźniej możliwość, że ZSRR będzie raczej ograniczać swoje dostawy surowcowe m.in. do Polski, niż je rozszerzać.

Wielki odpływ złota z ZSRR na przełomie 1963 i 1964 r., kiedy na zakup zboża musiał on wydać ok. 1 miliarda dolarów, silnie osłabił rezerwy złota w ZSRR. Oceniane są one obecnie na ok. 1½ mld. dolarów. Innymi słowy: gdyby w Rosji miała się powtórzyć katastrofa nieurodzaju, jak w 1963 r., to jej zapas złota, w wyniku zakupu zbóż, stopniałby do zupełnie nie liczących się rozmiarów. W tych warunkach Rosja zaczęła czynić wszelkie możliwe wysiłki dla zdobycia dewiz. Uzyskuje je głównie dzięki sprzedaży surowców. Stąd dla satelitów będzie ich mniej.

W Warszawie wydaje się wciąż istnieć przekonanie o nieograniczonych możliwościach rosyjskich. Tymczasem Rosja jest sama w niezwykle ciężkiej sytuacji gospodarczej i nawet gdyby chciała, to nie będzie mogła wziąć na siebie ciężaru pomocy przy rozwoju gospodarczym krajów satelickich, z których Polska jest w najgorszym położeniu, bo już teraz ma niekorzystny udział w hierarchii RWPG, jako kraj „pośredni", a i dlatego, że w najbliższych latach przeżywać będzie falę napływu licznych roczników młodzieży na rynek pracy. Nie pomogą tu zaprzeczania, że bezrobocia w Polsce nie ma. Już teraz nie daje się go ukryć.

Rumunia w lepszych znacznie warunkach od Polski — zdecydowała się na wyciągnięcie konsekwencji. Szuka ona poza RWPG możliwości, które jej zapewniłyby rozwój gospodarczy.

W Polsce nie wyciąga się wniosków. Ciągle traktuje się RWPG, jako tę najwyższą nadzieję. Robi się wprawdzie wstydliwe pół posunięcia, dla rozwoju handlu i z Zachodem. Głośno było niedawno o delegacji polskiej w Brukseli, dla rokowań ze Wspólnym Rynkiem, ale gorliwie prostowano, że ma ona przeprowadzić tylko „techniczne" rozmowy. Hałas dookoła Kruppa i jego pomysłów inwestycyjnych ucichł. Skończy się może na jakimś odcinkowym, małym porozumieniu.

A więc w układzie RWPG błędne ustawienie i tylko jakieś nieśmiałe próby wydobycia się z niewygodnej pozycji.

Ale półśrodki są wszędzie. P. Brodziński słusznie zwraca uwagę na brak śmiałości w próbach reform w zarządzaniu gospodarką.

P. Brodziński przytacza przykład przedsiębiorstw sowieckich wydzielonych z systemu planowania centralnego i przeciwstawia

im nieśmiałe próby wyodrębnienia 34 przedsiębiorstw eksportowych w Polsce: „raczkowanie" obok „szybkobiegacza". Nie chodzi tu jednak wyłącznie o ilość. Istotne jest, że w bałaganie panującym w systemie gospodarczym w Polsce po prostu nie wiadomo, czy wydzielenie tych 34 przedsiębiorstw dało dobre rezultaty.

Wiąże się to z drugą podstawową sprawą: systemu cen. A także z problemem wartości złotego.

W pewnym okresie czasu, po 1956 r. przejawiała się tendencja do odwrotu od teorii „dwóch rynków" (tj. socjalistycznego i kapitalistycznego) i orientowania się według cen światowych. Skorygowano wówczas najbardziej jaskrawe odchylenia od normalnego układu cen na świecie. Od tego czasu jednak na nowo nastąpiło namnożenie się zupełnie arbitralnych decyzji. Zmieniono wprawdzie przed paru laty tzw. ceny zaopatrzeniowe, urealniając w wielu wypadkach ich poziom, ale ciągle odbiegają one od układu, jaki wynikałby z rzeczywistych kosztów produkcji.

Konfrontacja cen krajowych z cenami światowymi następuje w momencie wywozu jakiegoś towaru. Przy założeniu zdobywania dewiz ze wszelką cenę, mają tu miejsce najdziwaczniejsze odchylenia, od czegoś co można by nazwać najbardziej prymitywną kalkulacją, czy po prostu zdrowym sensem. Dla otrzymania jednego dolara, w transakcji wywozowej, eksportowany jest równie dobrze towar, którego koszt wyniósł w kraju 50 złotych, jak 150 złotych, czy jeszcze więcej. Istnieje w następstwie tego tyle kursów złotego, wiele jest towarów wywożonych. A ponieważ gama towarów eksportowanych rozszerza się, więc prowadzi to do coraz większego zamieszania. Nic też dziwnego, że nie można doliczyć się, czy eksport czegoś jest opłacalny, czy też nie i czy dane przedsiębiorstwo, pracujące na cele eksportowe daje zysk. Jeżeli z przeliczenia uzysku dewizowego wynika, że dolar otrzymano kosztem 50 złotych, to dobrze. Ale przy nakładzie kosztów krajowych na 1 dolara w wysokości 100 złotych — też dobrze, a może być także i przy 150 złotych za dolara! Jak można więc kalkulować, wyceniać wydajność pracy, czy wysokość np. kosztów generalnych, to jest ciężaru administracji?!

W prasie krajowej spotyka się liczne wypowiedzi na temat metod obliczania tzw. efektywności eksportu, to jest właśnie stosunku nakładów kosztów do uzysku dewizowego. Najdziwniejsze jest to, że dyskusja ta toczy się przede wszystkim dookoła problemu jaką metodę rachunku zastosować, a nie porusza spraw podstawowych: układu cen i kursu złotego.

Około 1957 r. podjęto próby dokładniejszej kalkulacji. Próbowano wówczas określić przeciętny kurs dolara. Później zarzucono te próby i w miarę wzrastania liczby transakcji handlu zagranicznego chaos rośnie.

Zwiększają się bezustannie nakłady złotowe, potrzebne dla otrzymania dewiz. W konsekwencji handel zagraniczny wywiera stale rosnący wpływ inflacyjny na całą gospodarkę. Odczuwa to znakomicie społeczeństwo, które wie dobrze, że przyczyny braków

dopatrywać trzeba się w skierowaniu do eksportu towarów niezbędnych dla zaopatrzenia rynku wewnętrznego.

Szczególnie niepopularne są transakcje handlowe z krajami socjalistycznymi, czy z krajami rozwijającymi się, gdyż pomimo prób zachowania ścisłej tajemnicy, dotyczącej wyników zawieranych transakcji, widok „japońskich" sklepów („nagie haki") mówi sam za siebie! Proste wyliczenie, dokonane przez radio „Wolna Europa", że za tonę cukru, kupowanego przez Polskę w ramach „braterskiej pomocy" na Kubie, po sztywnej cenie, określonej w układzie między Chruszczowem a Fidel Castro, trzeba płacić wywozem blisko trzech ton cukru polskiego — nie potrzebuje skomplikowanych komentarzy ekonomistów. Nonsens podobnej sytuacji każdy dobrze rozumie. Obiegło to całą Polskę.

Lunatyczny system cen rzutuje na inne elementy polityki gospodarczej. Stąd rodzą się błędne inwestycje. Na targach czy pokazach zdumienie ogarnia, czego w Polsce się nie produkuje. Przy bliższej analizie okazuje się jednak, że wielka część tej produkcji to rodzaj „sztuki dla sztuki", nie opłacającej się i w konsekwencji zubożającej społeczeństwo. W tych warunkach sama reforma zarządzenia gospodarczego nie przyniosłaby spodziewanych rezultatów. Analizie powinny być poddane zasadnicze elementy, takie jak płace, koszty, ceny, wydajność, kurs złotego itd. itd.

Nie wynika z tego, by i problem zarządzania nie miał stanąć na tapecie najpilniejszych konieczności. Specjaliści od rynku wewnętrznego twierdzą, że gdyby dało się uniknąć produkcji tzw. „niechodliwych towarów", które w postaci „bubli" wypełniają później magazyny sieci handlu wewnętrznego, to przyrost roczny dochodu narodowego na głowę ludności mógłby być zwiększony o połowę.

P. Brodziński słusznie przytacza przykład sowiecki, wydzielenia 400 fabryk obuwia i tekstyliów spod prawideł odgórnego, scentralizowanego planowania, dla przybliżenia ich produkcji, do egzystującego na rynku popytu.

Żeby jednak dojść do reform trzeba chcieć „chcieć". Tymczasem postępujący „zamordyzm" spowodował niebywały rozkwit zasady „nie wychylania się". Powierzchownej gadaniny o niezbędności reform jest w Polsce nie mniej niż w innych krajach socjalistycznych. Ale w innych krajach coś się robi i zmierza się do poprawy. W Polsce tylko się gada. Nic też dziwnego, że w tej gadaninie źródłem dumy stają się czasem fakty, które powinny raczej niepokoić. P. Brodziński ma rację, gdy ze zdziwieniem notuje, że w „Tymczasowych wynikach gospodarki polskiej" za rok 1964, GUS podaje jako osiągnięcie, że wzrost zatrudnienia był mniejszy niż planowano. W kraju, w którym istnieje bezrobocie!

Duma GUS pochodzi zapewne stąd, że osiągnięto większą niż przypuszczano wydajność pracy. Równocześnie jest to dowodem bezradności administracji gospodarczej, która nie umie pogodzić wymogu pełnego zatrudnienia, z dążeniem do wzrostu wydajności. Pod tym względem Polska jest krajem paradoksu: mówi

się w niej równocześnie o niewykorzystanych zdolnościach produkcyjnych, o zapasach materiałowych, o nadmiarze rąk do pracy i o braku licznych towarów na rynku. Co robi w tych warunkach planowanie gospodarcze?

Częściowe tłumaczenie można znaleźć we wszelkiego rodzaju „tabu", krępujących decyzje.

Brodziński przytacza przykład podziału inwestycji tzw. „rolnych", z których chłopi nie dostaną nawet całych 5%, mimo ze produkują ok. 95% masy towarowej, wytwarzanej w rolnictwie. Słusznie zwraca uwagę na problemy takie jak komasacja, czy upełnorolnienie. Ale tu „tabu": nie trzeba wzmacniać indywidualnych gospodarstw chłopskich, nawet „biedniaków", a tym bardziej „średniaków". Ponieważ kiedyś te gospodarstwa będą łączone w większe jednostki zsocjalizowane, więc już teraz nie można poprawiać ich struktury przez komasację, czy ich wydajności przez dostarczenie takiego sprzętu, jakiego do swej produkcji potrzebują. Cierpi na tym oczywiście produkcja. Wydajność tych gospodarstw jest mniejsza. Cierpi bilans handlowy obciążony importem zboża, czy w niektórych okresach i mięsa, ale lepsze to niż perspektywa, że dojdzie do „silnych, zdrowych i zdolnych do wydajnej produkcji gospodarstw", co jak p. Brodziński zauważa... było jednym z założeń dekretu PKWN z 1944 r.

W konsekwencji nie można zwiększać funduszu płacy, bo ludzie zaczęliby więcej kupować chleba i mięsa, które trzeba importować. A to wszystko dla zrealizowania świetlanej przyszłości socjalizacji rolnictwa, która wszystkim innym krajom socjalistycznym bokiem wychodzi i jest istotną przyczyną ich słabości, jak np. w wypadku Zw. Sowieckiego.

Inne „tabu" to stosunek do rzemiosła i usług. Co prawda od czasu do czasu pobierane są uchwały o pomocy dla rzemiosła, ale nie jest realizowana najistotniejsza forma pomocy: odpowiedni przydział surowców. A prócz tego gorliwościom lokalnych satrapów pozostawiony jest wymiar podatków i ewentualne późniejsze „domiary". Rezultat: liczba warsztatów rzemieślniczych maleje. Sieć placówek usługowych jest niedostateczna. Rzemiosło upada, a nie rozwija się.

Polska zyskała sobie sławę kraju o najgorszej kuchni w Europie. Wydzierżawienie pewnej ilości restauracji przedsiębiorcom prywatnym mogłoby poprawić sytuację na tym odcinku i zmniejszyć ilość zakładów restauracyjnych deficytowych (kradzieże!), Ale i to jest „tabu"...

Nie do rozwiązania w polskich warunkach okazują się też problemy turystyki. Polska będzie niedługo obok Albanii jednym z ostatnich krajów w Europie, jeśli zaszeregować ją pod kątem widzenia wpływów z turystyki. Tu znów sprawa nierealnego kursu złotego, przy wzrastającej drożyźnie, niedołęstwo organizacyjne itd. A przy tym niechęć władz bezpieczeństwa do turystyki, pomimo że nawet Rosja nauczyła się cenić dochody z turystyki, wbrew tradycjom stalinowskim.

Jeszcze inne „tabu" — to emigracja zarobkowa. Utrudnia się

ją wszelkimi sposobami. Planifikatorom w Polsce lepiej odpowiada rodzaj neo-maltuzjanizmu, przejawiający się w walce z przyrostem naturalnym (który zmniejszył się w zastraszający sposób). W Polsce dzieci nie powinny się rodzić, bo reżym nie umie prowadzić dobrej polityki gospodarczej. W tym wypadku, akurat w tym jedynym, nie obawiano się jakoś postąpić wbrew temu jak postępują inne, sąsiednie kraje socjalistyczne i nie oglądano się na zupełnie jednoznaczne potępienie nauki Malthusa przez samego Marksa.

Nie. Nie ma żadnych oznak, by za tytułem artykułu p. Brodzińskiego powtórzyć „Gospodarka polska na przełomie". Nic się tam nie przełamuje. Wszystko tkwi po dziurki w nosie w stojącej wodzie niedołęstwa, bałaganu, braku koncepcji, i niekompetencji.

Mieczysław KORCZYŃSKI

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

RAHYB

— Skąd biorą się w górach bandyci? — pyta Sacher-Masoch w jednym z opowiadań karpackich. — Są jak powietrze, jak woda, należą do górskiego krajobrazu.

To samo zapewne można było powiedzieć o górach otaczających od południa Trebizondę, gdzie za wszystkich czasów byli bandyci. Jednego z nich poznałem przed laty w Paryżu. Pewnego dnia przyszedł do mnie mój przyjaciel Fokion Effendi:

— Chodź ze mną, pokażę ci sławnego bandytę spod Trebizondy, siedem razy skazanego na śmierć.

Jechaliśmy długo metrem i wysiedliśmy na przedmieściu Paryża. Potem szliśmy piechotą i zatrzymaliśmy się przed domem wyjętym jak gdyby z obrazu Utrilla. W suterynach jego mieścił się warsztat, w którym myto i naprawiano dywany.

W środku suteryny stał człowiek niewielkiego wzrostu, chudy, o ciemnych oczach. Wyglądał na lat czterdzieści, ale ruchy miał dziwnie młode. Zachowywał się z godnością i swobodą, jaką na Zachodzie posiadają ludzie od dawna zamożni i dobrze wychowani.

W ogródku sąsiedniego bistro nieznajomy opowiedział nam po krótce swą historię. Bandyci uprawiali pod Trebizondą proste i niemal pokojowe rzemiosło. Zatrzymywali na drogach chłopów wracających z jarmarku i odbierali im pieniądze. Chłopi płacili z rezygnacją pobierany od nich od wieków haracz. Bandytów jednak było coraz więcej, do rzemiosła ich brali się gwałtownicy bez poczucia miary. Z drugiej strony władza w Turcji przeszła do ambitnych oficerów, którzy postanowili wyplenić odwieczną plagę gór. Tak przyszło do wojny między bandytami i żandarmerią.

Nasz rozmówca był siedem razy chwytany przez żandarmów i po krótkim procesie skazywany na śmierć. Za każdym razem jednak towarzysze ułatwiali mu ucieczkę lub odbijali z bronią w ręku. Za siódmym razem zrobili to w ostatniej chwili, gdy stał już pod szubienicą ze stryczkiem na szyi.

— Zrozumiałem wówczas, że muszę uciekać. Zbyt wielu znało mnie z twarzy. Zacząłem być ciężarem dla towarzyszy. Dwóch najwierniejszych zginęło w strzelaninie pod szubienicą.

Nasz nowy znajomy opuścił Turcję, ożenił się w Niemczech, przeniósł się następnie do Francji. Miał kilkoro dzieci i był pracowitym i cenionym rzemieślnikiem. Nikt zresztą nie znał jego przeszłości.

Dzięki temu spotkaniu mogłem sobie dokładniej wyobrazić postać Rahyba, której właściwe proporcje rozpływały się w ogromie otaczających wypadków.

◆

W początku pierwszej wojny światowej Rahyb był pod Trebizondą przywódcą niewielkiej szajki bandytów, liczącej prócz niego czterech ludzi. W miarę rozwoju wypadków wojennych do szajki jego przyłączali się coraz liczniejsi dezerterzy. Wiosną 1916 liczba ich wzrosła do pięciuset. Haracz płacony przez chłopów i resursy rolnicze okręgu Trebizondy nie wystarczały na wyżywienie tylu ludzi. Rahyb zaczął więc napadać na transporty wojskowe aprowidujące front kaukaski.

Operacje bandytów zaniepokoiły Kiazima Karabekira Paszę, dowódcę frontu kaukaskiego, który powziął natychmiastową decyzję. Oddzielił z rezerw dwa pułki, rozkazując oczyścić zaplecze frontu od bandytów i dostarczyć Rahyba żywego lub umarłego. Ekspedytywność tureckich oficerów i siły, jakimi rozporządzali, nie zostawiały wątpliwości co do szybkiego wyniku tej operacji. W górach Rahyb zgromadził na polanie całą swą szajkę i, poinformowawszy obecnych o decyzji Kiazima Karabekira, przemówił mniej więcej w te słowa.

— Panowie dezerterzy, wasza droga jest jasna. Jutro zejdziecie do Trebizondy i zgłosicie się do wojska. Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i obrońcy są jej pilnie potrzebni. Po dobrowolnym zgłoszeniu się nie będą was ciągać po sądach. Dostaniecie co najwyżej po dziesięć kijów, dla porządku. Czekają was trudy wojenne, lecz także sława, możność awansów i wyróżnień. Zresztą nie macie innego wyboru. Dla mnie i moich najstarszych towarzyszy droga ta jest zamknięta. Ocalenia musimy szukać na własną rękę.

Po tych słowach, życząc powodzenia dezerterom, Rahyb z towarzyszami znikli w zaroślach. Szli śpiesznie na południe, przekroczyli Taurus i na południowym stoku gór zeszli na Kastamuni, gdzie zanjdował się obóz jeńców wojennych, głównie Anglików. Tam banda Rahyba napadła na konwój z nowymi jeńcami, odbiła dwóch oficerów brytyjskich i uprowadziła ich w góry.

Rahyb i jego towarzysze mówili kilku językami Wschodu, lecz nie znali języka brytyjskich oficerów, którzy przez dłuższy czas nie orientowali się w swej sytuacji. Wzięci do niewoli przez Turków, zostali uprowadzeni przez bandytów. Z późniejszych relacji ich wynikało, że Rahyb dbał o ich wyżywienie, nie dawał im jednak długo spać. Po dwóch lub trzech godzinach odpoczynku bandyci ruszali w drogę, śpiesząc na północ. Przeszli ponownie Taurus i zeszli na brzeg Morza Czarnego na zachód od Trebizondy, zdobytej właśnie przez Rosjan. Tam Rahyb kupił od przemytników łódź żaglową i w ciemną noc, z jeńcami angielskimi i towarzyszami, odbił od brzegu.

Orientując się według słońca i gwiazd płynęli wprost na północ. Po ośmiu dniach żeglugi zobaczyli brzegi Krymu i w okolicy Kerczy wysiedli na ląd, szukając przez kilka godzin na próżno przedstawicieli władz. Wylądowanie w tym miejscu brytyjskich oficerów w towarzystwie pięciu laskarów nie było zrazu łatwe do wytłumaczenia miejscowej policji, lecz po dwóch dniach sprawa przybrała dla Rahyba najpomyślniejszy obrót.

Była to jesień 1916. Rosja powołała pod broń koło 16 milionów ludzi, których pośpiesznie szkolono. Brakło na razie broni, ale fabryki rosyjskie pracowały na trzy zmiany; nadto alianci zachodni dostarczali jej w wielkich ilościach. „Żelazny walec" miał potoczyć się w początku lata. Generałowie rosyjscy widzieli się już w roli głównych zwycięzców, dyktujących Europie warunki pokoju. Wzbierająca fala niezadowolenia nie budziła u nich większego niepokoju. Walne zwycięstwo i awans Rosji na najsilniejsze mocarstwo Europy — a być może świata — miały wszystko załatwić. Front był nieruchomy. Wielkie napięcia narastały w ponurym milczeniu. Gazety wydawały się niepokojąco puste. Przybycie Rahyba i angielskich oficerów prasa powitała jak pojawienie się węża morskiego w sezonie ogórkowym.

Po przybyciu do Petersburga i przedstawieniu cesarzowi oficerowie wyjechali przez Murmańsk do Anglii, Rahyb zaś z towarzyszami pozostał w stolicy pod opieką Begijewa, mułły wszechrosyjskiego.

Do tego miejsca dzieje Rahyba znane mi są z prasy i relacji współczesnych. Dalszy ich ciąg znam tylko ze słów mego przyjaciela Fokiona, który w pierwszych dniach rewolucji przyjechał do Petersburga. Wśród malowniczych postaci tego okresu

poznał był także Rahyba, ale, zaabsorbowany wypadkami, utracił go na pewien czas z oczu. Rahyb zgłosił się doń w kilka miesięcy później, gdy rządy Kiereńskiego dobiegały już końca i rewolucja zaczęła przybierać coraz bardziej żywiołowy charakter.

— Przyszedłem — powiedział Rahyb — prosić cię o radę. Jesteś uczony w piśmie i potrafisz, być może, mnie oświecić. Nie wiem mianowicie, jak postąpić, aby być w zgodzie z religią i sumieniem. Uciekłem od pewnej śmierci i zostałem tu przez wszystkich najgościnniej przyjęty. Mam wobec tego kraju wielki dług wdzięczności. Nie spodziewałem się nawet, abym mógł go kiedykolwiek spłacić, teraz jednak nadarza się do tego sposobność. Patrzę od kilku miesięcy jak ten piękny kraj schodzi na psy, i przyszedłem do przekonania, że potrafiłbym temu zaradzić. Źródło złego znajduje się w komitecie siedzącym w Smolnym Instytucie. Jest w nim jeden starszy z bródką, mówiący trochę przez nos. Ten jest najgorszy ze wszystkich. Schodzą się każdego dnia na naradę w pokoju mającym tylko jedno wyjście. Gdybym tam nagle wszedł z tymi oto dwoma rewolwerami w ręku, noga by stamtąd nie uszła, i kraj ten mógłby uniknąć najgorszego losu.

— A co ty robisz w Smolnym Instytucie?

Rahyb wyjął z kieszeni przepustkę.

— Jestem przedstawicielem tureckiego proletariatu.

— I myślisz, że dałbyś sam rady tylu ludziom? Oni też pewnie są uzbrojeni.

— Effendim, ty jesteś uczony w piśmie, ale ja wiem lepiej, co można zrobić rewolwerem. Jeżeli ci mówię, że potrafię, możesz mi wierzyć.

Różne myśli przebiegały tymczasem głowę Fokiona. Spytał więc jeszcze:

— Widzę, że dla spłacenia długu wdzięczności chcesz oddać własną głowę, bo czy wyjdziesz potem cały z Instytutu?

— Czemu nie? Mam przecież czterech towarzyszy, którzy też nie próżnowali. Ukryli w różnych częściach budynku sporo bomb i parę worków dynamitu. Gdy posłyszą moje strzały, cały Instytut zatrzęsie się od wybuchów. Powstanie ogólne zamieszanie i — jeżeli Allah tak zechce — wyjdziemy stamtąd zdrowi i cali.

— Plan twój, jak widzę, przygotowałeś najstaranniej. Czemu więc go nie wykonujesz?

— Mam wątpliwości i dlatego właśnie szukam u ciebie rady. Na froncie kaukaskim walki ustały, ale gdy Rosja opanuje chaos wewnętrzny, wojna z Turcją może się zacząć na nowo. Czy wolno mi do tego przyłożyć ręki? Nie wiem jak postąpić.

— Twoje wątpliwości są słuszne — odpowiedział Fokion. — Zanim brać się do takiego przedsięwzięcia na własną rękę, trzeba przemyśleć jego skutki. Czy po przyjeździe poznałeś tu kapitana

C., attaché morskiego Wielkiej Brytanii? Idź do niego, poradź się i wróć do mnie. Pomyślimy jeszcze razem nad twoim projektem.

Po kilku dniach Rahyb zgłosił się znów:

— Byłem u kapitana C., ale straciłem tylko czas na próżno. Wiesz, co mi powiedział? Nie pytał mnie wprawdzie, jak ty, czy potrafię to zrobić, ale powiedział, że nie może mi dać żadnej odpowiedzi bez uprzedniego zapytania swego rządu. Powiedz teraz sam, czy człowiek, który jest tu wśród nas, ale głowę ma po drugiej stronie morza, może udzielać rad muzułmaninowi? Więcej już do niego nie pójdę.

Tyle opowiedział Fokion o swej rozmowie z Rahybem. Losy rewolucji długo jeszcze być może zależały od skrupułów rozbójnika spod Trebizondy, wahającego się przed fatalnymi drzwiami: Robić? Nie robić?

Wiemy, jaką wreszcie powziął decyzję. Czyny historyczne nie leżały w jego losach. Powoli wciągnął się zapewne w nową dla niego rolę przedstawiciela tureckiego proletariatu, bo partia zaczęła go używać do różnych posług. Podczas wojny między Turcją a Grecją i Anglią Rosja zachowywała życzliwą neutralność, ale zbroiła tajnie tureckich komunistów. Rahyb eskortował jeden z tych transportów broni przez tureckie terytorium, został tam poznany przez żandarmów i powieszony.

KADI

Od kilku lat Bursa figuruje w programach wycieczek turystycznych wzdłuż brzegów wschodnich Morza Śródziemnego. Jest to niewielkie miasto w Azji Mniejszej, odległe o kilkadziesiąt kilometrów od brzegów Morza Marmara. Z prospektów towarzystw okrętowych wynika, że można się doń dostać autobusem. Być może więc są w nim także hotele z bieżącą wodą i innymi wygodami.

W początku obecnego stulecia obcy nazywali je Brussą, dostęp doń był trudny, nocleg zaś nastręczał wiele kłopotów. Zajazdy były prymitywne, pełne pluskiew niezwykłej wielkości i siły. Zwiedzenie tego malowniczego miasta o starych murach i wąskich uliczkach wymagało posiadania w nim uczynnych przyjaciół.

Na rynku Brussy, obok handlarzy owoców, jarzyn, dywanów i innych towarów miejscowej produkcji, można było spotkać także narratorów, recytujących za skromną opłatą twory wyobraźni ludowej Wschodu. Wątpię, aby zachowali się tam dotąd. Literatura ustna znikła, zanim zdołano ją utrwalić na magnetofonach. W mojej pamięci pozostały tylko jej luźne i zniekształ-

cone strzępy. Zanim zginą wraz ze mną, chciałbym zanotować słyszaną w Brussie opowieść, której nie ma w żadnym znanym mi zbiorze anegdot i opowiadań ludowych.

◆

Kto chciał mieć w Brussie dobrze upieczoną gęś, niósł ją miejscowym zwyczajem do piekarza. W gorącym jeszcze po wypieku chleba piecu gęś pokrywała się powoli złocistą, chrupiącą skórką.

Do znanego w mieście piekarza zgłosił się w pewien upalny dzień klient i przyniósł do upieczenia pięknie utuczoną gęś. W dwie godziny później przechodzący ulicą kadi zatrzymał się, pociągnął kilkakrotnie nosem i wszedł do piekarni.

— Jeżeli się nie mylę — powiedział — masz właśnie w piecu doskonale upieczoną gęś. Przyślij mi ją do domu.

— Nie mogę, kadim. Gęś nie należy do mnie, lecz do jednego z moich stałych klientów.

— Czy cię pytam, do kogo należy gęś? Mówię tylko: przyślij mi ją do domu.

— Ale co ja teraz zrobię z klientem? Co mu powiem?

— Mów, co chcesz. Powiedz, na przykład, że gęś sobie poleciała. A jeżeli z tej odpowiedzi nie będzie zadowolony, sprawa przyjdzie do mnie.

Po tych słowach kadi wyszedł. Piekarz był zrozpaczony. Był człowiekiem uczciwym, okradanie i oszukiwanie klientów budziło w nim obrzydzenie. Nadto groziła mu utrata dobrego klienta i, co gorsza, utrata reputacji, jaką posiadał w mieście. Największą jednak klęską byłby dlań gniew kadiego. Westchnąwszy więc parę razy zawołał chłopca i kazał mu zanieść gęś do kadiego.

Właściciel gęsi przyszedł w godzinę później.

— Moja gęś jest już pewnie gotowa.

Piekarz milczał.

— No, co jest z moją gęsią?

— Nie ma gęsi.

— Jak to nie ma? Co się z nią stało?

Gęś... gęś... nie wiem sam, jak to powiedzieć... Gęś sobie poleciała.

— Człowieku, co znaczą te żarty? Gęś kruszała u mnie przez trzy dni, zanim ją tu przyniosłem. Na domiar złego zaprosiłem dziś gości, którzy niedługo przyjdą.

Słysząc podniesiony głos, przechodnie zaczęli zatrzymywać się przed piekarnią. Wśród nich znalazł się także Israil ben Israil, miejscowy faktor i żywa kronika miasta. Wiedziony zawodową ciekawością uchylił drzwi i po chwili wszedł do piekarni.

Tymczasem piekarz, zmieszany i nie znajdujący słów, dla nadania sobie kontenansu wziął łopatę i zaczął wsuwać do pieca nowe chleby. Słysząc, że chodziło o coś znajdującego się w piecu, Israil ben Israil schylił się, chcąc zajrzeć do środka, i piekarz, cofając łopatę, uderzył go drzewcem w oko. Nieszczęśliwy faktor krzyczał wniebogłosy:

— Zraniłeś mi oko! Stracę w nim może wzrok i nie będę widział połowy świata.

Widząc, że dzień był feralny i każdy gest przynosił mu nowe nieszczęście, piekarz rzucił na ziemię łopatę i chciał wybiec na ulicę, gdzie na krzyk faktora zgromadził się już mały tłum. Przeciskając się przezeń, piekarz potrącił kobietę, która upadła i powiła na miejscu martwe dziecię. Przerażony piekarz biegł co sił do środka miasta, ścigany przez właściciela gęsi, faktora, męża potrąconej kobiety i tłum ciekawych.

Ulice, którymi biegł, były coraz węższe. Na jednej z nich spał osioł, zajmując całą szerokość przejścia. Aby go zmusić do wstania, piekarz zaczął go targać za ogon. Osioł zerwał się z rykiem, a w ręku piekarza została kończąca ogon kitka. Śpiący opodal właściciel osła zerwał się na równe nogi.

— Coś ty zrobił? Łotrze bezbożny, okaleczyłeś niewinne zwierzę. Czym on się będzie teraz opędzał od much? — wołał za uciekającym piekarzem, a widząc ścigający go tłum przyłączył się do pogoni.

Piekarz stracił głowę i biegł na oślep przed siebie. Zmylił drogę i w pewnej chwili spostrzegł, że znajduje się w ślepej uliczce. Chciał się cofnąć, lecz było za późno. Oglądając się dookoła zobaczył otwarte drzwi i za nimi kręcone schody. Dopiero po kilkunastu zakrętach zrozumiał, że znajduje się wewnątrz minaretu. Chciał zejść, ale posłyszał w dole głosy ścigających. W rozpaczy przyśpieszył kroku i wyszedłszy na otaczającą szczyt minaretu galerię rzucił się w przestrzeń.

Śmierć nie była mu jednak sądzona. Szukając ochłody, brat imama i najotylszy mieszkaniec Brussy, leżał właśnie na wznak w cieniu minaretu. Spadając nań piekarz zabił go na miejscu, ale po chwili oszołomienia wstał zdrów i cały.

Imam, który z okna widział tę scenę, podniósł ręce do góry. W tej chwili właśnie ścigający piekarza ukazali się pod minaretem. Imam przyłączył się do nich i, zdyszani od gonitwy, wszyscy razem wbiegli do gabinetu kadiego.

Kadi zjadł był właśnie gęś i, w świetnym humorze, gotów był do roztrząsania subtelności prawnych.

— Tylko nie wszyscy razem — zawołał. — Widzę, że panowie mają pretensje do piekarza, proszę więc o zgłaszanie ich w porządku w jakim powstały.

— Właściciel gęsi zabrał głos pierwszy. Po wysłuchaniu go kadi przemówił w te słowa:

— Tłumaczenie się piekarza nie jest być może tak niedorzeczne, jak się to skarżącemu wydaje. Zdarza się, że po dekapitacji gęsi fruwają jeszcze przez chwilę. Nie dalej jak przed dwoma laty gęś bez głowy uciekła tu pewnej kobiecie. W rok potem dopiero znaleziono ją, zupełnie zgniłą, w pobliskim bagnisku. Argument piekarza jest równie dobry jak każdy inny i dla sprawy całkowicie nieistotny. Czy skarżący posiada dwóch świadków, mogących stwierdzić, że oddał piekarzowi gęś do upieczenia?

— Nie. Ale czy przy oddawaniu gęsi piekarzowi niezbędna jest obecność dwóch świadków?

— Bynajmniej, ale do skarżenia go przed sędzią świadkowie są konieczni. Jeżeli ich nie ma, z przykrością muszę oddalić tę skargę. Następny.

Z tłumu wystąpił z kolei Israil ben Israil. Wysłuchawszy go, sędzia zapytał:

— Czy skarżący wszedł do piekarni w celu kupna chleba?

Nie. Słysząc kłótnię chciałem dowiedzieć się, o co chodzi.

— To zmienia postać rzeczy. Piekarz odpowiada za bezpieczeństwo swych klientów, ale odpowiedzialność jego nie rozciąga się na osoby wchodzące do piekarni w celach nie mających nic wspólnego z jego rzemiosłem. I tę skargę muszę więc oddalić. Następny.

Wysłuchawszy męża kobiety potrąconej przez piekarza, kadi przybrał najpoważniejszą minę.

— Bardzo to smutny wypadek — powiedział. — Nie tylko skarżący, lecz całe miasto poniosło tu stratę, której doniosłości nie możemy nawet ocenić. Straciliśmy obywatela, zanim mogliśmy go poznać. Mógł okazać niepospolite talenty i okryć miasto nasze nieśmiertelną sławą. Mógł zostać wybitnym wojskowym i ocalić ojczyznę na polach bitew. Tyle możliwych nadziei rozwiało się bezpowrotnie. Nic mniejszego od całkowitej reparacji nie wystarczy dla wyrównania wyrządzonej w ten sposób krzywdy. Zarządzam więc, aby piekarz zrobił niezwłocznie żonie skarżącego nowe dziecko.

— Czy mogę wycofać skargę?

— Owszem, tak.

— Proszę więc uważać ją za niebyłą.

— Jestem bardzo rad, mogąc uważać tę drażliwą sprawę za załatwioną przez zainteresowanych polubownie. Następny.

Do właściciela osła kadi odniósł się nieprzychylnie:

— Często zdarza mi się widzieć, jak osły wylegują się na ulicach, tamując ruch. Korzystam z przypadku, który sprowadził

do mego gabinetu jednego z winowajców tych nieporządków, niegodnych naszego pięknego miasta. Zapłacisz dwa piastry grzywny.

Wysłuchawszy wreszcie imama, kadi otarł dyskretnie łzę.

— Okropny wypadek — powiedział. — Rodzina i całe miasto poniosło niepowetowaną stratę. Zmarły był jego prawdziwą ozdobą, był moim przyjacielem. Nic nie potrafi wyrównać naszej straty, lecz rodzinie zmarłego należy się najdalej idące zadośćuczynienie. Zarządzam niniejszym co następuje: piekarz położy się jutro w tym samym miejscu, i rodzina zmarłego, wraz z krewnymi pierwszego i drugiego stopnia, będzie uprawniona do skakania nań z galerii minaretu.

Tinus, 9 maja 1965.

Paweł HOSTOWIEC

KWARTALNIK

DROGA

Wolna trybuna polskiej myśli demokratycznej

Ukazał się zeszyt 3, który zawiera m.in.

Droga naprawy: dwugłos — Rady Narodowe (próba bilansu) — O „ewolucjoniźmie" Mieroszewskiego — Spuścizna po Chruszczowie — Glossy, komentarze, sprawozdania

Cena egzemplarza 3 F.
Prenumerata roczna 10 F.

Wyd. ŚWIATŁO, 5, rue d'Alsace, Paris 10e
Konto poczt. PARIS C.C. 98 98 28

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH POLSKICH

Synowa

Luca stanęła przed wejściem do małego domku, gdzie mieszkała jej teściowa. W lusterku, które wyjęła z torebki, przyjrzała się najpierw oczom, żeby sprawdzić, czy tusz nie spłynął z rzęs wraz ze łzami. Zwęziła powieki i z takim skupieniem przyglądała się własnej twarzy, jak pies myśliwski węszący za tropem. Dla pewności upudrowała się trochę i lekkimi szybkimi ruchami wyrównała czerwień warg: byłby wstyd, gdyby stara gosposia Irena dostrzegła ślady łez! Od kuchennego okna zaleciał zapach grzanek przysmażanych na maśle i to jej jakoś dodało otuchy. Przed samymi drzwiami znowu się zatrzymała, bo musiała się skoncentrować, ale po krótkiej chwili energicznie wzruszyła ramionami. Od roku wszystko się udaje, czemu by dziś nie miała tak samo przebrnąć przez poranną wizytę jak codzień . . .

Obok trzech schodków prowadzących do domu zakwitł krzak spirei. Kiście kwiatów niby biały wodospad spływały aż na murawę. Na drodze za ogrodzeniem stały i plotkowały cztery kumy, a nieco dalej cztery gęsi znieruchomiały w pyle.

— Starsza pani wstała dzisiaj lewą nogą — powitała Lucę gosposia.

Luca pocałowała ją w rumiane, pulchne policzki.

— Czyżby wstała? — zawołała ze śmiechem. — Czyżby Pan Jezus zstąpił z nieba i uczynił cud?

Gosposia też się roześmiała. Starsza pani, teściowa Lucy, liczyła sobie dziewięćdziesiąt sześć lat i od siedmiu lat, po zapaleniu nerwów, rzadko kiedy wstawała, i to nigdy przed szóstą wieczór. Z początku podczas codziennych spacerów pięćdziesiąt razy przemierzała pokój, potem zaś — proporcjonalnie do zanikających sił — coraz to zmniejszała dzienną dawkę, aż doszła do piętnastu, wreszcie do dziesięciu obrotów.

— Nudzi mnie od samego rana, że porcelanowa kaczuszka stoi bez żadnej serwetki. Czy pamiętała pani o słonych ciasteczkach?

— Przyniosłam ich całą tonę — odpowiedziała Luca — a także pieniądze na gospodarstwo.

— Czy też całą tonę?

Luca roześmiała się. Miała zaraźliwy śmiech, wszyscy musieli się razem z nią śmiać.

— Prawie . . . na razie pięćset forintów, czy dosyć?

— Do końca miesiąca nie potrzeba aż tyle — powiedziała gosposia.

Luca zaczęła szukać w torebce. Nie miała zamiłowania do porządku. Na samym dnie torebki, pod ciasteczkami, paczuszką z serwetką, pomadką do ust, puderniczką, portmonetką i lusterkiem znalazła wciśnięte w sam kącik pieniądze, które rano dostała w sklepie komisowym za niebieskiego lisa. Obok tkwiły kwity lombardowe i wezwanie komornika, które również z rana dostała.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć . . . — liczyła pieniądze, a twarz jej, subtelna i stale zmienna w wyrazie, na chwilę przy tej czynności spoważniała. — Nic nie szkodzi, jak coś zostanie, to się później rozliczymy. Gosposiu, tylko proszę nie oszczędzać! — Znowu się roześmiała. — Może są jeszcze jakieś kłopoty?

— Nie ma żadnych. Tylko czy pani zostawiła sobie trochę pieniędzy?

— Całą furę.

W małej kuchence wszystko błyszczało, i to podwójnie: z jednej strony przez otwarte okno wpadały promienie słońca, z drugiej lśniły biało lakierowane meble. Od akacji kwitnącej tuż przy oknie biła duszna, słodka woń, dławiąc zapach skwierczących grzanek.

— Czy był już listonosz? — spytała Luca.

— Jeszcze nie.

— Proszę dzisiaj zaglądnąć do skrzynki, bo będzie list z Ameryki. Chciałabym, żeby go przy mnie przeczytała.

— O jej, znowu dzwonek! — zerwała się gosposia. Rzeczywiście dzwonek jakby zniecierpliwiony zabrzęczał kilka razy pod rząd. — Chyba od rana dziesiąty raz już dzwoni. Pewnie ją ręka swędzi . . .

— Niech gosposia zostanie w kuchni, ja pójdę do niej.

Luca stanęła w drzwiach i patrzyła, gdyż przygłucha staruszka nie zauważyła jej wejścia. Podłużna, blada twarz ujęta jak jak w ramkę w czarny aksamitny czepek, podwiązany pod brodą, zapadła w dużą poduszkę. Zamknięte powieki i sterczący w górę prosty, żółtawy nos, przywodziły na myśl pośmiertną maskę. Leciutka żółta puchowa kołdra nawet nie zafalowała od nie-

uchwytnego ruchu klatki piersiowej poruszanej oddechem. W oczach młodej kobiety błysnęły łzy, znowu musiała się opanować, skoncentrować. Delikatna i krucha stała w progu z odrzuconą do tyłu kształtną główką, którą jakby ciągnął ku ziemi ciężki węzeł lśniących miedzią włosów. Nozdrza jej drgały, musiała mocno napiąć mięśnie brzucha, żeby zapanować nad nerwami.

— Ależ ze mnie idiotka — mruknęła do siebie, żeby dodać sobie siły.

Do pokoju słońce wpadało spoza szerokiego łóżka, rzucając ostry blask na zapadającą w poduszki wychudzoną bladą twarz, którą tylko aksamitny czepek utrzymywał na powierzchni. Młoda kobieta sama do siebie wykrzywiła twarz w grymasie i tupnęła nogą.

Chora otworzyła oczy i spojrzała na drzwi.

— Rączki całuję, mamusiu! — wykrzyknęła Luca pewnym i radośnie dźwięczącym głosem.

— Dzwonię i dzwonię, Ireno, czy grzanki jeszcze nie zrobione? — spytała staruszka zrzędzącym głosem, patrząc ku drzwiom ze zmarszczonym czołem.

— Ależ to ja, mamusiu — zawołała Luca. — Za chwileczkę będą gotowe.

Staruszka nieufnie patrzyła w jej stronę.

— Kto to?

Przeszło siedemdziesiąt lat mieszkała na Węgrzech, ale w jej akcencie wyczuwało się jeszcze ślad mowy rodzinnego miasta, Wiednia. Płynnie mówiła po węgiersku, ale tu i ówdzie wyskakiwał jakiś germanizm albo błędnie na początku pobytu przyswojony wyraz, który pobudzał synową do nieopanowanego śmiechu. Czytać jeszcze i teraz wolała po niemiecku, a od czasu, kiedy większość życia spędzała w łóżku, najchętniej powracała do książek uwielbianych w młodości. Często sięgała po dzieła Goethego i Schillera, mniej chętnie zaglądała do Thomasa Manna, który ją nieco nudził, a przez sympatię dla kraju, w którym zamieszkała, studiowała lakże niemiecką pracę Györgya Lukàcsa o Goethem. Na marginesach zapisywała swoje uwagi dużymi, jakby męskimi gotyckimi literami z dodatkiem niezliczonych wykrzykników. Prowadziła także po niemiecku notatki, przeważnie cytaty z przeczytanych książek, długie, dochodzące do kilku stron. Pilnie stawiane starczą dłonią litery były charakterystycznie niezdarne, jak zawsze, kiedy się pisze leżąc w łóżku. W grubym brulionie w kratkę przeplatały się cytaty z książek i domowe rachunki. Na ścianie wzdłuż łóżka umocowana była półka, na której w uświęconym porządku stało około dziesięciu książek, zeszyty, paczka herbatników, torebka słonych ciasteczek i pudełko czekoladowych cukierków, z których zjadała jednego dziennie. Mogła po te

rzeczy sięgać bez wzywania Ireny. W nogach łóżka stało radio, nastawione stale na rozgłośnię imienia Kossutha. Mogła je włączać i wyłączać sama, gdyż syn założył jej wyłącznik na długim przewodzie, i tylko wtedy potrzebowała pomocy, kiedy znalazła coś ciekawego w programie rozgłośni imienia Petöfiego i trzeba było zmienić długość fal. To się jednak nieczęsto zdarzało, szczególnie w ostatnich miesiącach. Przez większą część dnia leżała bez ruchu z przymkniętymi oczami i trudno było zgadnąć, czy drzemie, czy też bystry jeszcze mózg przywołuje dawne wspomnienia, albo sięga naprzód w krótką przyszłość. Ożywiała się w porze obiadowej, kiedy Irena dawała jej skosztować odrobinę własnego obiadu: surowo zakazanego paprykarza z kartofli lub łazanek z kwaszoną kapustą, albo kiedy przed południem zaglądała do niej synowa.

— To ty, Luca? — zrzędziła obracając ku młodej kobiecie głowę na jaśku powleczonym bladofiołkowym jedwabiem. — Czy pamiętałaś o słonych ciasteczkach?

— Przyniosłam, przyniosłam! — wykrzyknęła młoda kobieta sięgając do torebki. Najpierw ostrożnie wyjęła paczuszkę zawiniętą w białą bibułkę. — Ale jeszcze coś przyniosłam mamusi.

— Pewnie kwiatek — mruknęła staruszka naburmuszona, ale zaraz się jej twarz rozpogodziła i czarne, wciąż jeszcze pełne wyrazu oczy rozbłysły na widok wiązanki żółtych bratków. — Nigdy nie nauczysz się oszczędzać . . . ?

Luca zbliżyła się do łóżka, zabawnie wywróciła oczy tak, że widać było tylko białka, i pogroziła staruszce palcem. Tak długo groziła, aż się chora roześmiała.

— No, dobrze, ja musieć codzień powtarzać, bo ty robić codzień to samo. Nie trzeba zawsze kupować kwiatków. Jutro przynieś woda kolońska!

— A ja jeszcze coś mamie przyniosłam. A co? — spytała znowu, grzebiąc w torebce.

Przedłużała szukanie i jednocześnie obserwowała staruszkę. Na pomarszczonej twarzy odmalowała się właściwa starcom słabość: naiwne zaciekawienie, dziecinnie otwarte usta i zapomnienie o wszystkim innym. W szparze ust widać było jedyny pozostały ząb.

— No daj już! — domagała się tracąc cierpliwość. — Może zgubiłaś?

Aż się zrobiła czerwona z przejęcia na widok małej haftowanej serwetki, która się wyłoniła z bibułki. Chociaż stale nudziła i domagała się czegoś, ale przynajmniej okazywała dziecinną wdzięczność za każdy drobiazg.

— Śliczna! — powiedziała. — Chodź, nachyl się, chcę ciebie pocałować . . .

Dźwignęła nieco głowę, chudą ręką objęła młodą kobietę za szyję i cmoknęła ją w czoło.

— Śliczna! — powtórzyła. — Ale skąd ty bierzesz taka masa pieniędzy?

— Zarabiam, mamusiu! — odpowiedziała Luca. — Mama wie, jaka ze mnie kurwa.

— Oczy staruszki rozwarły się zdumieniem, patrzyła nic nie rozumiejąc, aż wreszcie zachichotała i pogroziła jej palcem.

— Ty kurwa? A idźże! Wszystko powiem, jak Janos wróci do domu, dostaniesz lanie! — Zwróciła głowę w czarnym czepku ku nocnej szafce i przyjrzała się porcelanowej kaczuszce. — Połóż tam! Jaka teraz śliczna. Najwyższy czas, bo profesor Hetenyi ma dzisiaj przyjść. Co będzie, jak się Irena zdenerwuje i znowu nie posprzątać? Tak jak ostatni raz!

— Pan profesor już widział takie serwetki — powiedziała od progu Irena wchodząc do pokoju. — A skąd pani wie, że profesor akurat dzisiaj przyjdzie?

Staruszka gniewnie zwróciła oczy w stronę otwartych drzwi.

— Ona zawsze podsłuchiwać — szepnęła mrukliwie do synowej. Ponieważ była przygłucha i nie słyszała własnego głosu, syczący szept zabrzmiał jak krzykliwy wyrzut skierowany do gosposi kręcącej się w drugim końcu pokoju.

—Wcale nie podsłuchiwała! — wtrąciła szybko Luca. — Przecież Irena przyniosła mamie grzanki na masełku.

— Co, ja podsłuchuję?

Zza otwartego okna doleciało hałaśliwe gęganie gęsi.

— Ja podsłuchuję?!

Luca głośno się roześmiała.

— Ostrożnie, bo jeszcze gosposię gotów szlak trafić! — zawołała. — Ze złości łatwo można pęknąć . . . No, proszę podać te grzanki.

Pan profesor dzisiaj tu przyjść, na pewno — oświadczyła gniewnie staruszka. — On dawno nie być, pewnie miesiąc, a obiecał, że co miesiąc odwiedzić mnie . . .

— Na pewno dzisiaj przyjdzie — wtrąciła żartobliwie Luca — bo mama jest w nim zakochana i chciałaby z nim porozmawiać o Goethem. Trzeba sprzątnąć, żeby nie musiał patrzeć na nocnik, to chyba zrozumiałe, prawda, gosposiu?

— Co ty mówisz? — zaczerwieniła się gniewnie staruszka. — Co mówisz? — (Jak chciała, potrafiła zupełnie nic nie słyszeć). — Dlaczego wy zawsze tak szeptać, że ja nic nie rozumieć? — Luca roześmiała się a gęsi na drodze znów zagęgały. — Co ty mówić?

Profesor Heténi dlatego się nie pokazywał w małym domku z ogródkiem, że od czterech miesięcy nie żył. Nie powiedziano

o tym chorej, ona zaś niebardzo się orientowała, ile ziemskiego czasu minęło od jego ostatniej wizyty.

— Ja dobrze wiem, że mama jest zakochana w profesorze, nie ma się czego wypierać — mówiła dalej Luca. — Inaczej po co by się mama na pamięć uczyła cytatów z Goethego?

Przez ten czas staruszka chrupała grzanki, założywszy sobie sztuczną szczękę.

— Dumme Gans — orzekła. — Po co ? . . . Po co ? . . . Dla siebie. Tak samo grzankę jem dla siebie.

Młoda kobieta usiadła na krytym żółtym jedwabiem foteliku tuż przy łóżku i założyła nogę na nogę.

— Mamusiu, chciałabym wiedzieć, czy profesor naprawdę tak interesująco opowiada po niemiecku?

Staruszka z pogardliwą miną dalej żuła grzankę i nic nie odpowiedziała.

— Kto wie, może naprawdę umie dowcipnie mówić po niemiecku? — ciągnęła Luca. — Bo miły jest zawsze, nawet kiedy bajdurzy po węgiersku. Tylko szkoda, że jest taki brzydki!

Staruszka nie wyczuwała żartobliwego tonu Lucy.

— Hm. Nie każdy musi być taki ładny jak ty — odpowiedziała zaperzona.

— O, czy ja jestem ładna, mamo?

Sztuczne szczęki znieruchomiały na kawałku grzanki. Oczy z których wyzierała dziewięćdziesięcioletnia mądrość, badawczo się zwróciły na synową. Twarz młodej kobiety nurzała się w słonecznym blasku i w akacjowej woni.

— Żebyś tak była równie mądra... — orzekła zachmurzona.

— Równie mądra jak kto?

Sztuczne szczęki zaczęły znów pracować. Staruszka milczała.

— Może jak pan profesor?

— Dumme Gans — rzuciła staruszka.

Luca wybuchnęła śmiechem.

— Zapomniałam mamie powiedzieć, że profesor wczoraj telefonował — powiedziała. — Był jeden dzień w Budapeszcie i nie miał czasu tu wstąpić. Prosił, żeby mamie przekazać ucałowania rączek. Powiedział też, żeby się mama nie martwiła, bo wiele razy się jeszcze spotkacie. Przecież mama będzie żyła sto lat, tak powiedział.

Staruszka żuła grzankę, ale spod oka podejrzliwie spojrzała na Lucę.

— On mnie też mówić, że ja żyć sto lat — mruknęła. — Przez telefon on znowu to mówić?

Luca przymknęła oczy i odrzuciła głowę na oparcie fotela, skąpane słońcem.

— A może ty ze mnie żartować? — spytała staruszka.

Luca nie otwierając oczu uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Co? Ty mnie oszukiwać? — dopytywała się chora.

— No pewnie — odpowiedziała Luca.

Staruszka naiwnie i niedowierzająco wytrzeszczyła oczy. Sama nie wiedziała, co myśleć o przepowiedni profesora. Ale śmiech synowej był zaraźliwy, choćby nie wiem jak się czuła dotknięta, musiała się śmiać. Śmiała się najpierw cichym i jakby niezdecydowanym chichotem, potem coraz swobodniej i głośniej, chociaż gdzieś w głębi czuła, że się śmieje z samej siebie. Ta mała zadra często dopiero następnego dnia powracała do jej pamięci.

— Znowu mnie chcesz oszukać, prawda? — powtórzyła wesoło.

Luca zerwała się z fotela, podbiegła do staruszki i wycałowała chudą twarz zanurzoną w miękką poduszkę.

— Ja, mamo? Ja miałabym mamę oszukiwać? Przecież niedawno razem obmyślałyśmy, kogo zaprosić na mamy setne urodziny, i jaką włożę na tę uroczystość sukienkę. Pamięta mama? Postanowiłyśmy, że włożę czerwoną jedwabną z dużym dekoltem!

— Dobrze, dobrze... — zgodziła się już uspokojona staruszka. — Ale chyba mówiłyśmy o tej białej jedwabnej...

— Gdzie ona już jest... — mruknęła Luca przed siebie.

— Co ty mówić?

— Nic, mamusiu.

— No to nalej mi woda sodowa... Powiedz, czy profesor tobie naprawdę mówić, że będę żyć sto lat?

Luca poprawiła poduszki, przy czym staruszka parę razy stęknęła, bo jej się przypomniało, że przed siedmiu laty przeszła zapalenie nerwów. Gosposia weszła, żeby zabrać talerz i szklankę i wychodząc z zazdrością spojrzała na zwinne ruchy Lucy.

— Mamusiu, czy te wszystkie książki na półce mamie nie przeszkadzają? — spytała Luca wyrównując kołdrę. — Mama i tak czyta je po jednej.

— Nie ruszaj ich — żachnęła chora — bo ja o wszystkich myślę. A ty, czy nauczyć się niemiecka lekcja?

Nie doczekała się odpowiedzi, więc obróciła głowę i pełen wyrzutu wzrok skierowała na Lucę. Tak długo nie odwracała od niej nieruchomego spojrzenia, że zdawało się tracić sens i cel, a blask oczu był bezprzedmiotowy, jak światło gwiazd w przestrzeni kosmicznej. Nagle znowu powróciły do ziemskich spraw.

— Co mówić Janos — odezwała się karcąco — jak on wrócić, a ty nie nauczyć się po niemiecku?

— Janos... Janos... — bąknęła pod nosem Luca — niech się cieszy, jak nie zapomnę po węgiersku.

Staruszka spojrzała pytająco:

— Co ty mówić?

— Nudzi mnie Janos — Luca tylko mruczała przed siebie, ale staruszka to już usłyszała. — Janos mnie nudzi! — powtórzyła jeszcze raz nieco wyraźniej, żeby na pewno zrozumiała. — Niech mama mi powie, jak to jest, że kiedy mowa jest o Janosu, to mama dobrze słyszy, nawet jak mówię bardzo cicho? Otóż mamo, ja już mam dosyć Janosa.

— Ty znowu mnie oszukiwać? — roześmiała się staruszka.

— Pewnie...

Staruszka umilkła, bo nie wiedziała, co powiedzieć, tylko patrzyła na synową tak ufnie i naiwnie, że Luca nie mogła tego długo wytrzymać. Uśmiechnęła się więc, a staruszka od razu odwzajemniła się uśmiechem.

— Mamusiu, proszę mi opowiedzieć, jak to było w tym Savanyùkùt!

Staruszka zdumiała się.

— Savanyùkùt?

— Tak, tam kiedyś cała rodzina musiała spędzić noc w jednym pokoju.

— Cóż z tego?

— Chyba mamusia sobie przypomina... mieszkaliście razem, a młodszy synek podglądał...

— Mały Gyuri? Tyś go przecież wcale nie znała.

— Tak, Gyuri. Mama kazała chłopcom odwrócić się do ściany, żeby móc się rozebrać.

— E... ja już ci opowiadać.

Luca uśmiechnęła się.

— Ale nie wszystko pamiętam. Kiedy to właściwie było?

— O, strasznie dawno, chyba już pięćdziesiąt lat minąć.

— Może nawet dawniej — wtrąciła Luca. — Teraz ile mamusia ma lat?

— Dziewięćdziesiąt sześć — z dumą stwierdziła staruszka.

— No widzi mama! — wykrzyknęła Luca. — A wtedy mamusia była całkiem młoda. I w Savanyùkùt dostaliście tylko jeden pokój na tę noc. Oho, to już najmniej sześćdziesiąt lat temu.

— Sześćdziesiąt? — zastanowiła się staruszka. — To znaczy że ja wtedy być trzydzieści sześć?

— Mniej więcej... Ale proszę opowiedzieć, jak to było z tym podglądaniem?

— Ano to było tak... — przerwała i zaniepokojona popatrzyła na synową. — Już ja ci to opowiadać.

— Możliwe, ale niezupełnie pamiętam — powiedziała Luca. — Tyle, że był wieczór, chłopcy już poszli do łóżka, a mama właśnie miała się rozebrać. Och, mama musiała być wtedy bardzo ładna...

— Tak, ładna — zgodziła się szczerze staruszka. — Bardzo ładna. Wtedy panie nosić duże kapelusze z szeroka czarna wstążka, taka jedwabna albo aksamitna... zawiązana pod brodą. Mąż mi kupić taka szeroka wstążka z mory, jak zawiązałam duża kokarda pod broda, to każdy panicz na ulicy stać i patrzeć.

— Nie dziwię się — potwierdziła Luca — ale nie tylko panicze, także i panowie. Profesor Hetenyi tezby się odwrócił, gdyby mamę wtedy spotkał.

Staruszka uśmiechnęła się zażenowana.

— Ty głupstwa gadać. Profesor wtedy jeszcze się pewnie nie urodzić.

— Możliwe — zgodziła się Luca. — Co dalej?

— Co takiego?

— No, jak było z tym podglądaniem?

Staruszka wychudłymi palcami obmacała czarny aksamitny czepek.

— Wiesz, ten czepek to właśnie z ta wstążka, co była prezent od męża.

— Ależ to nie jest mora, tylko aksamit — powiedziała Luca i roześmiała się.

— Co ty wiesz — speszyła się staruszka i cała twarz jej spąsowiała — może to był właśnie aksamit. Co ty jeszcze pytać?

— Proszę odpowiedzieć, jak się mama wtedy przy chłopcach rozbierała!

— Tak było, że musieliśmy spać w jednym pokoju, cała rodzina — podjęła staruszka trochę schrypniętym głosem, jakby ją męczyło odbycie podróży w sześćdziesięcioletnią przeszłość. Chłopcy już poszli do łóżka i ja też chcieć się położyć. Ale wtedy panie nosić takie sztywne gorsety, ze sznurówką, i mąż mi pomagać. Ja się wstydzić przed dzieci... Eee... — przerwała nagle, jakby zagniewana — ja ci to już opowiadać dawno.

— Kiedy nic nie pamiętam, mamo — zachęcała ją Luca. — Tylko tyle, że mama kazała chłopcom odwrócić się do ściany.

Staruszka niecierpliwie kiwnęła głową.

— Tak kazałam.

— Ale jak mama zaczęła zdejmować suknię, to popatrzyła, żeby sprawdzić, czy posłuchali.

— Tak... — podjęła staruszka — stałam w halce...

— A nie! — przerwała jej Luca z trudem powstrzymując śmiech. — Wcale nie w halce, tylko w takich długich szarawarach do samych kostek, z falbanką i koronką...

Staruszka roześmiała się.

— Ha, ha! Tak, to być majtki!

— I wtedy mama zobaczyła, że Janos posłusznie odwrócił się do ściany, ale młodszy...

Staruszka wciąż się śmiała.

— Tak być, Gyuri podglądać...

— Hm, podglądał! Leżał na brzuchu, ale głowę odwrócił w mamy stronę i zerkał jednym okiem.

— Miał złote włoski, takie długie — przypominała sobie staruszka — i loki zakrywać mu twarz. A on patrzeć przez te jasne włosy...

— A dalej?

— Dalej?

— Co mama wtedy zrobiła?

Staruszka milczała.

— Proszę powiedzieć, co było dalej, bo zapomniałam. Chyba mama wzięła duży ręcznik i zawiesiła go na poręczy łóżka...

— Tak, na pewno ja zasłonić... — głos staruszki był wahający.

Luca śmiała się na cały głos.

— Ale tam było lustro i mama widziała, jak Gyuri odsuwa ręcznik i znowu podgląda.

— Tak, on podglądać... — podjęła wątek staruszka. Chcąc się swobodniej śmiać, wyjęła sztuczną szczękę i włożyła ją do szklanki z wodą. — On znowu podglądać i chichotać...

— A Janos?...

Pod wpływem wspomnień staruszka wyraźnie się ożywiła.

— Janos przez cały czas leżeć nosem do ściana i wcale się nie ruszać, biedaczek.

— On zawsze był taki uczciwy, od dziecka, prawda, mamo? — podpytywała Luca, z zaciekawieniem obserwując staruszkę.

— Tak — odpowiedziała stanowczo staruszka — on zawsze być uczciwy.

Przymknęła oczy i umilkła. Zza okna doleciał głos klaksonu samochodowego. Staruszka otworzyła oczy i wbiła wzrok w słoneczną plamę rozlaną w pokoju.

— Dumme Gans — powiedziała wyraźnie, rozdzielając zgłoski. — Może ci się zdaje, że ja tego nie spostrzegać? Ty lepiej pamiętać, niż ja. On zawsze być uczciwy, wtedy też, czy to chcieć usłyszeć?

— E, tam... — mruknęła Luca, ale staruszka nie zwróciła na to uwagi, bo nad bukiecikiem bratków zabrzęczała osa. Zapatrzyła się tak, że aż wyciągnęła szyję i zwróciła głowę, nawet podniosła się na łokciu i założyła okulary, zapomniawszy o nerwobólach. Patrzyła podniecona, aż usta rozchyliła.

— Kochasz Janosa? — spytała po chwili ochrypłym głosem i zmęczona złożyła z powrotem głowę na poduszce.

— E, tam... — powiedziała Luca.

Staruszka gniewnie zmarszczyła brwi.

— Tylko proszę, ty nie żartować — skarciła ją. — Ja mówić poważnie. Jeżeli ty go kochać, to jak on wróci z tej Ameryki ty mu powiedzieć, żeby on nie być uparty.

— Dlaczego, mamo? — zdziwiła się Luca.

Staruszka milczała. Zagubiona we własnych myślach patrzyła przed siebie z na wpół otwartymi ustami.

— Ty mu tak powiedzieć — powtórzyła — żeby on nie być uparty.

— No dobrze, ale dlaczego? — nalegała Luca.

Staruszka znowu umilkła. Dźwignęła nieco głowę, żeby kątem oka popatrzeć na osę wciąż jeszcze brzęczącą nad bratkami. Po chwili oderwała od niej wzrok i złożyła znów głowę na bladofiołkowym jaśku.

— Pamiętam, kiedyś bardzo dawno ja patrzeć na osę, która tak samo fruwać nad żółte bratki. Potem usiadła na kwiatek, a kwiatek się ugiąć nisko, bardzo nisko ku ziemi. Bo wiesz, inaczej on by się złamać...

— Czy mam to opowiedzieć Janosowi? — spytała Luca.

— Tak.

— Szkoda że nie wcześniej...

— Co ty mówić?

— Nic, mamo.

— Dobrze. Tylko ty na pewno mu to powtórzyć?

— Ale dlaczego mama nie chce sama mu powiedzieć?

Staruszka podniosła na nią oczy i znużonym ruchem machnęła ręką.

— On jeszcze długo nie wrócić — powiedziała i oczy jej nabrały niewidzącego wyrazu.

Do pokoju weszła w tej chwili gosposia, Irena. Jej rumiana twarz wyrażała radość, a siwe włosy połyskiwały w słońcu, jakby sobie głowę przybrała na święto. Staruszka od razu dostrzegła w jej ręce list. Uniosła się, aż usiadła, otworzyła usta, ale nie była w stanie wydobyć głosu z gardła.

— List przyszedł — powiedziała gosposia zerkając przy tym na Lucę.

Staruszka głęboko wciągnęła powietrze.

— Czy to od Janosa?

— A bo ja wiem, przecież go nie czytałam.

Sztucznie obojętny głos nie wprowadził staruszki w błąd. Wystarczyło ułamka sekundy, by się całkowicie przeobraziła: oczy się rozszerzyły, zapadnięte policzki wygładziły i lekko zaróżowiły, oddech stał się szybki i głośny. Dusza wypchnięta podnieceniem ukazała się na skórze, na tęczówkach oczu, na bladych paznokciach i przerzedzonych włosach. Staruszka chciwie wyciągnęła rękę po list, jednocześnie zaś drugą ręką przyciągnęła do siebie

starą gospodynię, żeby ją ucałować. Ten wysiłek tak ją zmęczył, że dopiero po kilku minutach zdołała rozerwać kopertę i gwałtownym ruchem wydobyć pisany na maszynie list.

— Irenko, prędko dawaj szkło... — zawołała zdyszana.

Przez okulary i szkło powiększające na długiej rączce czytała linijkę po linijce, zatrzymując się tu i tam na dłuższą chwilę, jakby dla nabrania tchu. Potem przesuwała dalej szkło, aż dobiegła do końca ostatniej, czwartej strony. Cały list będzie najmniej przez cały tydzień odczytywała od początku do najostatniejszej litery, dopóki zachłanna pamięć nie nauczy się każdego słowa.

„...Postaram się teraz poprawić i napisać bardzo długi list za to, że poprzedni był taki krótki. Co prawda mam i teraz bardzo mało czasu, bo... proszę posłuchać wielkiej nowiny! Pozostał mi już tylko ostateczny retusz filmu, to potrwa najwyżej miesiąc, i wreszcie powrócę do domu! Tę dobrą wiadomość podaję na samym początku, żeby mamę pocieszyć po tym długim oczekiwaniu. Premiera odbędzie się równo za miesiąc w Nowym Jorku, bardzo uroczyście, w ogromnym kinie na trzydzieści tysięcy widzów. To kino buduje się teraz pod miastem, na wysokiej górze. Spieszą się z wykończeniem, bo gmach musi być gotów na premierę mego filmu, to będzie uroczyste otwarcie. Góra jest bardzo wysoka, ma dwa tysiące metrów, i ze szczytu widać pół Ameryki: Kordyliery, Andy i ocean Atlantycki, który ma taki sam błękitny kolor jak Adriatyk w Abbazii, gdzie byłem kiedyś razem z mamą na wakacjach. Ludzie będą z Nowego Jorku przylatywać do tego kina helikopterami, na specjalne lotnisko, za jednego dolara od osoby. W następnym liście opiszę mamie zapowiedziane na otwarcie kina uroczystości. Chociaż mam tyle pracy, czuję się dobrze i humor mi dopisuje, bo niedługo się zobaczymy. Dla zdrowia codziennie przynajmniej godzinę poświęcam na sport, żeby nie utyć: trenuję boks, pilotuję samolot, odbywam długie marsze i pływam. Tu muszę mamie objaśnić, gdzie pływam: we własnym basenie, w parku.

Poprzednio pisałem mamie, że mam apartament w najwytworniejszym hotelu w Nowym Jorku, Waldorf-Astoria. Zajmowałem tam dwadzieścia pokoi na setnym piętrze. Z tej wysokości widać niemal pół Ameryki. Było tam jednak ciasno, bo mam duże biuro: samych sekretarzy sześciu i prawie tuzin maszynistek. Trzeba było nawet w salonach ustawić łóżka i to piętrowe, jak w tych schroniskach turystycznych w Szwajcarii, które mama widziała podczas podróży poślubnej. Na dobitkę wciąż nas nachodzili reporterzy z całego świata i zawracali nam głowę. Toteż w tajemnicy wynieśliśmy się nie podając nikomu adresu. Mieszkam teraz o tysiąc kilometrów od Nowego Jorku, w szesna-

stowiecznym francuskim zamku, który rozebrano i tu na nowo zbudowano. Tyle tylko, że budowniczowie zadbali o wszelkie techniczne udogodnienia: jest park na stu hektarach z paroma basenami pływackimi, terenem golfowym, lotniskiem w pobliżu i urządzenia klimatyzacyjne tak w zamku, jak w zabudowaniach. Pokoi jest dosyć, nawet mój służący Murzyn i fryzjer dostali każdy oddzielny apartament, a stajenny mieszka w małym domku przy stajniach. Zapomniałem przedtem napisać, że codziennie przed śniadaniem odbywam konną przejażdżkę. Mam piękną klacz Darling. Nikogo z sobą nie zabieram, tylko w pewnej odległości za mną jadą także konno ludzie z mojej przybocznej straży. Tak zarządziła wytwórnia, muszą czuwać nad moim bezpieczeństwem. Dla załatwiania spraw w Nowym Jorku latam własnym odrzutowcem, pomalowanym jak węgierska flaga na czerwono, biało i zielono. Lot trwa godzinę, więc na obiad wracam do zamku. Po staremu nie zaniedbuję poobiednej siesty, która mi pozwala zebrać siły do wieczornej pracy. Mój adres jest utrzymywany w tajemnicy, niech więc Luca wysyła listy na Waldorf-Astorię, a stamtąd będą mi je przekazywać.

Wstyd mi trochę, że tyle mi okazują względów, ale mamie muszę przecież o wszystkim pisać, żeby smutek długiego rozstania nieco złagodzić. Dobrze, że to się niedługo skończy i będziemy razem. Niech się mama nie gniewa, że nie posyłam teraz pięknych prezentów, ale za film zapłacą mi dopiero wtedy, kiedy będzie zupełnie skończony, a z drugiej strony w kraju trzeba by płacić bardzo wysokie cło. Dlatego wysyłam tylko drobiazgi na adres Lucy. Wybrałem już dla mamy piękny, luksusowy samochód marki Ford, jasnoszary. Poza tym adapter z tysiącem płyt i wspaniałe super-radio, które łapie nawet audycje z bieguna północnego. Szkoda tylko, że tam nie nadają Beethovena! Irenie kupię gdzieś niedaleko mały domek, z pięcioma lub sześcioma pokojami. Nie piszę,co przywiozę dla Lucy, bo to tajemnica. W parku tutaj spaceruje sobie oswojony niedźwiedź, brunatny, taki duży jak dwa razy Irena. Bardzo go lubię, będę się starał go kupić, może się uda. Tylko może będzie w domu kłopot, bo nie wiem, gdzie byśmy go trzymali. Wie mama, ten niedźwiedź jest zupełnie podobny do tego, którego widzieliśmy w Wiedniu w ogrodzie zoologicznym, kiedy miałem dziesięć lat. Czy mama pamięta? Potem wieczorem mama zabrała mnie na operetkę „Piękna Helena" a ja podczas przedstawienia tak głośno się śmiałem i wykrzykiwałem, że cała widownia na mnie zwracała uwagę. Mama mi to później często opowiadała.

Teraz opiszę mamie, co jest przewidziane podczas uroczystej premiery filmu. Tylko niech mama na razie nikomu o tym nie mówi, bo to jeszcze tajemnica dyplomatyczna. Rzecz jasna uro-

czystość i cały film będą transmitowane przez wszystkie amerykańskie rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne, więc słuchać i oglądać je będzie co najmniej pięćdziesiąt milionów ludzi. Dziennikarzy zjedzie ze stu albo i dwustu, poza tym obecni będą sprawozdawcy radiowi z całego świata, między innymi sławny Mr. Smith. Wielka szkoda, że w Budapeszcie nie da się słuchać transmisji!

Wiele wybitnych osobistości ma przyjechać, i to ze względu na mnie. Nie dlatego piszę, żebym był z tego dumny, ale chcę mamie sprawić radość. Pani Rooseveltowa, wdowa po prezydencie, objęła protektorat nad uroczystością. Ona to zaprosiła swoją serdeczną przyjaciółkę królową holenderską Wilhelminę, która obiecała swój przyjazd. Zjedzie także prezydent Francji z całą rodziną, a w imieniu królowej angielskiej wystąpi jej syn, książę Walii; pewnie go mama pamięta, bo był kiedyś w Budapeszcie i bardzo chwalił naszą morelówkę. Zapowiedzieli się także radziecki minister spraw zagranicznych, węgierski minister kultury, kanclerz Niemiec, król Grecji, a teraz toczą się rozmowy na temat, czy zaprosić i dyktatora Hiszpanii, generała Franco. To sprawa delikatna, dyplomatyczna. Przyjechać ma także maharadża Dżapurty z całym dworem i swoim ulubionym białym słoniem. Z tym będzie kłopot, bo słonia nie dowiezie się samolotem na szczyt góry, więc buduje się dla niego na równinie piękne pomieszczenie z białego marmuru, obok domek dla służby słonia, wszystko naturalnie zaopatrzone w urządzenia klimatyzacyjne. Słoń występuje przybrany w czaprak z litego złota, bogato ozdobiony perłami i drogimi kamieniami."

Podniecenie tak wyczerpało staruszkę, że nie zdołała doczytać listu i usnęła. Kiedy spała, można było bez obawy przy niej rozmawiać, gdyż tylko wtedy reagowała na dźwięki, kiedy widziała poruszające się usta. Spała cichutko, nawet oddech był niesłyszalny, a wyraz jej twarzy odzwierciadlał poczucie szczęścia. Umysł miała jasny w odniesieniu do innych spraw, ale dawała ślepą wiarę wszystkiemu, co dotyczyło syna. Bez zastrzeżeń wierzyła w jego rozum, zdolności, siłę i odwagę — w jej mniemaniu był geniuszem.

— Nawet nie zwróciła uwagi na to, że list był nadany w Peszcie — powiedziała ze śmiechem Irena. — Co pani tym razem powypisywała w tym liście?

Luca zerwała się, podbiegła do okna i stojąc za łóżkiem wyciągnęła język: jakby się bała, że staruszka zamkniętymi oczami mogłaby ją zobaczyć.

— Oj wypisałam, i to z fantazją!

— Dzisiaj nie, ale jutro od szóstej rano zacznie mi opowiadać — powiedziała gosposia.

— Niech się i gosposia nacieszy.

Umilkły. Słońce stało już wysoko, na twarz staruszki nasunął się cień, tylko lustro w drzwiach szafy odbijało wpadające promienie. Rżnięty kant kryształowego lustra odrzucał światło rozbite na całą skalę barw tęczy, migotliwie zdobiąc boczną ścianę. Kilka os brzęczało sennie nad żółtymi bratkami.

— Jak długo pani to wytrzyma? — powiedziała współczująco Irena.

— Wytrzymam...

— Chyba nie dziesięć lat...

— Jeden rok już odsiedział, już tylko dziewięć zostało.

Gosposia pokiwała głową.

— Tego to starsza pani nie dożyje.

— Nie — potwierdziła Luca — ale jak długo żyje, niech jej niczego nie brakuje.

— Profesor Heténi obiecał jej dożyć stu lat, to znaczy jeszcze cztery.

— Może — zgodziła się Luca. — Gosposiu, proszę spojrzeć, jak ładnie wygląda z tej strony!

Staruszka spała takim mocnym i błogim snem, że Luca postanowiła pójść. Ledwie jednak zrobiła parę kroków w kierunku drzwi, leżąca odezwała się:

— Dokąd ty iść, Luca?

Luca odwróciła się roześmiana:

— Miałam zamiar uciec, mamusiu.

Staruszka w milczeniu, długo patrzyła na delikatną ale pełną energii postać młodej kobiety. Uniosła nawet nieco głowę znad poduszki i usta jej się ułożyły w łagodny uśmiech.

— Twoje włosy być bardzo ładne, takie trochę czerwone w słońcu — powiedziała. — Zupełnie jak u angielska księżniczka.

— Rumieniec zalał policzki Lucy.

— Eee! Czy naprawdę tak się mamie podobają?

— Naprawdę! — powtórzyła staruszka i skinieniem palca przywołała synową. — Teraz pocałuj mnie, ale nie w czoło. Ja ciebie też pocałować. Jesteś bardzo dobra i taka bardzo śliczna.

— Ojej! — powiedziała Luca.

— Ja chcieć ciebie o coś zapytać — zafrasowała się staruszka. — Dlaczego mój syn mieć tam w Ameryce straż osobista?

Luca przełknęła ślinę i zatrzepotała długimi rzęsami.

— Bo... w Ameryce każdy sławny człowiek jest pod opieką detektywów, mamo.

— To i dobrze — uspokoiła się staruszka, ale prawie natychmiast wybuchnęła śmiechem. — Ha, ha! Powiedz, czy ty chcieć niedźwiedzia? — spytała zasłaniając bezzębne usta dłonią. — Taki duży niedźwiedź, taki jak dwa razy Irena? Mein Gott, co

za pomysł! Tylko Janos może mieć taka myśl... — Staruszka tak szczerze się śmiała, że w oczach ukazały jej się łzy. — No, teraz ty już iść! — Rzuciła jakby zniecierpliwiona. — Ja ci jutro opowiedzieć, co Janos pisać.

Luca nie doszła jeszcze do drzwi, kiedy teściowa wstrzymała ją.

— Luca! — zawołała nerwowo. — Ty zapomnieć wyrwać moje włosy na brodzie, a dzisiaj przyjść profesor Hetényj. Pincetka leży w szufladka. Nałóż mi nowy kaftanik, bo Irena się gniewać. Patrz... — powiedziała przyglądając się z zadowoleniem swemu nagiemu ramieniu — mam ładna gładka skóra, nie zmarszczona, tylko jak zgiąć rękę...

— Jak ja zegnę rękę, to też mi się robią zmarszczki, mamusiu.

Staruszka tylko na nią spojrzała.

II

MAJESTUOSO

Tego dnia Luca zadzwoniła do mieszkania teściowej później niż zwykle. Cztery gęsi na drodze gęgały w nagrzanym przez słońce pyle, ale czterech zagadanych kumoszek nie było — widocznie już poszły gotować obiad.

Gosposia otworzyła drzwi, ale nie wpuściła gościa do środka, tylko własną osobą zatarasowała przejście i bystrymi małymi oczkami wciśniętymi w rumianą twarz bacznie przyjrzała się młodej kobiecie.

— Cóż to, Ireno, nie można dziś wejść? — zapytała ze śmiechem Luca.

— Co się stało? Czy coś złego? — spytała gosposia nie ruszając się z miejsca.

— Głupie gadanie, czemu zaraz coś złego? — odpowiedziała młoda kobieta. — I co, naprawdę nie da mi gosposia wejść?

Stara gospodyni ani drgnęła.

— Co złego mogłoby się stać? — dodała Luca. — Nic się nie stało.

— A dlaczego pani dziś przyszła bez kwiatków?

Luca roześmiała się.

— Gosposia wszystko zaraz wypatrzy. Nie miałam czasu... Ale niech mnie Irena wreszcie puści, i tak jestem okropnie spóźniona.

— Więc pani nie miała czasu? — spytała gosposia.

Kuchnia błyszczała podwójnie, bo wpadające przez okno słońce odbijało się od białego lakieru sprzętów. Od jaśminowych

krzaków rosnących przy trawniku szły fale dusznego, słodkiego zapachu. Luca poruszyła nozdrzami.

— Dlaczego nie czuję smażonych grzanek? Czy już je zjadła?

— Dawno.

— To już tak późno?

— Prawie południe.

— Gosposiu, proszę wykraść z wazonika kwiatek, który wczoraj przyniosłam. Nie zdążyłam nic kupić.

— Pewnie pani nie miała pieniędzy? — spytała gosposia.

Luca nie odpowiedziała, tylko powtórzyła: — Niech gosposia da tamten kwiatek, owiniemy go w bibułkę... Co ja wczoraj przyniosłam?

Gosposia pokręciła głową.

— Od razu zauważy, jak go wyjmę. To był biały goździk.

— Przemaluję go na różowo, niech gosposia go przyniesie.

Tęga gosposia roześmiała się.

— Może pani ma ochotę na kieliszek nalewki?

— Nawet bardzo.

Z kuchennego kredensu gosposia wyjęła karafkę i kieliszek. Stały za stosami ustawionych jedne na drugich talerzy: oddzielnie głębokich, dużych płaskich i średnich. Ten ostatni stos był nieco niższy. Za talerzami znajdowały się jeszcze różne półmiski, salaterki, podstawki do ciast i podobna do urny wielka waza. Złoty paseczek na brzeżku każdego naczynia błyszczał w promieniach słońca.

— Wczoraj starsza pani znowu stłukła jeden deserowy talerzyk — mówiła gosposia sięgając na górną półkę, wyłożoną białym papierem z koronkowym obrzeżeniem — teraz już brak czterech sztuk z serwisu... O, co się pani stało? — spytała zaskoczona odwracając się z nalanym kieliszkiem, bo Luca płakała bezgłośnie z głową opartą na dłoniach. — Od razu się domyśliłam...

Młoda kobieta podniosła gniewnie głowę.

— Czego się gosposia domyśliła? No, czego?

Starsza kobieta w milczeniu na nią patrzała.

— I co w tym dziwnego, że płaczę? — Luca jeszcze raz chlipnęła przy tych słowach. — Przecież widzę, że z mojej schedy będzie miazga! Czterech talerzyków już brak! A może starsza pani nie mnie, a gosposi zapisała serwis?

— Naturalnie że mnie — szybko i stanowczo powiedziała gosposia. — Serwis i srebro będą dla mnie. No, co pani jest?

— Nic.

— Ma pani pieniądze?

— W zeszłym tygodniu zarobiłam siedemdziesiąt cztery forinty malowaniem szalików...

Z dużej torebki w kształcie worka Luca wygrzebała chusteczkę, puderniczkę, pomadkę do ust i lusterko. Wszystko po kolei wykładała na stół, lusterko nawet wytarła chusteczką, bo było pobrudzone pudrem. Przejrzała się w nim z powagą, jakby od tej czynności zależało jej życie. Przesuwała wolno małe lusterko przed twarzą, kolejno badając każdy jej rys. Czubkiem palca przygładziła natłuszczone powieki, potem otarła o siebie wargi takim ruchem, jak przeżuwająca krowa. Poślinionym palcem przejechała po brwiach. Na tym skończyło się tworzenie świata, nie znającego śmierci ani zniszczenia. Potem odsunęła nieco w bok lusterko i kątem oka skontrolowała ciężki, miedzianorudy węzeł na karku: to już była niedziela, dzień odpoczynku.

— Ten kok kosztował mnie tylko dwa dni i dwie noce przepracowane — powiedziała znużonym głosem, w którym jeszcze się wyczuwało trud tworzenia.

Gosposia przysiadła na stołku, z którego zdarła się już biała farba i przeglądało czyste drzewo.

— Jeżeli pani potrzebuje, to pożyczę pani pieniędzy, mąż wczoraj dostał wypłatę.

— Dziękuję... Ostatnio fryzjer dawał mi osiemset forintów za włosy, tyle, co dwa miesiące komornego.

— Czy są jakie wiadomości? — zapytała po chwili milczenia gosposia.

— Nic. A jak ze starszą panią?

— Parę minut temu zaglądałam do niej, to spała.

Młodej kobiecie znowu stanęły łzy w oczach. Była zdenerwowana, nie miała siły, żeby się opanować.

— Co się stało? — spytała gosposia.

— Nic. Nie mogę sobie dzisiaj dać rady z sobą. Proszę mnie nie wypytywać!

— A może pani jest trochę niezdrowa...?

Luca zaśmiała się, z kącika oka wypłynęła łza.

— Chyba i z tym niedługo skończę.

— No więc...?

— Zjawił się rano komornik — wykrztusiła wreszcie Luca. — Męczył mnie od dziewiątej do jedenastej.

— Komornik? Przecież już wszystko opieczętowane.

— Nie wszystko.

— Jak to nie wszystko?

— Po prostu jeszcze nie wszystko opieczętował.

Stara gosposia splotła dłonie na podołku i zapatrzyła się w okno, na którym na drodze gęgały spłoszone gęsi.

— Ledwie poszedł, zaraz przyszedł dozorca z całą rodziną: on, żona i córka. Chórem odśpiewali Requiem Verdiego, żebym się przestała denerwować.

— Co takiego?

— E, tak sobie tylko plotę.

Gosposia wstała, ale zaraz siadła z powrotem na stołku. Luca zmarszczyła brwi i zaczęła opowiadać:

— Jak byłam mała, oddano mnie na pensję do zakonnic. We włosach zalęgły mi się wszy i wtedy matka przełożona kazała mi ogolić głowę przy samej skórze. Dobry rok trwało, zanim jako tako odrosły. Tak się czułam przez ten rok jak teraz.

Gosposia milczała.

— O, dopiero teraz przyszło mi do głowy, że matka przełożona pochodziła z Wiednia. Zawsze byłam zła, kiedy z Lilką Bulyovszki rozmawiały po niemiecku, bo ani słowa nie rozumiałam.

— Te piękne miedziane włosy kazała obciąć?

— Właśnie dlatego kazała je zgolić, że były rude — powiedziała Luca. — Nazajutrz mama tak się pogniewała, że niemal wychłostała matkę przełożoną szpicrutą, ledwie ją powstrzymano.

— A mnie się zdawało, że komornik już wszystko opieczętował — zagadnęła po chwili starsza kobieta.

— Nie wszystko — odpowiedziała lakonicznie Luca.

— Jak to się stało, że coś zostawił?

Luca zrobiła gwałtowny ruch ręką, bo ją to pytanie zniecierpliwiło, i uderzyła się przy tym w łokieć.

— Och, lepiej żeby mnie nikt nie wspominał! — zawołała i odstukała w niemalowany spód stołu. — Obejdę się bez niczyich myśli i wizyt. Nie chcę już nieproszonych gości, miałam ich dosyć... No, przecież moje meble jeszcze nie były opieczętowane.

— To jasne — oświadczyła gosposia.

— Niby dlaczego jasne? Czy dlatego, że miałam rachunki i kwity przewozowe na dowód, że to moje meble, a nie męża? Jak się pobraliśmy, nie miał nawet dosyć gratów do jednego pokoju, nawet porządnego tapczana nie miał.

Gosposia potwierdziła to: — Wiem.

— Dziś rano zjawił się u mnie pan Kulinka z poleceniem ministerstwa, żeby wszystko opieczętować, a ja mogę się teraz prawować z władzami o to, co moje. Nic tylko pisał zera: dziesięć tysięcy, pięć tysięcy, osiem tysięcy, znowu dziesięć i jeszcze cztery... błagałam go i tłumaczyłam, że przecież zostanie to cofnięte, więc może niżej wycenić, bo nie mam pieniędzy na znaczki stemplowe. Zasmucił się, kiwał żałośnie głową i miał łzy w oczach, tak mu było smutno, potem wrzasnął: szafa neobarokowa dwadzieścia tysięcy!

— Dwadzieścia tysięcy — pokręciła głową gosposia.

— Nie można się dziwić, przecież jest tyle warta, z łatwością tyle bym za nią dostała, gdybym ją chciała sprzedać. Ale nie sprze-

dam, wolę zdechnąć. Niech Janos po powrocie zastanie wszystko tak, jak było.

Gosposia wbiła wzrok w podłogę.

— Czemu gosposia płacze? — zniecierpliwiła się Luca. — Czemu? Tak jak pan Kulinka. Rewizji osobistej nie ma, ale do szuflad można zaglądać... — oczy młodej kobiety były pełne łez. — Gosposiu, proszę odnaleźć pudełko po francuskim mydle, które kiedyś odłożyłyśmy.

— Przyniosła pani mydło? — spytała gosposia otwierając kuchenny kredens.

— Zaraz, proszę także o to czeskie pudełko po pralinkach, to ładne, czerwone... — mówiąc to wyjęła z torebki mydło toaletowe Caola i torebkę czekoladowych cukierków.

— Jeszcze nie ruszyła tych, które pani ostatnio przyniosła.

— Nic nie szkodzi! — powiedziała Luca krzywiąc twarz czymś w rodzaju uśmiechu. — To przecież ukochany syn jej przysyła z Ameryki! — dodała ironicznie.

Wysypała cukierki na stół i starannie po jednemu ułożyła w pudełku. Było ich tyle, że zapełniły je. Roześmiała się.

— Z czego się pani śmieje? — spytała gosposia.

— Z samej siebie.

Nagle rozległ się dzwonek, kilka szybko po sobie następujących sygnałów. Gosposia spojrzała pytająco na Lucę.

— Wejdzie tam pani?

— Za chwilę. Muszę trochę odpocząć.

— Może pani chce się na kwadransik położyć w moim pokoju?

— Nie warto. Jak się położę po obiedzie, to będę spała do rana. Nie mam teraz żadnej roboty.

Znowu zabrzmiał dzwonek.

Przed miesiącem staruszka upadła przechadzając się po pokoju i złamała nogę w kostce — od tego czasu stała się bardziej nerwowa i kapryśna. Nieraz dzwoniła po kilka razy z rzędu na gosposię, albo też całymi dniami leżała nieruchomo z zamkniętymi oczami. Nie chciała wtedy ani czytać, ani słuchać radia. Nie spała, bo natychmiast otwierała oczy, gdy ktoś wchodził do pokoju. Wzrok jej nie miał wtedy błędnego wyrazu, jak po przerwanym śnie, lecz przypomniał raczej znużenie po dalekiej podróży, które gasiło blask oczu i cery, pozwalając spływać z kącików ust wilgoci wydzielanej przez samoczynne gruczoły ślinowe. Patrzyła badawczo na wchodzącą osobę, jakby chciała dojść, z jakiego to świata przybysz. Czasem zniecierpliwionym ruchem robiła taki znak, jak dla odprawienia nieproszonego gościa.

Od czasu wypadku nie mogła odbywać popołudniowych przechadzek po pokoju — i chociaż nie cierpiała, a nawet nie wie-

działa, że ma złamaną nogę, gdyż powiedziano jej tylko o zwichnięciu, — brak codziennych spacerów wprowadził zamieszanie w utarty porządek dnia i zachwiał trochę skurczonym, ale jako tako dotychczas wyraźnym obrazem świata. Kiedy zmarł profesor Hetényj, trzeba było wprowadzić do akcji zastępcę — niby chwilowo, gdyż profesor musiał wyjechać na jakiś kongres do Związku Radzieckiego. To wydarzenie także wpłynęło na zachwianie jej poczucia rzeczywistości. Chociaż bowiem nowego doktora od razu polubiła, gdyż niejasno przypominał jej syna Janosa, to jednak działał sam fakt wtargnięcia obcego człowieka w ciasny horyzont jej życia. Było rzeczą zrozumiałą, że dr Illés doskonale znał język niemiecki i niemieckich klasyków — innego lekarza nikt by nie śmiał sprowadzić staruszce — ale poza tym miał przyjemny tenorowy głos i od czasu do czasu występował publicznie. Tego nawet profesor Hetényi nie potrafił! Podobnie jak profesor, nowy lekarz podzielał podziw staruszki dla nieobecnego syna.

— Czy to ty, Irenko? — usłyszała Luca głos staruszki.

Młoda kobieta podbiegła na palcach, żeby usłyszeć rozmowę. Nawet gdy była sama, poruszała się z takim wdziękiem, jakby na nią patrzono. Także przy teściowej, chociaż staruszka miała bardzo słaby wzrok. U Lucy i ciało, i twarz były w ciągłym ruchu: rysy coraz to układały się w grymas, brwi podbiegały na czoło, śmiała się lub uśmiechała sama do siebie, jakby na siebie stale patrzyła lub z sobą rozmawiała. Właściwie niepotrzebnie podbiegła do drzwi, bo słuch miała tak ostry, że i z kuchni byłaby każde słowo wyraźnie słyszała.

— ...to ty, Irenko?

— Naturalnie, że ja. Przecież pani dzwoniła.

— Chodź tu bliżej, Irenko, nie widzę twoja twarz — nakazała podejrzliwym tonem staruszka. — Czy ja naprawdę dzwonić?

— Dwa razy.

— Nie pamiętam... Ale czego ja chcieć?

— Skąd ja mogę wiedzieć — mruknęła gosposia. — Może chciała pani zapytać, która godzina?

— O tak — ucieszyła się staruszka. — Która godzina?

— Zaraz będzie dwunasta.

— Dwunasta? — zdziwiła się staruszka. — Może ja jeszcze coś innego chcieć?

— Pewnie chciała pani zapytać, co ja sobie ugotowałam na obiad.

— No, co ty ugotować na obiad?

— Mam od wczoraj kawałek mięsa z rosołu, do tego kartofelki i sos pomidorowy.

— E, nie lubię. A może zrobisz łazanki z kapustą kwaszoną?

— Nie — powiedziała gosposia potrząsając przecząco głową.

— Szkoda — smutno stwierdziła staruszka. — Profesor Heténi mi nie pozwolić jeść łazanki z kapustą, ale ja zawsze skosztować. Aha, już wiem, co ja chcieć. Powiedz Irenko, która godzina?

— Już pani powiedziałam, że zaraz dwunasta — wyjaśniła bez zniecierpliwienia gosposia.

— Przecież wiem, ale dlaczego moja synowa jeszcze nie przyjść?

Lucy właśnie o to chodziło, ucieszyła się i zrobiła zabawny grymas. A więc teściowa oczekuje jej przyjścia! Może tylko dlatego, żeby z nią o synu porozmawiać... Skoczyła do kuchni, zerknęła jeszcze raz do lusterka i już była w pokoju.

— Dzień dobry, mamusiu! — głośno zawołała.

— Ach, to ty? — odpowiedziała jej staruszka mrukliwie. — Dlaczego ty tak późno przyjść? Irenka mi mówić, że już południe.

— Mamusiu kochana, napisałam bardzo długi list do Janosa i zaraz go zawiozłam na lotnisko, żeby jeszcze dzisiaj odszedł.

— To dobrze.

— Proszę zgadnąć, co mamusi przyniosłam? — zaśpiewała Luca.

— Pewnie kwiatek — odpowiedziała staruszka. — Oj, powinnaś się wreszcie nauczyć oszczędzać! A jaki dzisiaj masz kwiatek?

— Biały goździk.

Staruszka popatrzyła na nocny stolik, ale nie było tam wczorajszego goździka. Podejrzliwie przyjrzała się wazonikowi, który trzymała Luca.

— Dołożyłam do tamtych, bo przywiądł od upału. No, a co jeszcze przyniosłam mamusi? — usiłowała zagadać staruszkę, która nie odrywała wzroku od kwiatów. — Niech mamusia zgadnie! — powtórzyła jeszcze raz Luca.

Staruszka bez zainteresowania spojrzała na prezenty.

— Znowu francuskie mydło? Janos przysłać? Ładnie pachnie, niech Irenka schowa. Tak samo pralinki. Ty napisać do Janosa, żeby on już nie przesyłać mydło i czekoladki, w szafie jest dużo.

— Czemu ma nie przysyłać? — spytała Luca. — To zawsze jest potrzebne, niech przysyła.

— Niech on też oszczędzać — w głosie staruszki brzmiało znużenie. — On trwonić pieniądze. Jak wy będziecie żyć, jeżeli ani ty, ani on nie oszczędzać? Ty też kiedyś będziesz stara...

— Nigdy, mamusiu! — przerwała jej Luca ze śmiechem. — Jeżeli tylko będzie puder i róż...

Staruszka opuściła powieki.

—Ja myśleć, że już po południu i że ty już pójść do domu — powiedziała smętnie. — A teraz musieć jeszcze jeść niedobry obiad.

Nagle, jakby zapomniała o dręczących ją nerwobólach, wychyliła się poza łóżko. Nieco błędnym wzrokiem wpiła się w twarz synowej.

— Chodź tu bliżej — nakazała.

— Słucham, mamusiu.

— Jeszcze bliżej! Jeszcze! Powiedz mi prawdę: kiedy on przyjechać?

— Kto taki? — spytała Luca zaskoczona.

Był to pierwszy raz od roku przynajmniej, że staruszka tak prosto wyraziła nurtujące ją wątpliwości. Czasami co prawda traciła cierpliwość i wypowiadała gniewne słowa pod adresem syna za to, że na tak długo wyjechał, ale faktycznie nigdy nie wątpiła w jego rychły powrót. Kiedy mijał obiecany termin jednego czy trzech miesięcy — czego zresztą nie była w stanie kontrolować, gdyż nie miała najmniejszego poczucia czasu — z bezkompromisową macierzyńską ufnością przyjmowała do wiadomości, że nawał spraw zatrzymał znowu syna. Wystarczała jej nowa data. Teraz po raz pierwszy zrodził się w niej bunt.

— Musisz mi powiedzieć prawdę! — powtórzyła stanowczym tonem. Nałożyła okulary i poważnie patrzyła. — Powiedz: kiedy Janos wracać do domu?

— W ostatnim liście napisał, że ma jeszcze na trzy miesiące roboty — powiedziała Luca. — To było przed miesiącem.

Staruszka rzuciła się na poduszki i głośno się rozpłakała piskliwym, starczym głosem. Łzy ciekły z otwartych oczu spływając po chudej, zmarszczonej twarzy nie zmieniając jej wyrazu, wreszcie ginęły pod czarną aksamitną wstążką czepeczka. Luca nigdy jeszcze nie widziała jej płaczącej. Nie płakała ani razu nawet w roku pięćdziesiątym szóstym, kiedy pociski dział niemal im rozwaliły dach nad głowami, a od huku drżały mury. Siedziały we dwie, przerażone, bo Irena poszła do męża do fabryki i tam została, od Janosa zaś przez cały tydzień nie było wiadomości. Staruszka już wtedy była niedołężna i cały czas leżała w łóżku, ale ani huk wybuchów, ani wstrząsy nie wywoływały u niej przestrachu. Może dlatego, że słuch miała stępiony. Całymi dniami opowiadała różne wydarzenia ze swojej młodości, z dzieciństwa Janosa, albo żądała, by Luca mówiła o własnym dzieciństwie i o swojej rodzinie.

— Niech mamusia nie płacze! — usiłowała ją teraz uspokoić Luca, kiedy jako tako zapanowała nad odruchem przerażenia. — Już tylko dwa miesiące, to prędko minie!

— Ja tego nie dożyć — chlipała staruszka. — Ja już nie dożyć...

— Co też mama opowiada! — oburzyła się głośno Luca. — Czy profesor Hetényi nie powiedział, że mama będzie sto lat żyła?

— Co ty mówić?

— Przecież profesor Hetényi powiedział...

Zapłakana twarz staruszki zwróciła się ku synowej. Milczała, tylko wszechwiedzącym naiwnym spojrzeniem mierzyła ją przez chwilę, potem machnęła ręką.

— To znaczy, że jeszcze co najmniej cztery lata! — wykrzyknęła Luca.

Staruszka odwróciła głowę i zapatrzyła się w sufit.

— E... — powiedziała — może i profesor Hetényi nie żyje...

Zapadła cisza, w której słychać było tylko lekko świszczący oddech staruszki.

— Jak tak, mamusiu, to ja jutro napiszę do Janosa, żeby zaraz wracał — oświadczyła Luca takim tonem, jakby właśnie powzięła to postanowienie.

— Co ty mówić? — zapytała po chwili staruszka.

— Napiszę do Janosa, żeby zaraz wracał — powtórzyła nieco głośniej Luca.

— Kiedy?

— Jeszcze dzisiaj napiszę.

Teściowa znowu skierowała na nią wzrok.

— Nie to mnie obchodzić, tylko kiedy on wrócić?

— Natychmiast! — wykrzyknęła Luca. — Już dosyć długo siedzi w tej Ameryce, mam tego powyżej uszu.

Łzy na twarzy staruszki przestały ściekać, z piersi wyrwało się westchnienie.

— Natychmiast? — powtórzyła wahająco, jakby niezupełnie zrozumiała.

— Zaraz do niego napiszę — mówiła wyraźnie Luca pochylona naprzód — że nawet jeżeli nie skończył tego przebrzydłego filmu, niech to wszystko rzuci i przyjeżdża natychmiast. Mamusia ma zupełną rację, mnie też się już znudziło to czekanie.

— Chcesz żeby on rzucić ten film? — spytała staruszka.

— Mamusia może być zupełnie pewna — Luca już niemal krzyczała — że jak mu zagrożę rozwodem, to on jak wariat tu przyleci.

Staruszka patrzyła zdumiona.

— Ty? Ty chcieć rozwód?

— Pewnie że chcę — odpowiedziała stanowczo. — Chyba mamusia się zgodzi, że żony nie można zostawić przez tyle czasu

samą. Każda inna byłaby dawno męża zdradziła, tylko ja... Co on sobie właściwie myśli?

— Chcesz, żeby on rzucić film? Przed premierą? — Głos staruszki był drżący z przejęcia.

— S... na tę całą premierę! — oświadczyła Luca. — Nabić w armatę i wystrzelić! Nie potrzebuję jego dolarów! Jeżeli nie chce, żebym go zdradziła, to niech zaraz wraca!

Staruszka podniosła się na łokciu.

— Co ty mówić? Ty go zdradzić?

— Gwiżdżę na jego dolary! — ciągnęła Luca — Wiem, że nie dostanie ani centa, jeżeli nie skończy filmu. Wiem, że cała jego praca pójdzie na marne, ale mi to obojętne, znudziło mi się być tak długo samej...

Staruszka siedziała już na łóżku zupełnie wyprostowana.

— To Janos nie dostać ani grosza, jeżeli teraz wrócić? — spytała.

— Pewnie że nie dostanie! — wykrzyknęła ze złością Luca patrząc spod oka na staruszkę. — Mnie tam jego pieniądze nie są potrzebne. Mamusia ma rację, nadam jeszcze dzisiaj telegram, żeby wszystko rzucił i wracał.

Staruszka milczała.

— Dumme Gans — rzuciła nagle i poczerwieniła z oburzenia. To znaczy, że ta cała robota być na próżno?

— Tak, na próżno! — powtórzyła Luca. — Nie tylko o pracy powinien myśleć, ma przecież i żonę, i ukochaną matkę!

— Dumme Gans — powiedziała ze złością teściowa. — Mężczyzna musi myśleć o pracy, to dla niego pierwsza rzecz. Ty nie możesz brać odpowiedzialności za to, żeby on nie kończyć filmu. On napisać, że królowa holenderska ma przyjechać na premierę! Ty nie pamiętać?

Luca gniewnie wzruszyła ramionami.

— Co mnie to obchodzi. Pójdę nadać telegram. Mamusia dobrze powiedziała, że on powinien wrócić.

— Wcale nie! — Wrzasnęła ze złością staruszka. — Jesteś strasznie głupia. Jak ja trochę pojęczeć, ponarzekać, to ty nie musieć zaraz wyrywać włosy z głowy. Nie pozwalam, żeby ty pisać!

— Nie będę pisała, tylko nadam depeszę. Przecież mama jest ważniejsza niż królowa holenderska...

— Nie pozwalam, żebyś ty telegrafować — powtórzyła staruszka. Wzburzenie i niezwykła emocja zaostrzyły jej rysy, nos groźnie sterczał wymierzony w synową. Ale w jednej chwili nastąpiła zaskakująca zmiana: rysy złagodniały i na ustach wykwitł uroczy uśmiech, wynik mądrości nabytej przez wiele dziesiątków lat. — Ja wiem, moje dziecko, co ciebie boleć. Ty być zazdrosna

o Janosa. Ale ja go dobrze znam, to mój syn, możesz być spokojna. On być podobny do mnie: jak on kogoś kochać, to być wierny. Nawet jeżeli on tam w Ameryce ciebie zdradzić, a może nawet w Europie, bo ja też jeden raz swojego męża zdradzić, to i tak on każdej kobiecie powiedzieć: a kuku! Ty nie potrzebować wysyłać telegram. On wrócić, z tobą żyć i przy tobie umrzeć.

Rozległ się dzwonek: to nowy lekarz, doktor Illés, wstąpił na kwadransik leczniczo-pedagogicznej rozmowy. Dzięki niezbadanym skokom wyobraźni jego widok przywodził staruszce na myśl syna. Sprzeczała się z nim, złościła się na niego, ale bardzo go lubiła. Teraz także rozpromieniła się i uśmiechnęła przez łzy. To, że był lekarzem, było dostatecznym powodem do szacunku: jej dziewiętnastowieczny racjonalizm nakazywał niemal zabobonną cześć dla nauki. Niezależnie od tego przystojny mężczyzna o ujmującym uśmiechu działał swym męskim urokiem na jej wrażliwe kobiece serce. Lekka łysinka przypominała jej syna, a znajomość niemieckich klasyków — chociaż nie dorównywał profesorowi Hetény'emu — wyczarowywała wspomnienia lat panieńskich oraz dawnych wielbicieli. W rozmowie tak się opryskiwali cytatami, jak swawolne dzieci ochlapujące się wodą podczas rzecznej kąpieli.

Z jedną rzeczą tylko nie mogła się pogodzić: że doktor Illés od czasu do czasu śpiewał w kościele — albo podczas sumy w niedzielę, albo w Boże Ciało czy też w Święta Wielkanocne.

— I cóż, panie doktorze, znowu pan gdzieś śpiewał w kościele? — pytała nieco kpiącym tonem wpatrzona znużonym wzrokiem w pochyloną nad łóżkiem twarz lekarza. — Bo ja to od dziewięćdziesięciu lat nie byłam w kościele.

— Czyżby, ani razu? Nawet na własnym ślubie?

— Nie — odpowiedziała — tylko przy zwiedzaniu, kiedy podczas podróż poślubną mąż zabrać mnie do Francji. Ale ja nie rozumieć obrazów, ja tylko chodzić po kościele i patrzeć jak ludzie się modlić w ciemnych kątach i myśleć sobie: oh, les pauvres!

Stojąca w drzwiach gosposia ukradkiem się przeżegnała.

— Jak ja mieć dziesięć czy dwanaście lat, ja dostać od swojej mamy nowa śliczna sukienka, żeby jechać na wycieczkę do Wiener Waldu. Ja się w sobotę wieczorem długo modlić do Pana Boga, żeby było piękne słońce i wycieczka. Ale rano padać deszcz. a ja się bardzo pogniewać na Pana Boga.

— I od tego czasu mama się zawsze na niego gniewa? — spytała Luca.

Staruszka wolno zwróciła ku niej twarz.

— Przecież powiedziałam, że ja się b a r d z o pogniewać. Jak mama powiedzieć, że idziemy do kościoła, to ja nie chcieć.

— I co?

— Moja mama była bardzo mądra niewiasta. Ona poczekać do następna niedziela, wtedy być ładna pogoda i wszyscy pojechać na wycieczka. Miałam nowa sukienka i być bardzo szczęśliwa. Tego dnia mama zapytała: Krysta, teraz pójdziesz do kościoła?

Lekarz roześmiał się i pogłaskał dłoń staruszki, którą cały czas trzymał w swojej.

— Ale Krysta też była mądra, prawda?

Staruszka uśmiechnęła się.

— Mama spytać: Krysta, teraz pójdziesz do kościoła? A Krysta znowu powiedzieć nie!

Pokój zaległa cisza. Słońce wpadało teraz od tyłu na łóżko, pogłębiając czerń aksamitnego czepka i rzucając cienie na ostre rysy leżącej, ułożone w wyraz zaciętego uporu.

— Ja powiedzieć wtedy: nie! Bo ja postanowić nigdy nie prosić o pomoc tego, komu nie można ufać. Ja zawsze chodzić na własnych nogach albo na własnej głowie.

— To się mamie udało — mruknęła do siebie Luca.

— Co ty mówić — spytała staruszka.

— Powiedziałam, że to się mamie udało — powtórzyła głośno Luca.

Staruszka pokiwała głową.

— Sama nie wiem, czy mi się udało — głos jej teraz stał się jakiś ochrypły. — Jestem teraz stara, sama i bezradna. Ale jak ja umierać, to niech mnie syn trzyma za ręka. — Tu spojrzała na synową. — Wtedy ty mi nie być potrzebna... — dodała cedząc niemal słowa i badawczo wpatrując się w młodą kobietę. — Nawet zwierzę woli umierać samo. Jeżeli tu nie będzie syn, to ja chcieć być sama.

Poczuła się nagle zmęczona. Widocznie tego dnia za dużo miała emocji. Cofnęła dłoń z ręki doktora i wsunęła ją pod kołdrę, gdzie własne ciało swym ciepłem dodawało jej otuchy. Tylko obecność gości powstrzymywała ją od obrócenia się ku ścianie, ale za to ogłuchła — może nawet przez jakiś czas naprawdę przestała słyszeć — i przestała odpowiadać na pytania. Luca i doktor zrobili parę kroków ku drzwiom, ale wtedy uniosła głowę i przywołała synową:

— Luca — mówiła głośno i wyraźnie — ty nie iść, ty jeszcze zostać.

Młoda kobieta drgnęła.

— Dobrze mamusiu — odpowiedziała — tylko odprowadzę pana doktora.

— Dziękuję... ale na pewno wrócisz?

— Na pewno, mamusiu — zgodziła się Luca. — Dziś przecież późno przyszłam.

Choć była zmęczona, nie puściła synowej od siebie. Poczęstowała ją własnym obiadem, z którego sama zjadła zaledwie odrobinę, a gosposia dodała ze swojego kawałek mięsa z rosołu i sosu pomidorowego. Staruszka przyglądała się synowej przez cały czas, gdy jadła. Luca bowiem jadła z takim apetytem i z takim przejęciem tą czynnością, tak prędko przetrawiała pożywienie na dobry humor i żarty, że każdy, kto siedział przy tym samym stole, czuł przyspieszone działanie soków żołądkowych i tył od tego, co ona zjadała.

— Dobre? — spytała staruszka zapatrzona w poruszające się usta synowej.

— Wspaniałe — odpowiedziała Luca.

— A sos pomidorowy?

— Świetny... szkoda, że tego nie lubię.

— Nie lubisz?

— Nie cierpię go jak cholery...

Luca wypiła jeszcze czarną kawę, zaparzoną specjalnie na jej cześć. Potem staruszka poprosiła, by rozpuściła włosy. Młoda kobieta stanęła przed lustrem w srebrnej ramie i miarowym ruchem nagiego ramienia czesała sięgające pasa kasztanowate włosy. W promieniach słońca, które padały na tę część pokoju, miedzianolśniące sploty przytrzymywane dłonią sypały niewidocznymi iskrami. Serpentyny zdrowego aromatu rozchodziły się na cały pokój. Leżąca przyglądała się jakiś czas łaknącym wzrokiem harmonijnym ruchom białych ramion i wygięciu szyi, aż nagle ogarnęło ją znużenie.

— Teraz idź już do domu — odprawiła synową, kiedy ta wpięła ostatnią szpilkę w ciężki węzeł nad karkiem.

Następnego dnia Luca o godzinę wcześniej niż zwykle zadzwoniła do mieszkania teściowej wołając zza progu:

— Gosposiu! Irenko! Dostałam list, list, list...!

Rzuciła się starej kobiecie na szyję, objęła ją wpół i okręciła w kółko, roześmiana ze szczęścia. Wirowała jak szalona po przedpokoju i nie była w stanie nic więcej powiedzieć.

— Od męża? — dopytywała się gosposia.

— On żyje! — wykrztusiła wreszcie Luca, zdyszana... — Na pewno żyje! Dostałam nie list, ale druczek z zawiadomieniem, że w następną niedzielę uzyskam widzenie! Jeżeli pozwalają go zobaczyć, to znaczy, że jest zdrów!

Gosposia milczała, ale Luca taka była rozradowana, że nie zwróciła na to uwagi.

— ...a nawet jeżeli jest chory, to w każdym razie żyje!

— Starsza pani bardzo źle się dziś czuje — powiedziała po chwili gosposia.

Luca usiadła na taborecie w kuchni i przyjrzała się gosposi.

Dopiero teraz dostrzegła na jej twarzy bruzdy wyryte bladą dłonią niedospania i przeorane szponami świtu powieki.

— Co się stało?

— Pani wie, że mam lekki sen: obudziłam się w nocy i usłyszałam jakby rozmowę dochodzącą z pokoju starszej pani. Zastałam ją rozmawiającą z sobą samą, ale bardzo głośno, chwilami aż krzyczała, kłóciła się z synem. Jak się rozwidniło, mąż poszedł zadzwonić po doktora, bo na policzkach miała ogniste wypieki.

— Zapalenie płuc...?

Przez trzy dni jeszcze staruszka nie straciła przytomności, leżała cichutko, zapatrzona we własny wewnętrzny świat. Wrodzona uprzejmość i poczucie godności nakazywały jej ukrywać, że cały świat przestał ją interesować, ale trudno jej było dobrze się maskować: najbliżsi od razu przejrzeli jej przebiegłość.

Zapalenie płuc rozwijało się prędko: najpierw prawa strona, potem przerzuciło się także na lewą. Dopóki nie straciła przytomności, ilekroć jej się zdawało, że jest sama, wygłaszała długie monologi na temat drobnych wstydliwych spraw związanych z jej chorobą (najprzykrzejsze były dla niej powtarzane dwa razy dziennie przez pielęgniarkę zabiegi z kateterem, gdyż działanie pęcherza zostało zahamowane). Potem, kiedy odeszła ją przytomność, przestała do siebie mówić. Luca chciała przyjąć na cały dzień pielęgniarkę, ale gosposia zaprotestowała:

— Co pani myśli, jeszcze i ją musiałabym obsługiwać! Nie mówiąc już o tym, że mogłaby się dobrać do szaf, kiedy nikogo nie będzie w pokoju.

Zresztą i chora, dopóki mogła mówić, sprzeciwiała się temu. Ostatni raz rozmawiała, kiedy trzeciego dnia choroby po południu odwiedził ją lekarz.

Doktor Illés wszedł razem z Lucą, ale staruszka nie odpowiedziała na ich pozdrowienia, tylko patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Nie odwróciła wzroku od drzwi i później, kiedy przy niej usiedli. Ten skręt głowy i wyraz oczekiwania pozostały i później, kiedy straciła przytomność. Gdy się jej poprawiało czepek i ułożyło głowę na jaśku, zaraz ją obracała ku drzwiom i leżała bez ruchu, z oczami zamkniętymi lub otwartymi, ruchem całego ciała wyrażając oczekiwanie. W ostatnich dniach nabyła jeszcze jeden dziwny odruch: zwykle trzymała rękę pod kołdrą, teraz zaś bez powodu skręcała dłoń jakby zamierzała pokazywać cień kaczki na ścianie i na wierzchu dłoni opierała brodę. Luca usiłowała wyprostować tę rękę i ostrożnie wsuwać z powrotem pod kołdrę, ale po chwili dłoń w tej samej pozycji znajdowała się pod brodą. Poza tym staruszka leżała cichutka jak zwiędły liść w rowie. Nawet oddech jej był niewidoczny i niesłyszalny, nogi zaś trzymała równo wyciągnięte ze stopą jednej, zdrowej, opartą

o gipsowy opatrunek drugiej. Przez cały czas ani się nie skarżyła, ani nie jęknęła czy nawet westchnęła, tylko wydawała jakieś ni to stęknięcie, ni to żałosny pisk, kiedy trzeba ją było obrócić na bok: czy to dla badania lekarskiego, czy dla popudrowania odleżyn na plecach, czy dla zmienienia podłożonych na gumowym prześcieradle pieluszek. Na zastrzyki nie reagowała najmniejszą skargą, igła strzykawki dosięgała już tylko obojętnej zewnętrznej warstwy jej śmiertelnej powłoki.

Owego popołudnia, kiedy była jeszcze przytomna, nie odpowiadała mimo wszystko ani na pytania lekarza, ani na serdeczne słowa synowej. Oczy zaś miała nieruchomo wlepione w drzwi, wargi mocno zaciśnięte i uparcie milczała.

Lekarz zbadał ją, potem zaś powiedział do Lucy:

— Może przez dwa lub trzy dni zdołam ją utrzymać przy życiu... czy jednak jest jakaś nadzieja, by...

— Nie ma — odpowiedziała Lucy.

— Co pani myśli, co robić? — znowu spytał lekarz z oczami skierowanymi za okno, na skąpany w słońcu trawnik i wyschnięty kurz na drodze.

— Jak dla niej lepiej — powiedziała Lucy.

— Chorej jest to zupełnie obojętne.

— Jak dla niej lepiej — powtórzyła.

— I tak nic nie czuje, a za kilka godzin straci przytomność. Kofeina i strofantyna przez jakiś dzień lub dwa podtrzymają działanie serca. Czy jednak nie ma nadziei, że...

— Nie ma.

— Wobec tego...?

— Niech pan robi, jak dla niej lepiej.

Lekarz zrobił zastrzyk, potem Luca wyszła razem z nim do przedpokoju. Nagle odezwał się dzwonek: po raz pierwszy od objawienia się zapalenia płuc staruszka zadzwoniła.

— Mamusiu, kochana! — szeptała Luca pochylona nad chorą.

Lekarz czekał w przedpokoju. Staruszka nie odrywała wzroku od drzwi, ale ręką czepiała się ramienia synowej.

— Zapomniałam ci powiedzieć o ostatnim liście Janosa, moje dziecko... — głos chorej brzmiał dziwnie głucho, bezdźwięcznie. — Czy wiesz, że on zostać kandydat do nagroda Kossutha.

— Do mnie jeszcze o tym nie pisał, mamo.

Staruszka kiwnęła głową, wciąż wpatrzona w drzwi.

— On dostanie nagroda — powiedziała. — A teraz niech doktor tu przyjść.

Lekarz wszedł i nachylił się nad chorą.

— Panie śpiewak, czy pan wiedzieć, że mój syn będzie dostać nagrodę Kossutha? — usta miała skrzywione czymś w rodzaju

grymasu czy uśmiechu, ale oczy tkwiły wciąż nieruchomo zapatrzone w drzwi.

— Ależ to nadzwyczajne! — powiedział lekarz. — Nadzwyczajne!

Staruszka znowu kiwnęła głową.

— On na pewno dostać, ale to tajemnica. Niech pan doktor powiedzieć mojej synowej, żeby ona być dumna z męża.

— To nadzwyczajne! — powtórzył lekarz.

— Teraz pan iść sobie śpiewać — nakazała.

Lekarz poszedł Lucy zaś przysiadła w kuchni przy gosposi. Usta tak jej drgały, że przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć głosu z gardła. Irena podała jej kieliszek nalewki i karafkę zostawiła na stole. Lucy machinalnie gładziła palcem podstawkę kieliszka.

— Co ja mu w przyszłą niedzielę powiem na widzeniu? — wyszeptała.

Tibor DERY

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI



$ = 72 zł. £ = 201 zł.

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

Tel: FRE. 7888

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Wiersze

QUAI D'ANJOU

Nie cała Troja zginęła.
Schowany za obozowym śmietniskiem,
Śród burzanów zarastających kłębami
Rozbite butelki i puszki konserw,
Uciekłem tylnym wyjściem podwórza,
Uciekłem na Wschód i na Zachód
I co tu ukrywać, wciąż jeszcze uciekam,
Do dziś mnie to oszałamia,
Ziemia Ur,
Eufrat i Tygrys,
Mezopotamia,
A potem znowu jedno małe oszustwo,
I siedzę bezpieczny w mysiej kryjówce,
W małym hotelu nad Sekwaną,
Na Quai d'Anjou,
W norze wysłanej strzępami
I słomą startą mojego
Przedawnionego snu.

Rankiem kiedy falują na rzece odbite drzewa
Patrzę jak płyną krypy przez wodne gałęzie,
Pomiędzy liśćmi wiesza upraną bieliznę
Suchobiodra żona francuskiego flisaka
A mały kundel merda kręconym ogonem
Na skraju śmietankowego obłoku,
Ażeby dopełnić praw absurdu
Codziennej rzeczywistości.

Realni są tylko rybacy na brzegu,
Realni przez dwie, trzy i cztery godziny,
Mędrcy, jogi, totemy, druidzi bez ruchu
Bo ryby omijają ich gęstą ławicą,
Widzę je jak łódź podwodną albo srebrną torpedę,
Ale że to są sprawy spoza mojego obrządku
Nie umiem zatrzymać tych stadnych stworzeń
I namówić ich do zguby.

Totem zabiera pustą blaszankę,
Pourquoi mourir pour Dantzig,
Pamiętam go z Troi jak szmuglował koninę,
Na czarnym rynku brał cenę potrójną,
Syn jego sklecił stację radiową
Aż wpadł i poszedł pod mur.

Spokojne jest życie za oknami,
Nic go nie mąci w gruncie rzeczy,
Czasem listonosz przynosi mi list,
Otwieram go wolno, wiem co tam będzie:
Czemu pan do nas nie wraca,
Niech pan dłużej nie igra z losem,
Na co pan czeka, na karierę Norwida,
Już pan ją zrobił, nikt pana tu nie zna.

A ja nic. Nie odpowiadam.
Siedzę w mojej mysiej kryjówce,
Gryzę moje mysie paznokcie
I mysia krew mnie zalewa.

Jedne sto lat, drugie sto lat
A potem będzie już lepiej —
Jak mówi taksówkarz (z akcentu Moskwicz)
Kiedy mnie wiezie z miasta do domu —
Niech pan tylko nie wzywa Hektora,
To mąci jasność widzenia,
Niech pan z nami postoi tu z wędką
Godzinkę, dwie a sam pan zobaczy
Że dorsz nie idzie z prądem historii
Tylko tak jak mu się żywnie podoba.

Nie umarł pan przecież za Gdańsk,
Nie zna pan innej drogi tylko przez tylne wyjście,
Więc z pustą bańką pan wróci do domu
Szczęśliwy jak oni wszyscy,

Szczęśliwy jak ja,
Ostatni ze starej gwardii,
Adiutant Wielkiego Księcia
Mikołaja Mikołajewicza
Spod Erzerum.

Ohyda.
Wysiadam.
Daję napiwek wielkoksiążęcy.
Udławcie się swoim dorszem i płotką,
Zostawcie mnie przy moim oknie,
Ja wiem co odpowiem listonoszowi:
Tam przecież każdy mi zazdrości
Że mogę wykrzyczeć się do woli,
Na całe gardło
Za naszą przeszłość rozpaczliwą,
Za naszą współczesność obłąkaną,
Za Troję umarłą,
Za zdychający dzisiaj naród
30-stu milionów bezwolnych
Ziaren piasku.

Erzerum?
Tak blisko Trebizondy?
Tak blisko Kolchidy
(Rymuje się samo:
Daleko od wszelkiej ohydy)?

Barki powoli wodą suną,
Śpieszą się, śpieszą po swoje francuskie
W twardej walucie Złote Runo,
Ocierają się o brzeg,
O Quai d'Anjou,
I omijają stadne stworzenia
Zaszyfrowane w uwikłaniu
Przedawnionego snu.

Niech im będzie,
Tym argonautom przedsiębiorczym,
I tak nie dopłyną w tamte strony
Gdzie jeszcze jest ostatni sens,
Gdzie śniegiem świeci się Tauryda
Niepokalana w zimnej bieli,
Gdzie nawet gruz wioząca krypa
W ponad-paryski mit się zmienia

(Chociaż to mąci asocjacje
Tak jak mój Hektor).

Do widzenia.
Naprawdę wstyd mi
Tych niejasności, tej arytmii
Którą wybija serce, stary grat,
Przy takich drobiazgach
Jak zmartwienie
O sto czy dwieście lat.

Zostawcie mnie przy moim oknie,
To nic że igra ze mną los mój, grabarz:
Przynajmniej możecie mi zazdrościć,
Przynajmniej mogę się wykrzyczeć
Także i za was.

Do widzenia.
Zostawcie mnie z tym ciemnym szyfrem,
Z moją syntezą
Ślepoty
I
Jasnowidzenia.

Kazimierz WIERZYŃSKI

WŁASNY RYTM MORZA

Z morzem jest tak:
z daleka
daje się objąć całe, z gór łańcuchem, z niebem,
z błękitnym wyjściem pomiędzy skałami:
ale na brzegu
chodzimy,
nie widzimy morza,
słyszymy szum i wiatr,
odstępujemy przed falą,
zawężamy wzrok,
idziemy coraz cieńszym brzegiem,
widzimy gładko wyostrzone muszle,
utoczone belki,
kabłąkowate rzeźby,
warstwy geologiczne w korze drzewnej,
lśniące jaspisowe kamienie,
pazury w piasku,
podnosimy
drzazgę;
i wtedy możemy z księżycem
jechać nad morze znów, do wód,
obejmować błękitne góry,
widzieć przesmyk z daleka,
schodzić na cienki brzeg.
Chyba że czasem
gonimy
zadyszani w popłochu
po dnie.

21.11.64

BUDOWA PRZESTRZENI

Szukaj swych imion w kamieniu otwartym
Ranką ze śniedzi jaspisu,
Szukaj za skarby — skoro przejście morza

Olśni początki i zaniesie koniec
Na język cypla co z skał wystrzelony
Dziobie noc śliską, z zielsk, szlamowej mgły.

Do trawy, piasku, granic cienkich brzegu, jest jeszcze morze.

Porywające oczy, dochodzi pod stopy
I małe spod nich wymywa urwiska,
I rozpryskane słońcem, wśród żaglowców,
Przez horyzonty białych statków, w masztach dymu,
Niesie na wielkie fale burze łach piaszczystych,
Zwielokrotniając wszystkie ciche, sypkie,
Wszystkie przewrotne, ciemniejące formy.

Patrz, co odnosi: pnie, butelki, złoto,
Wyrzuca oczy krabów i ich skrzypce,
Wyślinia gwiazdy, pieni Afrodytę,
Liże lżącego Kserksesa i z kości
Misternie rzeźbi tkankę tak przezroczą,
Że z niej nie poznasz szkieletu dusz grubych.

Widzę, jak nów dźwigając jasno te płaszczyzny,
Orzeźbił jednocześnie kontur gór skalistych,
I tak wyjęte z nieba postawił z granitu,
Jakby za nimi była baśń królewska
I koniec świata. Gdy tu lśni geneza
Otwarta ostrzem jaspisu w kamieniu
I tylko harmonijne są preliminaria
Wśród traw, na piasku sypkim, w granicach, w istnieniu.

20.6.64

*
* *

I

Gwałtownikami kogo nazywamy dziś?
kiedyś
chodzili z krzyżem, a krzyż był gwałtowny,
w drzewo wsiąkała krew, krzepła cierpliwie
obok śmiertelnej maski.

Tak właśnie widzę, takich właśnie widzeń
noc przewidzenia w wybuchach rozświetleń
burzliwie przewaliła się;
gnę bunt na kolano, gwałt zadaję sile,
siłą wymuszam słabość, okiełznany sztormem
nie potrafię inaczej.

Gdy całej rewolucji rozmach w sobie ścieśnił
(i pisał manifesty), tam na końcu drogi
rzecz była jasna, gaj oliwny, wzgórze.

Popatrz, człowieku: miałem ciebie w dłoni,
i cóż ja mogłem? zabić, wygnać z domu,
sieci potargać ryb srebrnym nadmiarem,
zawrócić z drogi Łazarza, gdy nie szedł,
a tylko cicho leżał, może wesół,
widziałem drganie powiek, kiedy nań wołano:
wstań człowiecze, kazałem ślepcom spojrzeć na mnie,
i jezioro gwałciłem naturalną stopą —
więc mogę zabić, wygnać z domu, skazać na więzienie:
Tyle mogę. I na cóż całe przewidzenie?

II

Gwałtownikami
kogo nazywamy dziś?

1963

Bogdan CZAYKOWSKI

Zjednoczenie Europy a ideologia

Zastanawiałem się wielokrotnie z jaką radą wystąpiłbym pod adresem moich rodaków, gdybym był politycznym pisarzem niemieckim.

Federalna Republika winna mieć niezbyt liczną lecz na najwyższym intelektualnym poziomie, rewizjonistyczną partię komunistyczną. Ostatecznie nikt nie ma po temu większych tytułów i tradycji. Zachodnio-niemiecka partia komunistyczna przyciągałaby postępowych intelektualistów komunistycznych z NRD, a z czasem mogłaby wywierać znaczny wpływ na wschodnio-europejskie partie komunistyczne. Nie będąc partią rządzącą partia komunistyczna zachodnio-niemiecka mogłaby wysunąć bez utraty twarzy plan zjednoczenia Niemiec pod przewodnictwem ogólnoniemieckiego rządu, w którym komuniści mieliby zapewnioną pewną ilość stanowisk ministerialnych. Pod względem ustrojowym Niemcy wschodnie stanowiłyby oddzielną prowincję z przewagą komunistów w administracji. Rozwiązanie po tych liniach „chroniłoby twarz" Moskwy i można by je zaprezentować jako sukces. Zjednoczone Niemcy nie byłyby wprawdzie komunistyczne lecz posiadałyby partię komunistyczną biorącą udział w rządzie.

Przyznaję, że powyższa koncepcja w warunkach zachodnio-niemieckich jest dziś nierealna. Lecz równocześnie należy stwierdzić, że żadna z wysuwanych koncepcji nie jest realna i dlatego Gromyko mógł spokojnie stwierdzić w Londynie, że o zjednoczeniu Niemiec nie może być mowy. Bardzo podobną opinię w miesiąc później wygłosił Gromyko w Paryżu.

Literatura polityczna dotycząca zjednoczenia Europy jest olbrzymia i rośnie z każdym miesiącem. Na temat rządu światowego napisano również wiele doskonałych studiów. ONZ posiada także bogatą literaturę i gorących wyznawców.

Osobiście jestem zwolennikiem zarówno zjednoczonej, całej Europy jak i rządu światowego. W miarę upływu czasu skłaniam

się jednak coraz bardziej do opinii amerykańskiego pisarza politycznego F. L. Schumana, że wszystkie „dobrowolne wysiłki zmierzające do zjednoczenia Europy miały tylko ograniczony i czasowy skutek — ponieważ współcześni ludzie są bardziej oddani swym lokalnym interesom i lojalnościom niż jakiejkolwiek uniwersalnej wizji".

Uniwersalizm leży w grobie również i po tamtej stronie „żelaznej kurtyny". Jego grabarzem — tak na Wschodzie jak i na Zachodzie jest nacjonalizm. Państwo narodowe stanowi jeszcze ciągle ideał wszystkich narodów we wszystkich częściach świata.

Czy państwo komunistyczne jest do pogodzenia z koncepcją państwa narodowego? Czy państwo komunistyczne, mimo odmiennego ustroju, ma prawo domagać się tradycyjnej lojalności od swoich obywateli?

Odpowiedź emigracyjnego publicysty na powyższe pytania byłaby prawdopodobnie stronnicza. Zasięgnijmy więc do opinii obiektywnego rzeczoznawcy przedmiotu. Wybitny socjolog brytyjski prof. Ernest Gellner — w swej świeżo wydanej książce pt. „Thought and Change" problem lojalności politycznej ujmuje w sposób następujący:

> *„A social order has rightful claims upon the loyalty of the members of the society under two conditions:*
> a) *It is bringing about, or successfully maintaining, and industrial affluent society;*
> b) *Those in authority are co-cultural with the rest of the society".*

Żaden Polak-socjolog czy nie socjolog, marksista czy nie marksista — niczego podobnego nigdy by nie napisał. W przytoczonych tezach nie ma bowiem słowa o niepodległości, wolności, sprawiedliwości — bez której to trójcy żadna państwowo-ustrojowa definicja w wydaniu polskim obejść się nie może. A przecież w tych dwóch punktach bez rytualnej frazeologii powiedziane jest wszystko. I dlatego, że powiedziane jest wszystko należy stwierdzić, że „social order" Polski Ludowej nie odpowiada definicji lojalności Gellner'a.

W poprzednim numerze „Kultury" w artykule pt. „Ideopolis i Idee" — przytoczyłem znamienną wypowiedź socjologa jugosłowiańskiego prof. Markovića na temat „socjalizmu państwowego" w ustrojach po-kapitalistycznych. Marković — śladem Dżilasa — widzi w biurokracji partyjnej nową klasę wyzyskiwaczy, która budując „socjalizm państwowy" restauruje równocześnie ustrój klasowy w jego najbardziej ujemnym wydaniu. O ile diagnoza prof. Markovića jest kryształowo jasna i słuszna — o tyle przepisana przez niego terapia pozostawia wiele do życzenia.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że socjalistyczny rząd brytyjski jednego dnia znacjonalizował wszystkie środki produkcji i dystrybucji. Anglia byłaby wówczas w sensie gospodarczym „Great Britain Limited", a rząd prem. Wilsona stanowiłby radę dyrektorów tej gigantycznej firmy. Lecz nawet wówczas w Anglii

nie można by mówić o „nowej klasie" właścicieli i wyzyskiwaczy. Rząd socjalistyczny w następnych wyborach mógłby ponieść klęskę i „Great Britain Ltd." musiałby przekazać konserwatystom.

W Związku Sowieckim czy w Polsce nie ma tej alternatywy. Właścicielem wszystkich środków produkcji jest aparat partyjny. Zarząd spółki pn. „Polska Ludowa" — w sensie personalnym może ulegać zmianom lecz kolektywny właściciel jest zawsze ten sam.

Marksistom nie ma powodu tłumaczyć, że problem własności środków produkcji jest zagadnieniem kluczowym socjalizmu. W sytemie jednopartyjnym aparat i biurokracja staje się *de facto* właścicielem wszystkich środków produkcji i nie jest w stanie tej sytuacji uniknąć. Gdyby istniały legalnie dwie partie socjalistyczne wówczas partia znajdująca się przy władzy byłaby czasowym zarządcą a nie właścicielem znacjonalizowanej gospodarki.

Pomijam fakt, że jednopartyjny, kolektywny właściciel przed nikim nie odpowiada i nie może być ani usunięty ani wywłaszczony. W historii znane są wypadki dobrotliwych i mądrych tyranów, którzy nie odpowiadając przed nikim i przez nikogo nie kontrolowani rządzili z troską o dobro swych poddanych. Lecz to wszystko nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Marks twierdził, że „własność jest złodziejstwem". Owego złodziejstwa nie może być winną partia, która mieni się partią marksistowską.

Jeszcze raz należy podkreślić, że w systemie jedno-partyjnym biurokracja i aparat tworzący „nową klasę" stają się *de facto* właścicielami środków produkcji bez względu na wolę i intencję. System jedno-partyjny wyłącza inną możliwość.

Mit uniwersalizmu upadł lecz komuniści zwlekają z wyciągnięciem wniosków. Rezygnując z uniwersalizmu trzeba by poddać rewizji doktrynę o współpracy z „niewierzącymi". Bo tylko uniwersaliści liczyć mogli na likwidację zarówno kapitalizmu jak i wszystkich heretyckich wiar politycznych.

Komuniści są zaskoczeni nową sytuacją. Boją się, że oficjalne odrzucenie mitu uniwersalnego pozbawiłoby ich ideowej identyczności. Mści się obecnie hamowanie całymi latami swobodnego rozwoju myśli marksistowskiej. Komuniści, którzy uważali się za maszynistów parowozu Historii utracili prawo jazdy, ponieważ nie rozumieją mechanizmu współczesnej maszyny historycznej.

Przed kilku dniami przeczytałem powtórnie małą książeczkę nieodżałowanej pamięci prof. Stanisława Ossowskiego pt. „Marksizm i Twórczość Naukowa w Społeczeństwie Socjalistycznym". Praca Ossowskiego wydana została niemal 10 lat temu w Biblioteczce „Po Prostu".

Przez owe 10 lat w Polsce Ludowej nie tylko nie rozwinięto marksizmu lecz go dosłownie zagubiono. Obraz współczesnej sytuacji stanowi dokładną antytezę wskazań prof. Ossowskiego. Lecz Ossowski jeszcze dojdzie do głosu.

W chwili obecnego kryzysu ogromną rolę mogłyby odegrać partie komunistyczne na Zachodzie. Lecz sceptycyzm komunistów na Zachodzie posunięty jest tak daleko, że nie wierzą w możliwość przetrwania drugiego przełomu na wzór XX Zjazdu. Komuniści zachodni boją się, że odstępstwo od dogmatów, które utraciły wszelki sens — w konsekwencji zatarłoby różnicę pomiędzy nimi a „reformistami".

Lista dogmatów, które winny być poddane rewizji jest bardzo długa. Wydaje mi się jednak, że ewolucja komunizmu zależeć będzie od rewizji tylko dwóch dogmatów, które posiadają znaczenie podstawowe.

I. — Doświadczenia wykazały, że dogmat „dyktatury proletariatu" wyradza się w praktyce w rządy aparatu i biurokracji. Trzon programu socjalistycznego dotyczący własności środków produkcji — zostaje unicestwiony. W modelu ustrojowym typu PRL — powyższa sprzeczność jest nie do rozwiązania. Dżilasa można ogłosić zdrajcą i odstępcą — należy jednak stwierdzić, ze jugosłowiańscy teoretycy marksistowscy — jak cytowany w tym szkicu prof. Marković — przejęli od Dżilasa analizę i diagnozę po-kapitalistycznego „socjalizmu państwowego".

Samorząd typu jugosłowiańskiego zmierza do rozwiązania tych sprzeczności. Z całą pewnością nie jest to ani jedyna ani wystarczająca droga do przywrócenia sensu słowu „socjalizm".

Należy jednak podkreślić, że marksiści jugosłowiańscy, w przeciwieństwie do marksistów polskich, widzą jasno sytuację. Podstawą terapii jest trafna diagnoza.

Różnica pomiędzy właścicielami a administratorem polega na tym, że administratora można odwołać a właściciela nie można odwołać. Różnica pomiędzy reprezentacją demokratyczną a oligarchią polega na tym, że reprezentację można odwołać a oligarchii nie można odwołać. Biurokracja i aparat partyjny PRL — ponieważ naród nie może ich odwołać — nie są ani reprezentantami społeczeństwa ani nie są administratorami majątku narodowego. Ludzie ci są *de facto* właścicielami i sprawują dyktatorską władzę nie w oparciu o mandat społeczny.

Wyjście z tego błędnego koła możliwe jest tylko poprzez stworzenie alternatywy. Krokiem w tym kierunku byłoby ulegalizowanie opozycji partyjnej. Fakt, że Chruszczow przeżył swój upadek i pobiera pensję państwową — stanowi „wielki skok" na drodze do ulegalizowania opozycji w ramach partii.

Problemu „socjalizmu państwowego" przeanalizowanego przez marksistowskich teoretyków jugosłowiańskich — nie można dłużej ignorować. Ci uczeni z całą pewnością nie proponują „drugiego etapu" i nie są „inspirowani przez agencje wywiadu amerykańskiego". Jedynym ich motywem jest troska o socjalizm.

II. — Komuniści winni wyciągnąć praktyczne konsekwencje z upadku utopii uniwersalnej. Utopistów mamy po obu stronach barykady. Utopią jest bowiem zarówno likwidacja komunizmu jak i likwidacja kapitalizmu. „Żelazna kurtyna" w sensie ideo-

logicznym stanowi sumę irracjonalnego utopizmu tak wschodniego jak i zachodniego.

Utopistów określić również można mianem likwidatorów. Jedni bowiem głoszą likwidację kapitalizmu — drudzy likwidację komunizmu. Likwidatorzy wschodni żywią likwidatorów zachodnich i na odwrót.

„Żelazna kurtyna" nie jest instrumentem propagandy i nie można jej zburzyć jednego dnia. Gdyby p. Moczar wylądował w Londynie — „żelazną kurtynę" przywiózłby ze sobą. „Żelazna kurtyna" stanowi typ mentalności, która cechuje dogmatyków po obu stronach granicy.

Uniwersalistyczna utopia zakładała triumf komunizmu w skali światowej. Nie ma powodu współpracować z tymi, którzy są w drodze na śmietnik Historii. Nie ma powodu studiować osiągnięć nauki burżuazyjnej, która skazana jest na zagładę. Nie ma powodu układać się z kościołem, który jako religia i instytucja dobiega swego kresu.

W moim przekonaniu dogmatycy i utopiści stanowią w europejskim ruchu komunistycznym mniejszość. Niemniej, w praktyce, komuniści zachowują się tak jakby nic się nie zmieniło.

W kontekście realnej polityki utopia w wydaniu chińskim oznacza chiński imperializm a utopia w wydaniu sowieckim oznacza rosyjski imperializm. Dogmat „dyktatury proletariatu" wyrodził się w totalistyczny „socjalizm" państwowy. Dogmat uniwersalizmu wyrodził się w zaborczy imperializm.

Trzeba być ostrożnym z uogólnieniami — tym bardziej, że pojęcia i terminy w miarę jak posuwamy się z Zachodu na Wschód — zmieniają swą treść i tło skojarzeniowe. Myślę jednak, że można śmiało zaryzykować twierdzenie, że wszystkie narody bez względu na kolor skóry — przywiązują podstawową wagę do pewnych form wolności na wewnątrz i do pewnego minimum niezależności na zewnątrz. Komunizm w zwyrodniałych formach totalistycznego „socjalizmu państwowego" na wewnątrz i imperializmu na zewnątrz jest nie do pogodzenia z owymi zasadniczymi ludzkimi dążeniami.

◆

Ernest Gellner w swej dwu-punktowej tezie, cytowanej w pierwszej części tego artykułu twierdzi, że dany ustrój ma prawo domagać się lojalności od społeczeństwa pod warunkiem, że buduje lub podtrzymuje dobrobyt i zamożność dla wszystkich.

W chwili gdy piszę te słowa nadeszła wiadomość z Moskwy, że z okazji święta 1 maja mieszkańcy stolicy Związku Sowieckiego otrzymają przydział 2 kg. mąki.

W Sowietach podjęto rozmaite reformy, pisze się o libermaniźmie, o motywie zysku itp. Lecz decentralizacja oznaczać by musiała delegowanie władzy, a każda władza nawet ta, która nie pochodzi od Boga — w ostatecznym rozrachunku jest władzą polityczną. Decentralizacja — choć dyktowana rozbudową wielko-

przemysłowej gospodarki — w ustroju socjalizmu państwowego jest zagadnieniem w pierwszej linii politycznym.

Centraliści spodziewali się znaleźć narzędzia umożliwiające makro-ekonomiczne, centralne zarządzanie w cybernetyce i komputorach. Ideałem aparatczyków byłoby „doścignąć Amerykę" na polu produkcyjnym a równocześnie zachować pełnię scentralizowanej władzy.

Jednak najlepsi sowieccy matematycy, jak Kantorowicz, którzy od miesięcy pracują nad zagadnieniami planowania przy użyciu zespołu komputorów — wydali opinię, która grzebie nadzieje centralistów. Nie ma systemu komputorów, który mógłby zapewnić sprawne funkcjonowanie centralistycznego makro-ekonomicznego planowania. (Cytuję za prof. Alec Nove „Plan, Profits and Marx"). I dlatego święto rewolucji uczczono dwoma kilogranami mąki, który to gest trudno uznać za symbol *„affluent society"*.

Gospodarka sowiecka będzie musiała ulec stopniowej decentralizacji ze względów praktycznych. Dylemat klasy rządzącej jest nieco paradoksalny. Decentralizacja pociąga za sobą osłabienie dyktatury — lecz bez decentralizacji nie ma widoków wyjścia z serii permanentnych kryzysów i rosnących deficytów. Z drugiej strony, jeżeli klasa rządząca „centralizm demokratyczny", czyli totalną dyktaturę, uzna za element istotniejszy niż uzdrowienie gospodarki — Rosja nie stanie się nigdy „drugą Ameryką" co również pociągnęłoby za sobą osłabienie pozycji klasy rządzącej.

Drugi punkt tezy Gellnera mówi o wspólnocie kulturalnej rządzących i rządzonych. Jest oczywiste, że neo-stalinizm reprezentowany przez Gomułkę i jego aparat nie jest *co-cultural with the rest of the society*. Tylko socjalizm zaakceptowany a nie narzucony odpowiadałby postulatowi Gellnera.

Punktem wyjścia tych rozważań były projekty zjednoczenia Europy. I na tej płaszczyźnie drugi punkt tezy Gellnera w pełni obowiązuje. Można jednoczyć czy nawet federalizować państwa o różnych ustrojach lecz o tej samej kulturze. Ustrój państwa europejskiego musi się „mieścić" w kulturze europejskiej.

Dogmatycy komunistyczni stawiają znak równania pomiędzy kulturą europejską (zachodnia) a kulturą burżuazyjną. Ten pogląd byłby usprawiedliwiony gdyby komuniści *à rebours*, tzn. antykomunistyczni dogmatycy po tej stronie ideologicznej granicy stanowili większość i sprawowali władzę. O ile jednak dogmatycy w rządzących partiach komunistycznych są przy władzy — o tyle dogmatycy w zachodnich ugrupowaniach politycznych stanowią znikomą mniejszość, pozbawioną wpływu i znaczenia.

Scalenie Europy musi poprzedzić proces „europeizacji" komunizmu. Dogmatycy i likwidatorzy po obu stronach linii granicznej muszą zniknąć ze sceny.

Państwa Zachodu a w szczególności Stany Zjednoczone celową polityką mogłyby wydatnie przyspieszyć ów proces.

Trzeba odważnie wyeksplodować mit o „nie-interwencji". Wszystkie państwa komunistyczne ze Związkiem Sowieckim na

czele głoszą z fanatyzmem zasadę „nie mieszania się w sprawy wewnętrzne innych państw". W rzeczywistości Sowiety interweniują wszędzie gdzie mogą od Budapesztu zacząwszy a na Kubie i Wietnamie skończywszy. To samo dotyczy Chińczyków. Amerykanie swoimi wpływami obejmują trzy czwarte globu. Nie interweniują tylko ci, którzy są zbyt słabi by prowadzić jakąkolwiek niezależną zagraniczną politykę.

Podpisujemy się obu rękami pod planem prof. Z. Brzezińskiego. „Droga do przyszłej Europy" — („Kultura" Nr 4/210). Notujemy z uznaniem stwierdzenie profesora, że „...Ameryka musi podjąć inicjatywę stworzenia całej Europy".

Lecz jeżeli tak jest istotnie, to nadszedł czas zdefiniowania celów polityki amerykańskiej w stosunku do wschodniej Europy. „Budowanie mostów" na wielką skalę zakrojoną pomocą gospodarczą — nie wystarczy. Musimy wiedzieć jeszcze dokąd te mosty mają prowadzić.

Przy różnych okazjach amerykańscy mężowie stanu zwykli głosić, że chcieliby widzieć Polskę w większym stopniu niezależną od Moskwy i cieszącą się ustrojem wewnętrznym zgodnym z wolą społeczeństwa.

To są konwencjonalne przedwyborcze frazesy a nie program. Amerykanie winni sprecyzować minimalne cele osiągalne bez wojny, których urzeczywistnienie pozwalałoby na włączenie — choćby luźne — krajów wschodniej Europy do systemu ogólnoeuropejskiego.

Odrzucenie polityki *liberation* wyłącza planowanie odbudowy demokracji parlamentarnej w dającej się przewidzieć przyszłości. Trzeba więc konsekwentnie i metodycznie dążyć do od-dogmatyzowania obecnego ustroju i doktryny. „Odwilż" jest pociągnięciem taktycznym jeżeli nie jest równoznaczna z utratą gruntu przez dogmatyków. „Zmiana kursu" jest tylko wówczas prawdziwą zmianą kursu gdy pociąga za sobą poważniejsze zmiany w kierownictwie partii. „Liberalizacja" jest tylko wówczas autentyczną liberalizacją gdy postępowcy w partii nie tylko dochodzą do głosu lecz i do władzy.

W płaszczyźnie polityki realnej Amerykanie winni zawsze dawać do zrozumienia, że ze stalinowcami i neo-stalinowcami nie zamierzają rozmawiać. Powinno być wiadome, że szanse danego układu, umowy czy pożyczki zależą od składu politycznego polskiej delegacji.

Udzielając pomocy na większą skalę, Amerykanie winni domagać się nie „liberalizacji" lecz konkretnej reformy wysuwanej przez anty-dogmatyków. Komuniści anty-dogmatycy winni w ocenie polityki amerykańskiej mieć pierwszeństwo przed bezpartyjnymi oraz przed członkami „partii licencjonowanych". Przebudowy modelu ustrojowego tak w Polsce jak i w innych krajach wschodnio-europejskich dokonać mogą tylko anty-dogmatycy komuniści, a nie ludzie bezpartyjni czy członkowie „partii transmisyjnych".

Polityka interwencji wymaga taktu, dyskrecji i znakomitego

rozeznania w sytuacji. Lecz Rosjanie pierwsi dostarczyli wielu przykładów, że ten typ polityki — umiejętnie stosowany — przynosi nader konkretne rezultaty.

Nawet przy stosowaniu największej dyskrecji po pewnym czasie byłoby wiadomo, że Amerykanie aktywnie popierają anty-dogmatyków, którzy oczywiście byliby tym wysoce zakłopotani. Powstaje więc pytanie czy tego typu poparcie nie przyniosłoby więcej szkód niż korzyści?

W szerokich masach polskiego społeczeństwa pro-amerykański sentyment jest bardzo żywy — lecz 20 lat kampanii oczerniającej Stany Zjednoczone przyniosło pewne rezultaty — zwłaszcza w kołach inteligenckich.

Amerykanom nie byłoby łatwo przekonać anty-dogmatyków i rewizjonistów, że nie zamierzają sprzedać im *American way of life* — że natomiast, mając w Polsce do wyboru komunizm anty-dogmatyczny i neo-stalinizm — zdecydowani są poprzeć wersję bardziej postępową i europejską.

Anty-dogmatycy są z definicji ideologicznie anty-chińscy więc umacnianie ich wpływów jest w bezpośrednim interesie amerykańskim.

Margines możliwych reform leży w Polsce odłogiem. To nie Rosja lecz Gomułka i jego administracja stanowią bezpośrednią przeszkodę do podjęcia pewnych koniecznych reform i przemian. Polscy anty-dogmatycy mają duże doświadczenie i nie zaryzykowaliby programu, który mógłby... uruchomić czołgi sowieckie. Lecz pomiędzy jałowym dogmatyzmem Gomułki a czołgami sowieckimi — jest olbrzymie i całkowicie niewykorzystane pole manewru.

Poza tym jaka jest alternatywa?

Zasada nie-interwencji oznaczać by musiała w warunkach polskich akceptowanie obecnego neo-stalinowskiego modelu i premiowanie tych, którzy w obawie przed utratą władzy i przywilejów — uniemożliwiają podjęcie najkonieczniejszych reform. Bezzwrotne pożyczki i innego typu „zastrzyki dolarowe" — przy rezygnacji z polityki interwencji — stanowiłyby de facto amerykańską pensję dla członków polskiej „nowej klasy".

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

O EMIGRACJI POLITYCZNEJ — INACZEJ

Na ostatnim Plenum KC PZPR — gdy dyskutowano sprawę nowych pism zgodnie z obietnicą złożoną przez czynniki partyjne po proteście 34 — jeden z mówców wysunął projekt powołania do życia periodyku, który by stworzył intelektualną przeciwwagę dla paryskiej „Kultury".

Według informacji potwierdzonych z kilku źródeł — Gomułka uderzył pięścią w stół i oświadczył: „żadnych pół-środków czy środków zastępczych. Paryską „Kulturę" należy *zniszczyć!*"

Dyrektywa jest jasna. Rozkaz Gomułki podjęła natychmiast „Trybuna Ludu", która wystąpiła z gwałtownym atakiem przeciwko „Kulturze". Posypały się broszury, nagonka w prasie, ostrzeżenia wyjeżdżających za granicę itp. Znane są nam wypadki gróźb pod adresem zagranicznych korespondentów kontaktujących się z współpracownikami „Kultury". Nie małą rolę ma również odegrać „Informacja Wojskowa".

Na szefa operacji anty-emigracyjnej został wyznaczony p. Moczar.

Dlaczego „Kultura" jest tak ważna i groźna w ocenie Gomułki? Nie pretendujemy do roli „wyborowych strzelców". „Kultura" mogłaby być niepomiernie lepszym pismem gdybyśmy dysponowali szerszym wachlarzem współpracowników i większą ilością pieniędzy. Lecz groźni są zawsze ci, choćby nieliczni, którzy w walce politycznej czasem trafiają w sedno. „Likwidatorzy" strzelają Panu Bogu w okna i dlatego z nimi Gomułka i Moczar nie mają zmartwienia.

Kim jest p. Moczar? Moczar jest Ukraińcem a jego prawdziwe nazwisko brzmi Mikołaj Detko. Jak każdy renegat jest *plus catholique que le pape.* Gdy był wojewódzkim dygnitarzem w Olsztynie bezlitośnie prześladował Ukraińców przesiedlonych znad Sanu i z Łemkowszczyzny. Powszechnie znany komentarz Lenina dotyczący neofickiej nadgorliwości Dzierżyńskiego — znajduje pełne zastosowanie również i w odniesieniu do Moczara. Z tą tylko różnicą, że Dzierżyński pragnął być bardziej rosyjski niż Lenin, a Moczar usiłuje być bardziej polski niż Gomułka. Broń Boże nie narażając się Moskwie. Żywimy sympatię i przyjaźń dla Ukraińców i wraz z nimi gardzimy renegatami.

Polityka Moczara jest zdecydowanie antysemicka lecz nasz „gwiazdor" dba o pozory i „alibi". W Warszawie afiszuje się z Adolfem Rudnickim w myśl tradycyjnej zasady, że każdy „Stalinek" musi mieć swego Erenburga. Moczarowi wysługuje się również K. T. Toeplitz z warszawskiej „Kultury". Toeplitz zachował się pięknie w okresie Października. Odmówiono mu paszportu i musiał zrezygnować ze stypendium Forda. Nie każdy jednak ma kręgosłup we właściwym miejscu i KTT dał się „wychować". To samo można powiedzieć o dziesiątku innych.

Moczar usiłuje z ZBOWID'u zrobić nowego „Strzelca". Nie miał jednak odwagi poruszyć sprawy Katynia, którą można było odkłamać w ramach de-stalinizacji. Chruszczow był skłonny ujawnić zbrodnię katyńską lecz sprzeciwił się temu Gomułka, a spośród mniejszych notabli, Moczar.

Nie ma powodu do demonizowania wodza ZBOWID'u, który nie mogąc, jak dotąd, przecisnąć się do Biura Politycznego, nie może zajmować żadnego czołowego stanowiska. Lecz akcję przeciw emigracji Moczar uważa za swą „popisową rolę" i wierzy, że sukcesy na tym polu otworzą przed nim wrota wysokiej kariery partyjnej.

Ofensywa antyemigracyjna Moczara, która znajduje się jeszcze ciągle w stadium początkowym, zaktualizowała powtórnie zagadnienie emigracji politycznej. W ośrodkach oficjalnych wzrósł lęk przed „wtyczkami". To jest jedyna widoczna reakcja spowodowana ofensywą administracji Gomułki. Ci, którzy domagają się jawności w sprawach finansowych instytucji emigracyjnej są „wtyczkami" i usiłują w gruncie rzeczy majątek emigracji prze-

kazać władzom PRL. Ci, którzy domagają się zdemokratyzowania obecnych lub projektowanych ośrodków emigracyjnych są również „wtyczkami" usiłującymi poprzez procedurę demokratyczną wprowadzić agentów i ZBOWID'owców w szeregi niezłomnych.

Innymi słowy jawność finansowa prowadziłaby do utraty funduszów niepodległościowych — a procedura demokratyczna otwarłaby na oścież drzwi przed „wtyczkami" i agentami.

W powyższych uogólnieniach jest, niestety, znacznie mniej przesady niż niewtajemniczonym mogłoby się wydawać.

Ci, którzy ćwierć wieku na obczyźnie spędzili na reżyserowaniu „rozłamów" — za swą główną misję dziejową uważają chronienie emigracji przed rozkładem. Wszystko w imię niepodległości. Lecz nawet na emigracji nie możemy jakoś pogodzić niepodległości z jawnością i demokracją. Nic dziwnego, że w takich warunkach „góra" jest całkowicie oderwana od społeczeństwa emigracyjnego, któremu w gruncie rzeczy nie ufa. Przywódcy polscy w Australii konspirują przed społeczeństwem swe rozmowy z Frankowskim — w Londynie panuje lęk przed zdemokratyzowaniem Ośrodka Polskiego. Wszędzie ta sama obawa „góry" przed społeczeństwem.

Nic dziwnego, że w takich warunkach masy emigracyjne przybierają postawę defensywną, zniechęconą i politycznie bierną. To jest klimat, który stwarza znakomitą koniunkturę dla machinacji Moczara i jego agentów.

Instytucja oparta na demokratycznych zasadach — prowadząca jawną i kontrolowaną gospodarkę finansową jest niewspółmiernie bardziej odporna na infiltrację „wtyczek" niż instytucja oparta o konwentykle i ugrupowania „swoich ludzi". Jak wiemy z doświadczeń emigracyjnych „swoi ludzie" nie poddani ani kontroli ani dyscyplinie — robili rozmaite niespodzianki tak polityczne jak i finansowe.

Podstawowym elementem w ocenie danej partii czy ugrupowania politycznego jest prasa. Dla obserwatora z zewnątrz jest oczywiste, że nasi wodzowie po prostu nie zdają sobie sprawy z celu, sensu i znaczenia prasy w wolnym społeczeństwie. Jest moc zagadnień tak emigracyjnych jak krajowych, które wymagałyby wszechstronnej analizy i oświetlenia. „Dziennik Polski" — jako jedyne pismo codzienne — winien być trybuną dyskusji i ścierania się poglądów. Winien organizować ankiety w aktualnych sprawach — winien reprezentować cały wachlarz opinii i przekonań emigracji politycznej. Zarówno w Anglii jak i w innych krajach żyją dziesiątki działaczy społecznych, publicystów, pisarzy, którzy wzięliby udział w dyskusji czy w ankiecie gdyby byli zaproszeni i... dopuszczeni.

Z „Dziennika Polskiego" nikt nigdy się nie dowie, że w Londynie istnieje drugi ośrodek niepodległościowy czyli tzw. „Zamek" p. Augusta Zaleskiego. Ku memu zdumieniu przekonałem się wielokrotnie w rozmowach z krajowcami, że Polacy starszego pokolenia, którzy pozostali legalistami, legalną ciągłość 2-giej Rzeczpospolitej widzą w „Zamku" a nie w Radzie Trzech. W kontekście „legalizmu" trudno jest odmówić pewnej logiki temu rozumowaniu. Pod adresem ugrupowania p. Augusta Zaleskiego wysunąć można rozmaite zarzuty lecz nikt nie może „Zamkowi" odmówić statusu niepodległościowego. Niemniej tak p. A. Zaleski jak wszyscy związani z nim działacze traktowani są przez „Dziennik Polski" jako „No-person".

Prasa jest biletem wizytowym każdego ruchu politycznego. Wystarczy przeczytać trzy kolejne numery „Trybuny Ludu" by zdać sobie sprawę z

horyzontów kierownictwa PZPR. Wystarczy przeczytać trzy kolejne numery „Dziennika Polskiego" by zdać sobie jasno sprawę z horyzontów politycznych i intelektualnych „góry" emigracyjnej.

Na Środkowym Wschodzie czy we Włoszech w czasie wojny — gdy żołnierz był odcięty od źródeł informacyjnych — prasa wojskowa mogła stanowić instrument propagandy i urabiania. Warto przecież jednak podkreślić, że „Orzeł Biały" z okresu bagdadzkiego i włoskiego był żywym, i często kontrowersyjnym pismem, z którym londyński „Dziennik Polski" nie może być nawet porównany. Kto ma w tej sprawie wątpliwości niech sięgnie do archiwum.

„Dziennik Polski" musi być pismem popularnym i byłoby błędem redagować go inaczej. Lecz równocześnie powinien być „oknem wystawowym" polskiej demokracji — bo jeżeli nie potrafimy być demokratami w idealnych warunkach brytyjskich to na czym opieramy nasze tytuły propagatorów ustroju demokratycznego w Polsce?

Dla dogmatyków komunistycznych wszyscy którzy myślą inaczej, są dywersantami lub agentami na usługach obcych potęg. Dla emigracyjnych likwidatorów, wszyscy którzy myślą inaczej są „wtyczkami", „fellow-travellerami" lub „sukursantami propagandy sowieckiej". Obie postawy nie mają nic wspólnego z demokracją. Obiektywizm każe jednak podkreślić, że dogmatycy komunistyczni nie podają się przynajmniej za demokratów.

Postawy są podobne i efekt społeczny jest ten sam. Bierność, apatia, zniechęcenie. Polityki dogmatyczne w jakimkolwiek wydaniu są śmiertelnie nudne. „Drętwa" polskość przestaje być atrakcyjna.

Nie wiem czy jest rzeczą możliwą zatrzymać ów proces „odpolitycznienia" społeczeństwa emigracyjnego. Nie wydaje mi się by obecne *establishment* było w możności zainicjować „Październik" na emigracji. Ci panowie są bez następców i są w gruncie rzeczy bardzo zadowoleni z tego stanu rzeczy. Młodzi ludzie domagaliby się jawności, reform, otwartych łamów w „Dzienniku Polskim" — domagaliby się nawiązania kontaktu z Krajem i ze społeczeństwem na emigracji oraz sprecyzowania celów do których mamy dążyć. Nasze emigracyjne *establishment* reprezentuje wyłącznie czas przeszły dokonany. Polityka natomiast — w przeciwieństwie do Historii — odbywa się w trybie czasu teraźniejszego.

W walce politycznej jedyną obiektywną oceną jest ocena przeciwnika. Gdyby Gomułka mógł zażądać likwidacji tylko dwóch emigracyjnych instytucji — wymieniłby z całą pewnością paryską „Kulturę" i RWE. Walka przeciw nam ostatnio wzrosła na sile nie cofając się przed użyciem kalumnii.

Jestem zresztą przekonany, że „Kultura" paryska nie stanowi wyjątku wśród emigracyj zza „żelaznej kurtyny". Czesi, Ukraińcy, Węgrzy, Litwini, Białorusini mają z całą pewnością ośrodki, których polityka w pewnej mierze wychodzi z analogicznych założeń jak nasza. Emigracje te przeżywają przy tym podobne kryzysy.

Należałoby więc stworzyć koncepcję urealnienia zarówno naszej polityki emigracyjnej jak i skoordynowania współpracy emigracyj krajów wschodnioeuropejskich na Zachodzie. Tego rodzaju koordynacja nie jest rzeczą łatwą i wymaga pracy długofalowej. Gdyby to się nam jednak udało, to mogłoby mieć ogromne znaczenie polityczne.

Moglibyśmy nie tylko skuteczniej oddziaływać na ewolucję w naszych krajach ale także uzyskać poważny głos w polityce wewnętrznej poszczegól-

nych krajów „naszego rozproszenia". Otworzyłoby to przed nami perspektywy, które trudno przecenić.

W następnym numerze spróbujemy zarysować koncepcję takiej akcji, otwierając na ten temat dyskusję. Ponieważ te zagadnienia dotyczą w identycznej mierze wszystkich emigracji z Europy wschodniej liczymy, że nie tylko Polacy wezmą w tej dyskusji udział. W gruncie rzeczy płyniemy w jednej łodzi.

ALTERNATYWA PODZIAŁU

Ukazała się nowa książka prof. Zbigniewa Brzezińskiego „Alternative to Partition" — „For a Broader Conception of America's Role in Europe" (Prepared for the Atlantic Policy Studies Program of the Council on Foreign Relations), wydana przez McGraw-Hill Book Co., New York.

Brzezińskiego nie ma potrzeby przedstawiać polskiemu Czytelnikowi. Warto może jednak podkreślić, że Brzeziński stanowi fenomen odrębny i oryginalny. Jest on bowiem nie tylko profesorem nauk politycznych uniwersytetu Columbia i dyrektorem Badawczego Instytutu Spraw Komunistycznych tegoż uniwersytetu — lecz również jest jednym z najbardziej imaginatywnych amerykańskich pisarzy politycznych. Brzeziński to nie tylko wielka wiedza lecz i wielki talent.

Tego rodzaju inwestycje są opłacalne. W Brzezińskim straciliśmy pisarza i naukowca, lecz w zamian zyskaliśmy amerykańskiego profesora i autora, który w oparciu o intymną znajomość przedmiotu potrafi jak nikt inny przedstawić Amerykanom skomplikowany splot problemów Europy wschodniej.

Brzeziński jest zarówno analitykiem jak i twórcą koncepcji politycznych. Ten punkt wart jest podkreślenia ponieważ naukowcy ze swych akademickich wyżyn patrzą zwykle z pogardą na publicystykę i tzw. politykę praktyczną. Natomiast Brzeziński nie stroni od publicystyki i na łamach prasy światowej wysuwa konkretne propozycje w konkretnych sprawach. Jest nie tylko doradcą jako naukowy rzeczoznawca, lecz co ważniejsze, jest inspiratorem jako pisarz.

Ten aspekt jego działalności sprawia najwięcej kłopotu specjalistom po drugiej stronie granicy. „Trybuna Ludu" zaatakowała niedawno Brzezińskiego i niżej podpisanego przedstawiając nas za narzędzia planowanej „dywersji" amerykańskiej. Ponieważ w świecie komunistycznym inspiracja — czyli samoistne myślenie jest wyłącznym przywilejem przywódców partyjnych - - specom w „Trybunie Ludu" nie może pomieścić się w głowie, że w Ameryce może być... *other way round*. Że nie Departament Stanu inspiruje Brzezińskiego — tylko odwrotnie, Brzeziński usiłuje inspirować opinię publiczną i polityków swego kraju.

I jeszcze jeden istotny punkt. Brzeziński będąc przekonanym antykomunistą nie jest „likwidatorem" ani antykomunistycznym dogmatykiem. Nikt również nie dopatrzy się w jego pismach zoologicznej nienawiści do Rosji.

Końcowy i najważniejszy rozdział najnowszej książki Brzezińskiego zamieściła „Kultura" w skróconej formie w numerze kwietniowym. „Alternative to Partition" jest w pewnym sensie książką rewolucyjną tak w założeniu

ogólnym jak i w dyspozycji szczegółowej. Brzeziński poddaje krytycznej rewizji dotychczasową politykę amerykańską w Europie, która opierała się na podziale i wysuwa postulat proklamowania zjednoczenia Europy za jeden z głównych celów polityki amerykańskiej. W sposób rewolucyjny postawił również autor zagadnienie Niemiec. Do tej pory przez „zjednoczenie" rozumiano na Zachodzie zjednoczenie Niemiec, a nie zjednoczenie całej Europy. Kwestia niemiecka stanowiła postulat Nr 1 w programie europejskim. Brzeziński śmiało i logicznie odwrócił kolejność całego programu stwierdzając, że „zjednoczenie Niemiec będzie ostatnim, a nie pierwszym aktem na drodze stopniowego jednoczenia kontynentu europejskiego".

Zamyka książkę wizja pokojowo współpracującego systemu opartego o *cztery elementy:* Stany Zjednoczone i Rosja jako mocarstwa peryferyjne, a wewnątrz tych ram Europa zachodnia i wschodnia — dwie części jednej całości, harmonijnie współpracujące ze sobą.

W jednym z moich artykułów napisałem na tych łamach, że polityka nie produkuje celów — tylko odwrotnie cele produkują politykę. Brzeziński jako Polak posiada wyobraźnię i nie waha się definiować celów dalekich i trudnych, lecz na miarę olbrzymich możliwości jego przybranej ojczyzny.

LONDYŃCZYK

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC"

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT" — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI" — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU" — Za $ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Literaci warszawscy i prorosyjskość doktryny Hallsteina

W marcu 1965 r. aresztowano w Warszawie grupę asystentów Uniwersytetu i studentów z p. Modzelewskim na czele. Do grupy tej wchodzą mniej więcej ci sami, którzy byli przez milicję „zatrzymani" jesienią roku ubiegłego. Są to komuniści, ale komuniści niezadowoleni z obowiązującego ustroju i chcący go poprawić na bardziej wzniosłe kopyto, jeśli wolno się tak wyrazić. Ich leader jest synem Modzelewskiego, byłego ministra spraw zagranicznych, częstochowianina, komunisty ideowego już na ławie szkolnej. Odmówił swego czasu wstąpienia do wojska podczas inwazji bolszewickiej 1920 r. Ożenił się z Rosjanką, wybitną literatką i także ideową komunistką. P. Modzelewska na zebraniu literatów roku ubiegłego stanęła w obronie listu 34, a potem — jak wieść niesie — interweniowała u Ochaba w sprawie zwolnienia swego syna, który teraz z powrotem został aresztowany. Wspominam o tych okolicznościach ponieważ mają one związek z ostatnim zebraniem warszawskiego oddziału Związku Literatów, o którym chcę mówić. Odbyło się ono 20 marca rb. i było poprzedzone rozmaitymi manewrami w Podstawowej Organizacji Partyjnej w tymże Związku. Krytykowano tam Putramenta, on krytykował wszystkich, ale w końcu zwyciężył i znowu został obrany na kierownika. Zebranie, o którym mówię odbyło się w kolumnowej sali byłego Pałacu Prymasowskiego. Sala jest piękna, ale posiada akustykę fatalną. Prezes warszawskiego Oddziału, Igor Neverly, odczytywał swoje sprawozdanie przez godzinę i kwadrans. Sprawozdanie było nudne. Zawierało szczegółowe dane o ilości lodówek w stołówce Literatów, o ilości dokupionych

talerzy i talerzyków i tego typu wiadomości. Ilu literatów korzystało z instytucji wygłaszania odczytów na prowincji, ilu wyjeżdżało zagranicę, ilu brało udział w wycieczkach autokarami po kraju, jak wygląda sprawa przydziału mieszkań. Było to więc sprawozdanie człowieka, który rozdziela jedzenie z misy sforze łaknących, ale wypowiedziane bez talentu narracyjnego. Potem nastąpiło sprawozdanie Sądu Koleżeńskiego, wygłoszone przez p. Lepeckiego, byłego adiutanta Marszałka Piłsudskiego, który teraz mówił ze zgrozą o Janie Nepomucenie Millerze z powodu ogłoszenia przez tegoż Millera artykułu w „polsko-językcznym" tygodniku „Wiadomości", wychodzącym w Londynie — jak p. Lepecki uważał za stosowne się wyrazić. Potem sprawozdanie Komisji Rewizyjnej i wreszcie zaczęła się dyskusja. Pierwszy zabrał głos p. Wyka, ale nie profesor literatury Kazimierz Wyka, ale Jan Wyka, człowiek o skrajnie komunistycznych poglądach. Zwracał się do audytorium nie per „koledzy", lecz per „towarzysze" i wygłosił mowę nie opozycyjną, lecz wręcz rewolucyjną w stosunku do rządu. Omawiał właśnie aresztowanie asystentów Uniwersytetu, o którym wspomniałem przed chwilą. Oświadczył, że Gomułka Nr 2 zawiódł całkowicie nadzieje pokładane na Gomułce Nr 1 — jak się wyraził. Powoływał się na uchwały różnych organizacji komunistycznych w Europie Zachodniej sprzeciwiające się jakiejkolwiek cenzurze. Zawołał, że kiedy w Rosji likwiduje się „dzierżymordów", to u nas właśnie, na odwrót, jak najbardziej się dzierżymordów popiera. Argumenty swe przeplatał obrazowymi inwektywami. Niektórzy z zebranych oczekiwali nadejścia jakichś dwóch „gorodowych" którzy by temperamentnego Wykę odprowadzili do Pałacu Mostowskich.

Następny mówca, January Grzędziński, były redaktor „Czarno na Białym", człowiek mający za sobą przeszłość aczkolwiek nie komunistyczną lecz bardzo a bardzo lewicową, poddał system cenzury w Polsce spokojnej, lecz druzgocącej krytyce. Powiedział, jak jeden jego rękopis, o charakterze opracowania ściśle historycznego, został mu przez cenzurę zwrócony z uwagą: „O Rydzu-Śmigłym pisać, można tylko według Kirchmayera". Jest to zresztą drobny przyczynek do stosunku państwa socjalistycznego do pracy i prawdy historycznej. Są ustalone szablony, trafarety, według których trzeba pisać o wszelkich faktach historycznych. Uczniaki z pierwszej klasy jakiegoś zakładu jezuickiego mieli więcej swobody w swoich opracowaniach aniżeli dzisiejsi pisarze polscy. Toteż to wszystko co się wydaje w dzisiejszej Polsce w charakterze opracowań historycznych, nie może być uznane za poważne wypowiedzi naukowe. Sam płk. Grzędziński, już po zebraniu z 29 marca, stanął przed sądem koleżeńsko-dziennikarskim. Akt oskarżenia zarzucał mu, że w listach do swojej byłej żony wyrażał

się o rządzie Polski LUDOWEJ w sposób nieodpowiedni. Ni mniej ni więcej.

Dziennikarski sąd honorowy powinien był przecież wpierw samego siebie zapytać czy jest rzeczą przyzwoitą otwierać listy człowieka piszącego do swojej byłej żony i w żadnym razie do publikacji nie przeznaczone. W każdym razie w normalnych warunkach nie znalazłoby się trzech dziennikarzy, którzy by się zgodzili wziąć udział w zespole „honorowym", zastanawiającym się nad takimi materiałami oskarżycielsko-dowodowymi. Grzędziński mówił także o sprawie Jana Nepomucena Millera a następny mówca, Alfred Łaszowski, poświęcił tej kwestii główną część swego przemówienia. Łaszowski jest mówcą znakomitym, na zjeździe lubelskim zachwycił samego Gomułkę. Jest to mówca bardzo spokojny, złośliwy, wypowiadający argumenty rzeczowe, jasne, przekonywujące. Wskazywał on na wstyd, który powinien wszystkich literatów ogarniać na wiadomość, że człowiek stary, pisarz bardzo znany, ma odebraną rentę, pozbawiony jest środków do życia za to, iż zagranicą ogłosił szereg rzeczy, których mu w Polsce głosić nie wolno. Mówi się, że p. Miller obraził kolegów-literatów i dlatego spotkały go represje karne. A przecież — przypominał znowu p. Grzędziński — prasa warszawska nie szczędziła inwektyw kolegom, podpisanym na liście 34.

Dlaczego wobec tego rodzaju wystąpień nie zastosowano podobnych środków, jakie się stosuje do Millera za upatrzoną obrazę kolegów. Po Łaszowskim mówił Jerzy Braun, znany pisarz jeszcze sprzed wojny, a potem dwóch ludzi młodszych. Buczkowski proponował uchwalenie wniosku potępiającego stosowanie kary śmierci i cenzury. Jeszcze młodszy od niego, Szczypiorski wniósł wniosek formalny domagający się rozdzielenia wniosku Buczkowskiego na dwie części: o karze śmierci i o cenzurze. Ze zniesieniem kary śmierci może dzisiejszy ustrój się pogodzić, lecz ze zniesieniem cenzury w żadnym razie — ironizował mówca.

Zebranie z 29 marca różniło się od zebrań poprzednich w ciekawy sposób. Oto na zebraniach poprzednich, obok przeciwników cenzury występowali mówcy, którzy nie broniąc cenzury dyskutowali jednak z oponentami, ryczeli różni Fiderkiewicze, itp. Obecnie amatorów cenzury zabrakło zupełnie, jeden jedyny p. Sokorski, były minister kultury, wypowiedział się za cenzurą. Zarzucał on wszystkim mówcom, że przemawiają politycznie zamiast trzymać się tematów literackich, omówionych w sprawozdaniu prezesa Neverlego. Ale, jak już pisałem powyżej, p. Neverly, zresztą dość popularny wśród literatów pisarz, żadnych literackich zagadnień w swym sprawozdaniu nie poruszał. Gdy przystąpiono do wyborów, ktoś wysunął tegoż Jana Nepomucena Millera, co

było przywitane licznymi oklaskami. P. Miller jednak zrzekł się tej kandydatury.

Wspaniałe pióro ma warszawski Wiech. Pamiętam jak w jakimś 1946 r. pisał o głodówkach Gandhiego: — „Angielskie generały gorące i zimne dania mu znoszą i proszą: wrąb pan, panie Hindus, nie bądź pan taki wredny". Podobna sytuacja ma teraz miejsce z Wańkowiczem. Pisałem już w jednej z poprzednich korespondencji, że po wyroku sądowym, skazującym Wankowicza na trzy, względnie na półtora roku więzienia, miała miejsce przyjacielska rozmowa Gomułka-Wańkowicz, która trwała dwie godziny i kwadrans, po czym Wańkowicz otrzymał wezwanie na komisję lekarską, której zadaniem było oczywiście stwierdzenie, że Wańkowicz jest tak chory, że do mamra iść nie może. Tymczasem Wańkowicz nie idzie na tę komisję, która go wzywa w coraz uprzejmiejszych wyrazach. Pierwsze wezwanie opiewało na obywatela, teraz — trzecie już z kolei — powiadało: „Pan Redaktor najuprzejmiej jest proszony..." A Wańkowicz się nie stawia, choć według prawa powinien być już od dawna zamknięty w celi więziennej.

II

Wszystkie powyżej opowiedziane fakty, o których łatwo jest powiedzieć, że są facecjami, wskazują na wielką dezorganizację wśród rządzących. Ale nie przypuszczam, aby dyktatura Gomułki mogła zastosować bardziej liberalne metody rządzenia, ustąpić coś w dziedzinie cenzury, czy gdzie indziej. Rząd Gomułki jest po prostu za słaby, aby pozwolić sobie na jakikolwiek liberalizm. Można spokojnie powiedzieć, że 95% ludności tego kraju jest przeciwnikami obecnego ustroju. Oto jutro odbędzie się przyjęcie Breżniewa i Kossygina. Trasa przejazdu triumwirów, będzie wypełniona spontanicznie witającymi ich tłumami. Tylko od dni kilku na fabrykach i biurach przypominano pracownikom, że kto się nie zjawi na manifestację, będzie osobiście za to odpowiedzialny, że spotkają go bardzo surowe represje. Oczywiście członkowie aparatu, którym powierzono polityczną opiekę nad ludźmi z tych fabryk i z tych biur, będą wznosić możliwie hałaśliwe okrzyki, będą sobie wydzierać gardła. Wśród witających spontanicznie Breżniewa i jego towarzyszy będzie znajdowała się jedna stara hrabina, wydziedziczona ze swych włości. Znam ją i wiem, że jej uliczna spontaniczność będzie bardzo swoistego rodzaju. Smutne jest to życie w niewolniczej Polsce!

Władysław Gomułka jest człowiekiem dobrych chęci. Chociaż nie kończył szkół wyższych to — co tu gadać — jest nieskończenie bardziej inteligentny od profesora uniwersytetu Ignacego Mościckiego. Ale Gomułka sam jest niewolnikiem doktryn, w które jeszcze w młodości szczerze wierzył. Nie chce wyciągnąć konsekwencji i nie chce przyjąć do wiadomości tego faktu że w dzisiejszej Polsce za dolary w P.K.O. można dostać wszelkie frykasy i kupują je ludzie mający dewizy zdobyte w licznych i powszechnych nadużyciach. Natomiast na ulicach widać ogonki kobiet za przedmiotami pierwszej potrzeby, jak za najgorszych wojennych czasów. We wszystkich przemówieniach porównuje się los robotnika obecny i sprzed 1939 r. i twierdzi się, że obecnie jest lepiej. Pewnie, że w niektórych dziedzinach jest lepiej, aczkolwiek nie we wszystkich. Ale 1939 rok minął już 26 lat temu. Nie można w gospodarce porównywać teraźniejszości z przeszłością, bo to jest całkowity nonsens. Za czasów Franciszka Józefa nie było samochodów, bo albo ich w ogóle nie było, albo przemysł automobilowy nie był tak rozwinięty. Jeszcze 20 lat temu żaden robotnik polski nie miał telewizoru, bo nie było telewizorów. Robotnik w Petersburgu za Mikołaja miał się niewątpliwie gorzej niż obecny robotnik w Leningradzie. Ale rozpiętość pomiędzy poziomem życia robotnika rosyjskiego a poziomem życia robotnika amerykańskiego, zachodnioniemieckiego, czy francuskiego wzrosła znakomicie, olbrzymio, gigantycznie — na niekorzyść robotnika rosyjskiego. W porównaniu z robotnikiem państw kapitalistycznych, robotnik w państwach socjalistycznych jest narzędziem.

Socjalizm. Wyraz ten ma tak dużo znaczeń, jak mają ich dużo takie wyrazy jak: demokracja, humanitaryzm, sprawiedliwość społeczna, chrześcijaństwo i wiele innych. Realny, rzeczywisty ustrój w Polsce polega na zmonopolizowaniu całego kapitału w rękach państwa, na monopolu państwa zarówno w posiadaniu zakładów przemysłowych jak i budek z wodą sodową. Jest to antygospodarcze, paraliżuje całkowicie życie gospodarcze, utrudnia obrót gospodarczy, powoduje nędzę robotnika i powszechność, lub prawie powszechność, nadużyć wśród inteligencji. Polacy są naprawdę warci lepszego losu. Ale nie tylko doktryny, tak zwane socjalistyczne, są szkodliwe dla gospodarki Polski Ludowej. Oto nauka o bilansie handlowym jest znacznie starsza od teorii Marxa i była powszechnie uznana za dogmat naukowy. Obecna wiedza ekonomiczna wtrząsnęła jej autorytetem. Łączyła się ona z przekonaniem, że gospodarka społeczna ulega tym samym prawom co gospodarka jednostki. Istotnie, jeśli X więcej wydaje niż zarabia, to czeka go bankructwo. Ale w gospodarce społecznej jeśli X traci to Y może właśnie na tym zarabiać. Gos-

podarka społeczna tworzy dobrobyt tylko i wyłącznie szybkimi obrotami dóbr gospodarczych. Jakaś wysepka z Eskimosami wszystkie foki, które upoluje sprzedaje „zagranicę", sprzedaje za „dewizy". Nie znaczy to wcale, żeby na tej wysepce, o tak bardzo dodatnim bilansie handlowym, panował dobrobyt większy niż w Ameryce. W Polsce ludowej teoria, że tylko eksport przynosi bogactwo kraju doszła do pełnego delirium. W restauracjach warszawskich nie ma takiego przysmaku jak raki, bo wszystkie raki są eksportowane dla poprawienia bilansu handlowego. W aptekach warszawskich nie ma najpotrzebniejszych lekarstw, bo się oszczędza na imporcie. Polskie wspaniałe zespoły tańca i śpiewu jak „Mazowsze", są do nie ujrzenia w kraju, bo włóczą się po całym globie dla poprawienia bilansu handlowego. Finansowi wyzyskiwacze tych zespołów nie zdają sobie nawet sprawy, że polski taniec i polska piosenka to część kultury polskiej i eksploatowanie ciągłe „Mazowsza" po antypodach odrywa ten zespół od źródeł tej kultury, przyczyni się do jego cherlactwa i szablonu. Wszystkie państwa dbają o swoje waluty. Emisja pieniądza papierkowego to główne i najbardziej dodatnie zadanie gospodarki państwowej. Tymczasem Polska Ludowa uprawia zupełnie błędne kompromitowanie waluty własnej. Nawet gatunkowe wódki polskie można w Warszawie dostać tylko za dewizy; w hotelach, w których mają się zatrzymywać cudzoziemcy w upokarzający sposób poluje się na ich dewizy. Wyraz „dewizy" wymawiany w jakiś sposób, prawie lubieżny, oznacza oczywiście tylko pieniądz państw kapitalistycznych, tych właśnie państw, które według teorii, wbijanych nieszczęsnym dzieciom do głowy, są na progu upadku i dziś, jutro, będą zwyciężone przez świetlany ustrój socjalistyczny.

III

Wszystkie te luźne i chaotyczne refleksje są wynikiem obserwacji gospodarki państwa socjalistycznego, która aż nadto wyraźnie, aż nadto boleśnie, codzień rzuca się w oczy. W dziedzinie polityki zagranicznej należy uchwycić to, co jest główne, istotne, co ciąży na całym systemie politycznym rządów i co nie tylko odpowiada Gomułce, lecz czymś w czym solidaryzuje się Gomułka z kardynałem Wyszyńskim, w czym wódz znakomitej mniejszości w Polsce — to jest Gomułka, będzie poparty przez wodza znakomitej większości Polaków — to jest kardynała Wyszyńskiego. Myślę o sprawie niemieckiej. Polityka Niemiec wobec Polski, oto

jest łańcuch, który przykuwa Polaków do rydwanu rosyjskiego. Niedawno prezes klubu „Znak", p. Stanisław Stomma, dał wywiad jakiemuś dziennikarzowi niemieckiemu. W wywiadzie tym powiedział, że Polacy nie mają nienawiści do Niemców, ale nie mają do nich zaufania. Należałoby zupełnie inaczej powiedzieć. Trzeba było odpowiedzieć pytaniem, czy dziennikarz niemiecki nie sądzi, że gdyby to Polacy okupowali Niemcy, przez 5 lat zachowywali się w Niemczech w tak bestialski sposób, jak Niemcy w Polsce, to czy Niemcy mogliby się wyleczyć od straszliwej do nas nienawiści. Poza tym trzeba było dodać, że Polacy nie tylko nie mają zaufania do polityki niemieckiej, ale jej mieć nie mogą, ponieważ rząd niemiecki sprawę polską traktuje jako ofertę dla Rosji. Rząd NRF walczy dyplomatycznie z Rosją, ale pozostawia sobie możliwość dogadania się z Rosją na wszelki wypadek. Do tego służy sprawa polska. Tutaj ogromna, decydująca większość Niemców prowadzi politykę nie antyrosyjską, lecz jawnie prorosyjską. Odzywają się głosy wzywające do odzyskania przez Niemców ziem przyłączonych do Polski po 1945 roku. Nigdy jednak, nawet z ust przywódców przesiedleńców, nie słyszeliśmy ważnego głosu, który by był logiczny, że jeśli Szczecin ma wrócić do Niemiec, to oczywiście Wilno i Lwów winny wrócić do Polski. Ogromna większość Niemców, z bardzo nielicznymi chyba wyjątkami, uważa, że Wrocław i Szczecin powinny wrócić do Niemiec, a Wilno i Lwów nie ma całkiem wracać do Polski, względnie do jakiejś niepodległej Litwy czy niepodległej Ukrainy, lecz mają zostać przy Rosji.

Doktryna Hallsteina. Obecnie ta doktryna zagrała w całej pełni, zwracając przeciwko Niemcom, a więc i Ameryce, cały świat muzułmański. No! Zdolności dyplomatycznych to naród niemiecki nie posiada i tacy ludzie jak Fryderyk II i Bismarck są tam wyjątkami, a regułą politycy prowadzący swój naród do klęski. NRF nie aktywizuje swej polityki na terenie NRD, gdzie musiałby mieć sukcesy, lecz woli zbierać „triumfy" z doktryny Hallsteina na terenie świata muzułmańskiego. Ale cóż znaczy doktryna Hallsteina w stosunku do państw znajdujących się w orbicie rosyjskiej? Oznacza ona, i oznaczać nic innego nie może jak tylko: uznanie, że wszystkie państwa w Europie Środkowej wchodzą w orbitę Rosji — i poparcie tego stanowiska. Gdyby bowiem doktryna Hallsteina choć cokolwiek serio była protestem przeciwko istnieniu i popieraniu NRD, to by Niemcy musiały przede wszystkim ją stosować do Rosji i do Chin. Ale przecież z Rosją Niemcy od dawna utrzymują stosunki dyplomatyczne, a w Chinach są bardzo aktywni w dziedzinie gospodarczej. NRD istnieje nie dlatego, że tak sobie życzy Jugosławia czy Rumunia, lecz dlatego, że taka jest polityka Rosji. Doktryna Hallsteina rzekomo

zwrócona przeciwko NRD wzmacnia oczywiście Rosję w Europie Środkowej. Niemcy Zachodnie zbyt aktywne w sprawie NRD nie są, natomiast ich stanowisko w sprawie polskiej wyraża się nadzieją, że kiedyś będą mogły dojść z Rosją do porozumienia i to właśnie kosztem Polski. Niemcy nigdy, nigdzie i w żadnej formie nie zrobiły nic takiego co by zaprzeczało powyższej tezie. I dlatego, pomimo rozbijania światowego bloku komunistycznego przez Chiny od 1958 r., pomimo wyłamania się Rumunii, pomimo insyjską. W dużej mierze zawdzięczamy to polityce Niemiec Zachodnich.

Gaston de CERIZAY

P.S.: Dyrektor monachijskiej rozgłośni radiowej polemizuje ze mną na łamach londyńskich „Wiadomości". Myli się jednak twierdząc, że „Prawo i Życie" warszawskie nie pisało iż fotokopia listu Wańkowicza nie była zrobiona w Monachium. Oto co pisało „Prawo i Życie" dnia 16 stycznia br.: „Wyjaśniamy, że prywatna przesyłka nie była listem przesłanym pocztą, przesyłka dotarła bez przeszkód do adresatki. O jej istnieniu dowiedziano się dopiero po znalezieniu się tekstu w Monachium w siedzibie radia Freies Europa". *Sapienti sat.*

Historyczna prawda o Ukraińskiej Armii Narodowej

NOTA TŁUMACZA:

Zadanie tłumacza powinno w zasadzie ograniczyć się do wiernego przekładu tekstu. W tym wypadku jednak przekład artykułu generała Szandruka prosi się o krótki komentarz.

O odznaczeniu gen. Szandruka krzyżem Virtuti Militari i o gwałtownej reakcji komunistycznej pisano w prasie emigracyjnej albo niewiele albo nic. To niedobrze, bo przecież kłamliwe zarzuty pod adresem odznaczonego mają w istocie za cel tych, którzy mu wysokie polskie odznaczenie przyznali. Chodzi o skompromitowanie pewnych osobistości emigracyjnych, a przy okazji o podrzucenie drew do ognia niewygasłej wrogości polsko-ukraińskiej. To właśnie dlatego uporczywie podtrzymuje się legendę o udziale dywizji halickiej w dławieniu Powstania Warszawskiego, albo o ukraińskim charakterze brygady Kamińskiego, która istotnie dokonała w Warszawie licznych zbrodni. Ani jedno, ani drugie nie odpowiada rzeczywistości, ale legenda, starannie pielęgnowana przez reżym, pokutuje nie tylko w kraju ale i na emigracji.

Pisma wychodzące na Zachodzie, a będące na usługach U.B. oskarżyły gen. Szandruka, że stał na czele formacji, która wyspecjalizowała się w mordowaniu bezbronnej ludności polskiej. Wielka szkoda, że natychmiast nie przyszło sprostowanie z polskiej strony, jak najbardziej zainteresowanej w ujawnieniu prawdy. Przecież przed decyzją przyznania Virtuti Militari rozporządzano odpowiednim materiałem, dotyczącym działalności ukraińskiego generała. Należało ten materiał ogłosić bez zwłoki.

Ja na przykład, jako współpracownik polskiej audycji radia w Madrycie, nie mogłem dać natychmiastowej repliki propagandzie komunistycznej, gdyż brakowało mi szeregu szczegółów i dat, które znalazłem dopiero w artykule gen. Szandruka. A z prostowaniem kłamstw i oszczerstw nie należy zwlekać zbyt długo.

W tłumaczonym tekście znajdzie się niewątpliwie to i owo, co może urazić polskiego czytelnika. Ale pamiętać trzeba, że autor oświetla sprawy i zagadnienia z ukraińskiego stanowiska narodowego, często sprzecznego z polskim. A upłynie jeszcze wiele czasu, zanim wygładzą się ostre kanty tragicznego sąsiedztwa polsko-ukraińskiego. Jeżeli na tę tragedię istnieją jakiekolwiek leki, to najskuteczniejszym z nich może być tylko p r aw d a.

J. Ł.

W pewnych czasopismach polskich ukazały się ataki na mnie, po pierwsze, za niezrozumiałe dla nich odznaczenie mnie polskim krzyżem Virtuti Militari, po drugie, za to jako bym był dowódcą Dywizji SS „Hałyczyna".

Z uwagi na to, że, niestety, również pewna część społeczeństwa ukraińskiego po dziś dzień wykazuje całkowity brak orientacji w tych sprawach,uważam za wskazane dać odpowiednie wyjaśnienia. Oczywista, wyjaśnień tych nie można, w najmniejszym nawet stopniu, uważać za przeznaczone dla wspomnianych powyżej czasopism polskich, ani dla polskiego społeczeństwa, przebywającego poza Polską, ponieważ tu powinnyby zareagować odpowiednie czynniki polskie, rozporządzające rzeczowymi danymi

Zacznę więc od sprawy powstania i działań Dywizji „Hałyczyna".

Do organizowania Dywizji „Hałyczyna" w okupowanym przez Niemców kraju, przystąpiono w marcu 1943 roku, gdy nie tylko dla każdego wojskowego, ale i dla każdego słabo orientującego się w sprawach militarnych obywatela, było najzupełniej jasne, że Niemcy wojnę przegrały, gdyż wojska niemieckie znajdowały się w ciągłym i beznadziejnym odwrocie defensywnym.

Polityczno-społeczną odpowiedzialność za utworzenie Dywizji wziął na siebie formalnie Ukraiński Komitet Centralny, złożony ze znanych działaczy społecznych i doświadczonych weteranów z pierwszej wojny światowej. Część ich weszła do Zarządu Wojskowego, który stał się dla Dywizji zwierzchniczym organem administracyjno-organizacyjnym. Czy ktokolwiek może mieć wątpliwości, że członkowie Komitetu i ZW znali nastawienie niemieckiej góry i administracji na ukraińskich ziemiach co do przyszłości Ukrainy na wypadek niemieckiego zwycięstwa? Nie ulega wątpliwości, że wszyscy oni dokładnie znali polityczne i terytorialne aspiracje Hitlera i jego najbliższego otoczenia, wyraźnie, bez żadnych osłonek dla imperialistycznych tendencji, wyłożone przez Hitlera w „Mein Kampf". A jednak nie tylko uważali za celową, wymuszoną okolicznościami, współpracę z Niemcami dla sformowania Dywizji, lecz ponadto w tej krytycznej chwili hitlerowskiego panowania na Ukrainie udzielili tej współpracy swoje nazwiska i swój społeczny autorytet. Nie ma powodu aby dłużej

i szerzej wyjaśniać przyczyny takiego właśnie postępowania tych ukraińskich patriotów — przecież widzieli oni, a nawet doświadczyli na sobie, prawie dwuletnie panowanie czerwonej Moskwy podczas pierwszej okupacji Hałyczyny przez Moskali, w latach 1939-1941.

Reakcja ze strony halickiej ludności na odezwy, by zgłaszać się ochotniczo do Dywizji, przeszła najśmielsze oczekiwania: przewidywano kontyngent 20 tysięcy ludzi — zgłosiło się 80 tysięcy ochotników. Rzecz w tym, że ludność, której dobrze dał się we znaki okupacyjny reżym niemiecki, miała jednak możność porównania go z metodami okupacyjnego reżymu moskiewskiego i z dwóch nieszczęść wybierała mniejsze — wierząc swoim przywódcom, poszła z jednym wrogiem przeciw drugiemu, straszliwemu swym nieludzkim zachowaniem się. Jak widzimy z przytoczonych liczb, poszła przeciw Moskalom nawet z entuzjazmem. Psychologicznie biorąc, była to reakcja zrozumiała — odwet za doznane krzywdy materialne, fizyczne, polityczne i duchowe.

Nie orientuję się, czy Zarząd Wojskowy odczuwał potrzebę zasięgania opinii i czy jej zasięgał u wojskowych ukraińskich na temat celowości tworzenia Dywizji w owym okresie, ale z postulatów politycznych stawianych niemieckiej administracji i dowództwu, oraz z szeroko rozpowszechnianych odezw do ukraińskiego społeczeństwa widać wyraźnie, iż ZW zamierzał potraktować sformowanie Dywizji jako początek utworzenia zbrojnych sił ukraińskich dla walki o państwo ukraińskie — z czasem przeciw obydwu okupantom. Należy podkreślić, że z uwagi na ówczesną sytuację wojenną wybór chwili był całkowicie usprawiedliwiony. Wprawdzie Niemcy były pobite, ale jeszcze wiązały siły moskiewskie, zaś Moskwa — wróg Ukrainy numer jeden — była wyczerpana i mogła prowadzić wojnę dalej jedynie dzięki nadzwyczaj intensywnej pomocy aliantów.

Ponadto reprezentacyjne koła ukraińskiego społeczeństwa, które decydowały w tej sprawie, mogły liczyć na to, że mimo wszystko, sojusznicy, zorientowani odpowiednio co do imperialistycznych intencji Moskwy, już chociażby na podstawie doświadczenia z Polską, we właściwy sposób ocenią wysiłki Ukraińców. Chodziło nie tylko o Ukraińców, gdyż uniknięcia moskiewskiej tyranii pragnęły również inne podbite narody — Białorusini, narody bałtyckie, Kozacy, Kaukazczycy, Turkiestańczycy, Tatary.

Tak więc można było zgodzić się, że chwila dla ewentualnego wszczęcia wspólnej walki z innymi narodami o wyzwolenie z moskiewskiej niewoli była odpowiednia. A czy istniała inna możliwość walki, niż przy boku Niemców? Zapewne, jednak ocena sytuacji nie była wszechstronna, gdyż nie wzięto pod uwagę, że Niemcy, idąc za przykładem swego niedawnego sojusznika sowieckiego nie dotrzymają zobowiązań ani przyrzeczeń. A były to: zgoda na sformowanie w przyszłości co najmniej pięciu dywizji, ukraińskie dowództwo w Dywizji „Hałyczyna", w ogóle całkowicie narodowy charakter tych formacji. Ale chyba najważniejszym

— czego nie wzięto pod uwagę — było to, że Niemcy nie byli już w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości technicznego i materiałowego wyposażenia dla cudzoziemskich legionów. Ponadto nie żywili zaufania do lojalności tych legionów i w ogóle do całej ludności z uwagi na antyniemiecki ruch partyzancki (UPA), który już się rozpoczął. Czy jednak nie było to wynikiem polityki niemieckiej na okupowanych terenach?

Należy przypomnieć, że w składzie niemieckich wojsk znajdowały się już formacje różnych narodów, jak na przykład łotewska brygada generała Bangierskiego, bataliony estońskie, konny korpus kozacki generała von Pannwitza, mniej liczne oddziały turkiestańskie, kaukaskie i tatarskie, zaś w roku 1944 musiała pójść na współpracę z Niemcami polska Brygada Świętokrzyska; również weszła w skład armii niemieckiej rosyjska brygada Kamińskiego. Wreszcie przy końcu 1944 utworzono armię rosyjską generała A. Własowa.

Dlaczego dywizja ukraińska otrzymała początkowo nazwę „Hałyczyna"? Najwidoczniej, dlatego, że formowano ją na terenie Galicji i podstawowe kontyngenty składały się z tamtejszych mieszkańców. Ale niebawem Dywizję nazwano: 14 grenadierska Dywizja broni SS „Galitzien" („Hałyczyna"). Powód tkwił bodaj w tym, że wszystkie cudzoziemskie formacje przydzielono do „broni SS". Tu należy zwrócić uwagę na fakt, że te legionowe formacje, o wśród nich Dywizja „Hałyczyna", nie stanowiły zwykłych dywizji czy brygad SS, lecz „broni SS". Co do dywizji „Hałyczyna" było to zrozumiałe, bo chociaż na wszystkie postulaty Zarządu Wojskowego i ukraińskiego przedstawicielstwa w ogóle, Niemcy nie tylko nie reagowali, lecz po prostu przechodzili nad nimi do porządku dziennego, to jednak musieli pójść na pewne ustępstwa co do żądań administracyjnych, a mianowicie: 1. Dywizja miała katolickich i prawosławnych kapelanów, których — jak wiadomo — niemieckie dywizje SS mieć nie mogły. 2. Przy Dywizji był przedstawiciel Zarządu Wojskowego w osobie majora D. Palijewa, a po jego śmierci, majora dr W. Makaruszki. 3. Żołnierze Dywizji nosili na lewym rękawie odznakę „Halickiego Lwa". 4. Na służbie i poza służbą żołnierze porozumiewali się ojczystą mową ukraińską, jedynie komenda była w języku niemieckim. 5. Nastawienie żołnierzy było najzupełniej wyraźne, co przejawiało się choćby w napisach-hasłach po ukraińsku na wagonach, którymi ich transportowano do ośrodków szkoleniowych, a później na front pod Brodami: „Sława Ukrainie", „Za Ukrainę" i tak dalej. 6. Dywizji nie przysługiwało prawo noszenia na kołnierzu odznak SS, co było zarezerwowane wyłącznie dla żołnierzy germańskiego pochodzenia.

Żeby skończyć z zagadnieniem narodowo-politycznych racji stworzenia Dywizji, zacytuję tu fragment z polskiego czasopisma, pióra znanego polskiego działacza i ministra, Ignacego Matuszewskiego; tekst ten ukazał się najpierw w piśmie „Gazeta Polska", a następnie w broszurze „Hańba albo Sława", wydanej w Jerozolimie w roku 1945 (str. 11 i 12):

„Oto argumenty, jakimi Ukraińcy usprawiedliwiali konieczność wojskowej współpracy z Niemcami... Nie mamy innego wyboru. Czeka nas śmierć baranów prowadzonych na rzeź. Wolimy bronić się. Przedsmak tego, co oczekuje Ukraińców halickich, daje postępowanie Moskali na Ukrainie Sowieckiej. Jeszcze przed wojną wyniszczono tam całą inteligencję, a tych wszystkich, którzy dążyli przynajmniej do kulturalnej autonomii, w najlepszym razie zesłano na Workutę. Obecne zachowanie się Sowietów wygląda tak, jak gdyby chodziło o wyniszczenie całego plemienia ukraińskiego. Egzekucje idą w miliony. Jesteśmy zmuszeni do pozornej współpracy z Niemcami. Przede wszystkim dlatego, że — jak się okazuje — również i wy, Polacy, mimo sojuszu z Anglią i Ameryką, nie jesteście w stanie zapobiec barbarzyńskiemu zachowaniu się bolszewików na polskiej ziemi.

A więc nie sądźcie, że współpracujemy z Niemcami, by dopomóc im do zwycięstwa. Po prostu nie chcemy, aby zwycięstwo Anglii, Ameryki i Polski nad Hitlerem zastało nas w grobach. I dlatego też będziemy się bronić..."

To do wiadomości polskich patriotów. Na pewno Ignacego Matuszewskiego nie można podejrzewać o jakieś specjalne sympatie do Ukraińców.

Tak oto powstała „14 grenadierska Dywizja broni SS".

◆

W dniach 17-21 lipca 1944 Dywizja, jeszcze niedostatecznie wyszkolona, została wysłana na front pod Brody. Na tym froncie bolszewicy rozbili ją wraz z innymi niemieckimi jednostkami, przy czym Dywizja straciła około 70% swego stanu. Podczas gdy całe niemieckie oddziały dostały się tam do niewoli, Dywizja biła się tak, że po przebiciu się jej z niemal całkowitego okrążenia na południowy zachód, nieprzyjaciel nie mógł pochwalić się, że wziął jeńców, mimo, że obecnie wiemy ze wspomnień różnych dowódców bolszewickich, iż wszelkimi siłami starali się Dywizję otoczyć i nie wypuścić jej z rąk. Rozbitą Dywizję, po wydostaniu się z okrążenia, skierowano do reorganizacji i uzupełnienia do Czechosłowacji i częściowo do południowej Austrii, dla obrony niemieckich tyłów przed partyzantką Tity.

Tak więc kategorycznie stwierdzam, że ani przed bitwą pod Brodami, ani tym bardziej po tej bitwie, a zwłaszcza w okresie, gdy zaczęło się Powstanie Warszawskie, 1 sierpnia 1944 (a zatem w dziesięć dni po Brodach), nie było w Warszawie ani jednego oddziału, wydzielonego ze składu Dywizji i ani jednego żołnierza. Dywizja miała umundurowanie polowe tej samej barwy co niemieckie SS. Bardzo chciałbym zapoznać się z wiarogodnymi, dokumentarnymi dowodami, że Ukraińcy a nie „Ukraińcy" byli już nie w Warszawie, lecz w ogóle gdziekolwiek w Polsce i występowali wraz z Niemcami przeciw Polakom.

Trzeba tu zaznaczyć, że przedstawicielstwo społeczeństwa ukraińskiego, odpowiedzialne za tworzenie Dywizji, kategorycznie zastrzegło się wobec władz niemieckich przed ewentualnym użyciem Dywizji, czy jej oddziałów na jakimkolwiek froncie przeciw aliantom. Niemcy tego warunku nie naruszyli. Wiadomo, że na

froncie Zachodnim były oddziały i poszczególni żołnierze, którzy nosili na rękach błękitne tarcze z literami UWW (Ukraińskie Wojsko Wyzwoleńcze), ale bodaj wśród tych UWW-owców, przymusowo wcielonych do niemieckiego wojska, zbyt wielu Ukraińców nie było. W pewnym wypadku, gdy do kilku tych UWW-owców skierowano pytanie, czy są Ukraińcami i skąd pochodzą, ci odpowiedzieli: „Jacy tam z nas Ukraińcy — my spod Kaługi; zabrali nas i kazali przyczepić te litery, no, to i nosimy".

Niemcy używali Ukraińców, z ich woli, lub pod przymusem, głównie do pomocniczej służby przy ochronie linii kolejowych, a także wojskowych składów.

Polityczne antagonizmy kwitły, nawet w ostrzejszej formie, w krajach o wysokiej kulturze, jak na przykład Irlandia, Anglia, Czechy i Słowacja, Włochy i Francja. Ale wszędzie na świecie, gdzie dochodziło lub dochodzi do wyzwolenia narodowo-politycznego, świadomość celów i warunków dyktuje ocenę możliwości i własnej siły, i musi doprowadzić do wytyczenia dróg, prowadzących do zdobycia niepodległości państwowej, w określonych formach. Niejednokrotnie mówimy, ale ciągle zapominamy, że przeszłość stanowi naukę dla przyszłości. Tym bardziej, że obecnie przyszłość ta jest przesłonięta ciężkimi chmurami, gubi się w mroku politycznych perspektyw, celowo przyćmionych sztucznie tworzoną rzeczywistością. Czy na długie lata? Wydaje się, że w tych mrokach i mgłach jedyną gwiazdą mogłoby stać się zdobycie się na taką siłę ogólnonarodowej woli, przynajmniej w kołach kierowniczych, na takie zjednoczenie wysiłków — na zasadzie wzajemnego szacunku — żeby chociaż przygotować teren pod realizację naszych dążeń polityczno-narodowych. Na pewno zespolone wysiłki setek milionów podbitych, czy zniewolonych nie mogą pójść nadaremne, muszą przynieść pozytywne wyniki.

W wnioskach wyciągniętych ze sprawy powstania Dywizji „Hałyczyna", w koncepcji jej polityczno-społecznego kierownictwa i w nastawieniu samej masy żołnierskiej należy po prostu widzieć wolę ponownego podjęcia, w konkretnych warunkach, walki narodu ukraińskiego o odrodzenie państwowej niepodległości.

Ale również nie można pomijać wniosków ogólno-politycznych, gdyż los Ukrainy i innych narodów rozstrzygnąć się musi tylko w kompleksie międzynarodowych rozwiązań politycznych, zresztą przewidzianych w ogłoszonych na konferencji w Casablance, a następnie niejednokrotnie potwierdzanych, a nigdy nie wykonanych postanowieniach „Karty Atlantyckiej".

Gdyby kierownicze koła niemieckie — Hitler cieszył się władzą nieograniczoną — miały nieco zdrowego rozsądku w głowach, to z każdego punktu widzenia, zgodnie z ich interesami, powinny były dopomóc wszystkim zniewolonym przez Moskwę narodom do wyzwolenia się, gdyż wówczas Niemcy miałyby możność bez użycia gwałtownych środków uzyskać wszystkie naturalne zasoby, niezbędne dla ich istnienia. I nie wiadomo, jakby się wów-

czas potoczyła wojna. Realistyczne, zabezpieczone umowami potraktowanie Niemiec przez sojuszników, z Polską włącznie, mogłoby doprowadzić do kompromisu na Zachodzie. A wtedy największym osiągnięciem Drugiej wojny światowej mogłoby być wciśnięcie Moskwy w jej etnograficzne granice i dziś nie istniałby podział Niemiec na dwie części, opanowanie i polityczna deformacja Polski, Czechosłowacji, Węgier itd. Zachód jeszcze będzie miał niekończące się i beznadziejne kłopoty z sytuacją, wytworzoną przez siebie.

Była przed nim jeszcze inna wygodna perspektywa nawet w warunkach wojskowego pogromu Niemiec, gdyby nie podporządkował się żądaniom i oszukańczym zapewnieniom Stalina (Teheran, Casablanca, Jałta, Poczdam). Teraz widzimy, że nie tylko krótkowzroczność polityków wolnego świata, ale również koncepcja współistnienia F.D. Roosevelta i jego doradców, doprowadziły wolny świat do całkowitej kapitulacji przed Stalinem, który dobrze wiedział, czego chce, i widział, że wiele może osiągnąć. Dla każdego obserwatora, znającego taktykę stalinowskiej Moskwy, było oczywiste, że Stalin nie miał najmniejszych możliwości pokojowego wyjścia z konfliktu z Niemcami, czego podobno obawiał się bezpodstawnie Roosevelt. Ówczesna wojskowa sytuacja obu przeciwników była taka, że żaden z nich nie mógł iść na pokój, bo to byłoby równoznaczne z kapitulacją, a więc całkowitą katastrofą polityczną. Z wielką nie do naprawienia szkodą dla całego świata i dla samych siebie, krótkowzroczni „wielcy" politycy Zachodu nie mogli tego zrozumieć ani dostrzec, i teraz zbierają posiane przez siebie żniwo.

A znowu w niektórych naszych czasopismach pojawiły się artykuły, pisane z autorytatywną pewnością siebie przez ludzi, którzy nie mieli żadnego związku z Dywizją, nie znają ducha jaki w niej panował, ani warunków, w jakich powstawała, a jednak uważają, iż mają dość kompetencji, by wypisywać o Dywizji różne rzeczy. Tak więc, jeden z tych autorytetów pisze, co następuje:

„...Krew młodych żołnierzy zobowiązuje do wyjaśnienia pewnych faktów. Kto ich posłał pod Brody? Trzecia Rzesza, Frank, Wechter? Kubijowicz? Palijew? Żołnierze Dywizji, którzy pozostali przy życiu pragnęliby dowiedzieć się prawdy..."

Trzeba uznać, że te naiwnie demagogiczne pytania zawisają w próżni. Bo odpowiedź może być tylko jedna: żołnierze Dywizji znają ową „prawdę". A ta prawda — tak by powinno się wydawać — jest taka: idzie się do wojska nie po to, żeby paradować w mundurze; I to jeszcze podczas wojny! Każdy żołnierz, czy to z ochotniczego zaciągu, czy wezwany do wojskowej służby przez państwo, wie, że nie ma zabawy w wojsko, że istnieje nieustający obowiązek gotowości na śmierć. To prosta sprawa — zamiast stawiać powyższe pytania, należało zwrócić się do licznych oficerów i żołnierzy Dywizji, oczywista tych bardziej inte-

ligentnych, którzy byliby w stanie udzielić merytorycznej odpowiedzi, i zapytać każdego: „A ty dlaczegoś wstąpił do Dywizji?" Bo przecież „Brody" stanowiły logiczne następstwo zaciągnięcia się do tworzonej Dywizji.

Tu należy wrócić do wydarzeń z końca 1944 roku. Przed odpowiedzialnymi, kierowniczymi osobistościami różnych narodów stanęło zagadnienie deklaratywnego wyjaśnienia ich sytuacji — wyjaśnienia, co podyktowało konieczność pójścia obok Niemców do walki z rosyjskim imperializmem, a także zorientowania się, czy istnieją perspektywy na zrozumienie, a być może nawet podtrzymanie narodowo-politycznych dążeń przez zwycięskich sojuszników zachodnich. Bezpośrednie zadanie polegało na konieczności poinformowania sojuszniczego dowództwa w jakim celu powstały formacje narodowe w składzie Zbrojnych Sił Niemieckich, i na zabezpieczeniu żołnierzom tych formacji odpowiednio pozytywnego potraktowania.

Podobno z pewnych niemieckich — antyhitlerowskich — środowisk również wyszła inicjatywa, jeśli nie przekreślenia, to przynajmniej politycznego zneutralizowania uprzednich imperialistycznych tendencji w stosunku do Europejskiego Wschodu. Zewnętrznie te inicjatywy zbiegły się — miało dojść do utworzenia na terenie Niemiec komitetów narodowych. Działo się to pod koniec roku 1944 i na początku 1945.

Należy zaznaczyć, że tworzenie komitetów narodowych natrafiało na trudności przede wszystkim, że tak powiem, wewnętrznego charakteru. Mało kto chciał podjąć się politycznie niejasnej i wprost niebezpiecznej roli objęcia przywództwa takich komitetów, gdy jeszcze istniała konieczność współpracy z Niemcami w tej czy innej formie. Sprawa ta dla Ukraińców wyglądała najbardziej niebezpiecznie, z drugiej strony jednak decydowała o politycznej konsolidacji i wspólnej odpowiedzialności. Przedstawicielstwa prawie wszystkich innych narodów — Białorusinów, Kozaków, Gruzinów, kaukaskich górali, Tatarów i Turkiestańczyków — zgłosiły gotowość tworzenia swoich narodowych komitetów w zależności od tego, kiedy i jak powstanie Narodowy Komitet Ukraiński. W imię historycznej prawdy trzeba stwierdzić, że początkowo Rząd UNR prowadził rozmowy z nacjonalistycznymi grupami, później zaś, gdy jedno z tych ugrupowań odcięło się od całej akcji, pertraktacje toczyły się między wybitnymi przedstawicielami ukraińskiego społeczeństwa i ostatecznie doprowadziły do ustalenia przewodniczącego Ukraińskiego Komitetu Narodowego i składu członków na naradzie w Weimarze, 12-14 marca 1945 roku. Skład Komitetu był następujący: Przewodniczący — generał Paweł Szandruk (stara emigracja), 1-szy zastępca przewodniczącego — profesor W. Kubijowicz (Hałyczyna), 2-gi zastępca — adwokat, dr O. Semenenko (nowa emigracja) i sekretarz — inżynier P. Tereszczenko.

Już w dniu 12 marca 1945 rząd niemiecki uznał UNK i wydał następujące listowne oświadczenie:

Minister Reichu, Alfred Rosenberg

Berlin, 12 marca 1945

Do pana generała Pawła Szandruka
Berlin-Scharlottenburg, Kant-Hotel

Aby w decydującym stadium wojny z bolszewizmem i w celu prawdziwie narodowego uporządkowania Europy, wszystkie antybolszewickie siły narodowe mogły stanąć do czynu uznaję w imieniu Rządu Niemiec, powołany przez Pana do życia wykonawczy organ ukraińskiego przedstawicielstwa narodowego, pod nazwą Ukraiński Komitet Narodowy.

Stwierdzam:

1. Że Ukraiński Komitet Narodowy jest uznany przez Rząd Rzeszy Niemieckiej za jedyne przedstawicielstwo ukraińskiego narodu.
2. Komitet Narodowy ma prawo do ustalenia swoich poglądów co do przyszłości Ukrainy, oraz głoszenia ich w odezwach i manifestach.

Po wyjaśnieniu wszelkich okoliczności dołożę starań, aby wszystkich Ukraińców, którzy znajdują się w składzie niemieckich sił zbrojnych zebrać razem w celu utworzenia Ukraińskiej Armii Wyzwoleńczej.

(—) podpisał *ROSENBERG*

Prawie jednocześnie uznano komitety innych, wymienionych powyżej narodów i nastąpiła wymiana ich przedstawicieli z Ukraińskim Komitetem Narodowym.

Pracy był ogrom, ale jej możliwości i wyniki zależały od tego, jakie warunki stworzą dla niej Niemcy. W sprawie naszego Komitetu, i wszystkich innych, większą rolę ze strony niemieckiej odegrali: prof. dr F. Arlt, prof. G. von Mende, generał F. Wechter, którzy z racji wciąż jeszcze istniejących w Niemczech „hitlerowskich okoliczności", musieli szukać oparcia o różne, antyhitlerowsko nastawione koła. Udało im się wciągnąć do akcji generała E. von Kestringa (dowódcę wszystkich nie-niemieckich formacji wojskowych), sekretarza stanu barona von Steengrachta (zastępca Ribbentropa), profesora W. Markerta, pułkownika G. Schparmanna, pułkownika G. von Herwarta (obecnie ambasador Niemiec Zachodnich w Londynie). Poza tym akcji tej udzielił swojej protekcji minister A. Rosenberg i generał G. Berger (zastępca Himmlera). Miałem możność odbycia z nimi konferencji. Ze strony przedstawicieli innych komitetów narodowych miałem zawsze całkowitą pomoc bez żadnych zastrzeżeń, zwłaszcza, gdy chodziło o zgłaszanie żądań pod adresem przedstawicieli niemieckiej władzy. A więc ze strony Gruzinów — Dr O.M. Kedji, Dr Kordzai, księcia Magałowa, Dr M. Ałczybai, generała O. Zacharjadze (którego znałem jeszcze z Polski); od Kozaków w osobach generała W. Głazkowa i generała O. Krasnowa (syna); od Białorusinów i ich prezydenta P. Astrawskiego; od Górali Kaukaskich a więc kabardyńskiego księcia Tamby i inżyniera B. Biczatti*) od Ormian — Dr Awegjana, i wielu innych.

Przede wszystkim trzeba było sprawić, aby wiadomość o powołaniu do życia Ukraińskiego Komitetu Narodowego dotarła do

*) Zdaje się, że chodzi o błąd drukarski. Najprawdopodobniej nie Biczatti, lecz Biło B i ł a t t i, Osetyn, wybitny działacz klubu „Prometeusz", przed wojną mieszkający w Warszawie. (Przypisek tłumacza).

wiadomości szerokich mas ukraińskiego społeczeństwa i żołnierzy, oraz wyjaśnić, jaką polityczną rolę ma i może odegrać, jakie stawia przed sobą zadania. Ze wszystkich terenów, które były jeszcze w rękach niemieckich, nadchodziły setki depesz i telefonów, zgłaszając całkowite podporządkowanie się Komitetowi. Deklarację Komitetu oraz odezwy do społeczeństwa i żołnierzy natychmiast nadano przez radio. Wydaje się, że będzie celowe, jeżeli przytoczę wyciągi z niektórych dokumentów ogłoszonych przez Ukraiński Komitet Narodowy.

DEKLARACJA UKRAIŃSKIEGO KOMITETU NARODOWEGO*

Pragnę podkreślić, że w deklaracji tej nigdzie nie ma ani jednej wzmianki o stosunkach Ukraińskiego Komitetu Narodowego z Niemcami, chociaż wymagała tego zwyczajna kurtuazja. Ale przy układaniu tekstu deklaracji, miałem na uwadze jedynie i wyłącznie ukraińskie interesy w bliższej i w historycznej perspektywie.

Co do stosunków z Rosyjskim Komitetem Narodowym, na którego czele stał generał A. Własow, sprawę tę dokładnie oświe-

---

* (Ze względu na brak tej Deklaracji w archiwach, podaję pełny jej tekst).

Ukraiński Komitet Narodowy powstał z woli społeczeństwa ukraińskiego, które znajduje się na terenie Niemiec i krajów złączonych z nimi sojuszem.

Utworzenie Ukraińskiego Komitetu Narodowego otwiera nową kartę w życiu ukraińskiego społeczeństwa, które, przeniknięte głęboką miłością Ojczyzny, dąży do uwolnienia jej spod władzy okupantów.

Dlatego też Ukraiński Komitet Narodowy przystępuje do utworzenia Ukraińskiej Armii Narodowej, która ma wznowić walkę o ukraińską państwowość.

W mundurach ukraińskich pod ukraińskim narodowym sztandarem, uświęconym wcześniejszymi walkami, pod ukraińskim dowództwem, Ukraińska Armia Narodowa znajdzie się pod ideologicznym i politycznym kierownictwem Ukraińskiego Komitetu Narodowego. Szeregi Ukraińskiej Armii Narodowej stworzone będą przede wszystkim z tych Ukraińców, którzy tworzą część niemieckich sił zbrojnych, oraz z innych, wojskowych i policyjnych formacji.

Długie lata przebywania między obcymi granicami, dzielącymi nasz kraj, wytworzyły różnice w dziedzinie zarówno ideologii jak działalności. Różnice te muszą zniknąć we wspólnym marszu do wspólnego celu. Ukraiński Komitet Narodowy pragnie przyspieszyć proces jednoczenia ducha ukraińskiego.

Prowadząc swoją działalność Ukraiński Komitet Narodowy będzie współpracować z komitetami innych narodów, zniewolonych przez bolszewików, które, tak jak my, walczą za swoją wolność i niezależność.

Ukraiński Komitet Narodowy zobowiązuje się wykonywać swoje zadania z największą korzyścią na rzecz interesów ukraińskiej społeczności.

Osiągniemy nasz cel, jeśli każdy Ukrainiec odda wszystkie siły dla wspólnej walki dla wspólnego zwycięstwa.

Na miejscu postoju, 17 marca 1945.

Podpisali: (—) Pawło Szandruk, Generał-Por.; (—) prof. Dr W. Kubijowicz; (—) Dr Ołeksander Semenenko; (—) inżynier Petro Tereszczenko.

tliłem w moich wspomnieniach „Arms of Valor" i w szeregu artykułów, między innymi w „Rozbudowie Państwa", nr 3/14 z roku 1954.

Niemcy wyraźnie naciskali, abyśmy porozumieli się z generałem Własowem. Również i nasze koła partyjne, przygotowując projekty memoriału do Niemców o Ukraińskim Komitecie Narodowym, uważały za możliwe w tych projektach, jakie zachowałem, stwierdzić konieczność współpracy z generałem A. Własowem. Zignorowałem te postulaty w całości i w ostatecznej redakcji memoriału nawet nie wspomniałem o K.O.N.R. (Komitet Oswobodzenia Narodów Rosji), ani o generale Własowie, sprowadzając całe zagadnienie do „Rosyjskiego Komitetu Narodowego", z którym „możemy współpracować jak równy z równym".

ROZKAZ DO WOJSKA I FLOTY UKRAIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ

Nr 8
15 marca 1945
Artykuł 1

Niniejszym mianuje się Generała-Porucznika, Pawła Szandruka, Dowódcą Ukraińskiej Armii Narodowej, od dnia 15 marca 1945.

Podpisali: (—) Andrij Liwyćkyj, Naczelny Ataman; (—) M. Sadowśkyj p.o. Ministra Spraw Wojskowych; (—) Nosaczenko, podpułkownik.

UCHWAŁA NR 2 PREZYDIUM UKN

Prezydium UKN, w pełnym składzie, na posiedzeniu w dniu 17 kwietnia 1945 mianował Generała-Porucznika, Pawła Szandruka, Dowódcą Ukraińskiej Armii Narodowej.

Na miejscu postoju, 18 marca 1945.

Za prezydium UKN: (—) Prof. Dr W. Kubijowicz; Dr O. Semenenko; (—) Inż. P. Tereszczenko.

8 kwietnia 1945 w organie prasowym UKN „Głos — Wiadomości Ukraińskie", Nr 20/226, ukazała się odezwa UKN do ukraińskiego społeczeństwa oraz odezwa Dowódcy Ukraińskiej Armii Narodowej do żołnierzy ukraińskich. Tekst obydwu odezw podaję poniżej w wyciągach.

ODEZWA UKN DO UKRAIŃSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA

W ciągu tysiąclecia istnienia swego polityczno-państwowego bytu naród ukraiński zawsze wyjawiał niezłomną wolę i ducha poświęcenia w obronie swojej Ojczyzny-Ukrainy i w dążeniu do utworzenia państwowej niezależności. Jednocześnie twórczy geniusz narodu ukraińskiego potrafił wznieść swoje państwo na najwyższy poziom międzynarodowych wartości pod względem politycznym, kulturalnym i społecznym, stając się niekiedy wzorem dla innych narodów. Tak było w książęcej dobie, jak również za czasów naszych sławnych hetmanów, Bohdana, Doroszenki, Mazepy...

W nowszych czasach naród ukraiński ponownie niewzruszenie wyjawił swoją wolę odnowienia życia polityczno-państwowego. W ciągu czterech lat nasi ojcowie i bracia walczyli za swoją i naszą wolność. Przemogła nas podstępna obiecanka wroga stworzenia nowego narodowego i społecznego ładu na naszych ziemiach i w jego kraju. Część ukraińskiego narodu, zmęczona wojną światową i walkami wyzwoleńczymi uwierzyła tej obietnicy. Do zwycięstwa wroga przyczynił się również brak zasobów technicznych i materialnych, niezbędnych dla prowadzenia wojny...

Okrutna była gospodarka wroga na naszej ziemi. Najlepsi synowie Ukrainy, ukraińskiego narodu rychło przekonali się, co wróg przyniósł ze sobą na Ukrainę. Przyniósł kołchoźniczą pańszczyznę włościanom, niewolę robotnikom, lochy czerezwyczajek, Sołowki i Sybir ukraińskiej inteligencji... I gdy ostatnio zaczęła się nowa wojna światowa, bolszewicy w pierwszych szeregach wysyłali na śmierć właśnie Ukraińców, by za nich ginęli, aby nas zniszczyć, aby pozbyć się tych, którzy nie chcą podporządkować się ich woli... Miliony Ukraińców powinny pamiętać, że powrót do rodzinnego kraju jest możliwy jedynie z bronią w ręku, że z własnej woli wróg z naszej ziemi nie ustąpi... W tej wspólnej walce z wdzięcznością przyjmujemy niemiecką pomoc na warunkach, wynikających z zasady wzajemnego poszanowania godności narodowej i uznania niepodległości państwa ukraińskiego...

Ukraiński Komitet Narodowy uważa za zasadnicze zadanie któremu powinny być podporządkowane wszystkie interesy, zarówno zbiorowe, jak osobiste, utworzenie Ukraińskiej Armii Narodowej, oraz współpracę ze wszystkimi czynnikami politycznymi i narodowymi, które już prowadzą walkę z Czerwonymi...

W warunkach, stworzonych przez toczącą się wojnę, realizacja tego najważniejszego zadania może stworzyć podstawy pod prace prawowitego rządu Ukrainy nad rozstrzygnięciem następujących zagadnień:

Utrzymanie państwowego ładu i organizacja wszystkich aspektów życia społecznego;

przywrócenie wszystkim warstwom narodu należnego mu prawa własności;

wszechstronny rozwój kultury narodowej;

zabezpieczenie pełnego równouprawnienia;

zabezpieczenie utrzymania na starość;

zabezpieczenie swobody religii, słowa, druku i zebrań publicznych;

zniesienie raz na zawsze sztucznego podziału Ukrainy, stworzonego przez jej rozbiór między sąsiadami;

ustalenie dobrych, sąsiedzkich stosunków z wszystkimi narodami, które uszanują naszą niepodległość państwową...

Ukraiński Komitet Narodowy zdaje sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaką wziął na siebie... wie, że możliwości rozwinięcia jego działalności są bardzo ograniczone.. w waszych rękach spoczywa możliwość utworzenia i uzbrojenia Ukraińskiej Armii Narodowej... Żołnierze ukraińscy! Wasz dowódca, generał Pawło Szandruk, zwraca się do was z osobną odezwą... jego rozkazy dla was są rozkazami Ukraińskiego Komitetu Narodowego... Niech żyje Ukraińskie Niepodległe, Zjednoczone Państwo Narodowe!

Podpisali: Pawło Szandruk, Generał-Porucznik, Prof. Dr W. Kubijowycz, Dr Ołeksander Semenko, Inż. Petro Tereszczenko.

Żołnierze Ukraińcy!

Oddaliście już wszystko, co najdroższego człowiek może oddać na walkę z wrogiem — rodzinę, majątek, własny dom, własne życie...

Ukraińska Armia Narodowa, o czym wiecie już z Deklaracji Ukraińskiego Komitetu Narodowego, ma przed sobą jedno tylko zadanie — walkę o

Naród, o własne suwerenne państwo. Czerwony wróg niesie śmierć i zniszczenie. Chodzi mu o zgubę przede wszystkim tych, co nie ugięli przed nim karku, bo grożą mu mocą swego ducha i swojej wiary w zwycięstwo...

Na oczach całego świata musimy wykazać naszą karność polityczną i wojskową, być gotowi każdej chwili złożyć w ofierze życie, krew, majątek... Wzywam was do walki i zwycięstwa!

(—) Pawło Szandruk, Generał-Porucznik

Jak wynika z tekstu zacytowanych dokumentów, w żadnym z nich nie ma nawet najmniejszej wzmianki o jakichkolwiek zobowiązaniach wobec Niemiec, a nawet o współpracy wojskowej chociaż w praktyce rozumiało się to samo przez się, bo skąd moglibyśmy otrzymać broń i cały niezbędny sprzęt? Z dokumentów tych również widać, że Ukraiński Komitet Narodowy stwierdzał konieczność walki z wszystkimi okupantami Ukrainy.

Pozostaje jeszcze konieczność złożenia następujących wyjaśnień:

1. Organizowanie zbrojnych sił — jeśli mają one być instrumentem walki w skali państwowej, a nie zamieniać się w „machnowszczyznę" — musi zająć się jakiś wyższy czynnik wojskowy, a nie dowódca „sotni", czy nawet dywizji; czynnik ten rozpoczyna swoją pracę od wyznaczenia dowódcy i oddaje do jego dyspozycji niezbędne środki i zasoby;

2. W naszym wypadku organizowaniem większych czy mniejszych oddziałów ukraińskich, już istniejących w składzie niemieckich sił zbrojnych i łączeniem ich w ogólną formację nie zajmował się ani generał Freitag, ani generał Wechter; organizacją Dywizji „Hałyczyna" zajmował się Zarząd Wojskowy; organizowaniem UWW (Ukraińskie Wojsko Wyzwoleńcze), pułków rezerwowych, oddziałów przeciwlotniczych i ukraińskiej żandarmerii, zanim powstał Ukraiński Komitet Narodowy i sztab Ukraińskiej Armii Narodowej, zajmował się, oczywiście, jakiś wyższy niemiecki czynnik wojskowy. Celem i zadaniem dowództwa Ukraińskiej Armii Narodowej było połączenie tych wszystkich oddziałów w jedną całość z nowotworzonymi formacjami.

3. Aby zlikwidować polityczne niewłaściwą i szkodliwą zależność tych oddziałów, a przede wszystkim dywizji „Hałyczyna", od SS i niemieckiego dowództwa, zachodziła konieczność stworzenia Ukraińskiej Armii Narodowej; chodziło o to, żeby odpowiedzialność polityczną wziął na siebie jakiś nadrzędny czynnik, żeby nie spadała ona bezpośrednio na żołnierzy. Gdyby nie powstała Ukraińska Armia Narodowa, dywizja halicka w całości a także inne formacje złożone z Ukraińców (raz jeszcze podkreślam — z zaciągu ochotniczego albo przymusowego) byłyby po prostu częścią składową niemieckich sił zbrojnych. W ówczesnych politycznych i wojskowych warunkach Armia znajdowała się w sojuszu z Niemcami dla walki z wrogiem za własne i obce interesy, ci więc, którzy przejmowali na siebie odpowiedzialność, wiedzieli dobrze, iż mogą oczekiwać naj-

gorszych dla siebie konsekwencji. Jednak tę odpowiedzialność trzeba była na siebie wziąć, gdyż z chwilą okupacji Hałyczyny przez bolszewików, przestawał istnieć zarówno UCK jak Zarząd Wojskowy.

4. Z oświadczenia rządu niemieckiego wynika, że minister Rosenberg rozumiał konieczność połączenia w jedną „Ukraińską armię wyzwoleńczą" wszystkich formacji, a nawet poszczególnych żołnierzy; rozumiał, — może nawet w sprzeczności z interesem Niemiec — że Ukraińska Armia Narodowa musiała powstać. Niestety, tego po dziś dzień, pomimo tylu publikacji na ten temat, ten i ów nie jest w stanie zrozumieć. Z rozkazów Naczelnego Atamana i Ministra Spraw Wojskowych również wynika, że widzieli konieczność powołania do życia Ukraińskiej Armii Narodowej; nie inaczej — Prezydium Ukraińskiego Komitetu Narodowego — patrz „Deklarację" i punkt 2 „Uchwały".

Dla lepszego zrozumienia zagadnienia organizacji wojska można by powołać się na pierwszy lepszy przykład organizacji fabryki, lub jakiegoś innego przedsiębiorstwa. Gdy ktoś zamierza założyć fabrykę, to albo działa sam, jeśli jest fachowcem w danej dziedzinie, albo zaprasza fachowca, który razem z architektem ustala plan budowy. Dopiero po jej ukończeniu rekrutuje się robotników, nie ma natomiast zwyczaju najpierw zbierać robotników a dopiero potem budować fabrykę. Tworzenie wojska jest więc chyba zadaniem o wiele bardziej skomplikowanym, niż budowa fabryki, gdyż w wojsku ma się do czynienia z żywymi ludźmi, ich psychicznymi zainteresowaniami, ich fizycznymi potrzebami i możliwościami.

Natychmiast po opublikowaniu Deklaracji i Odezwy rozpoczęło się formowanie 2 Dywizji Ukraińskiej (początkowo pod nazwą Brygady Przeciwpancernej), na dowódcę której wyznaczyłem generała P. Djaczenkę (ówcześnie jeszcze pułkownika). Formowanie Dywizji zakończono w ciągu wyjątkowo krótkiego okresu czasu, gdyż szeregi uzupełniono żołnierzami ukraińskimi spośród jeńców sowieckich, których Niemcy używali w Berlinie i okolicach do akcji przeciwpożarowej; wojskowo byli już wyszkoleni. Dywizja formowała się w miejscowości Nimek pod Berlinem i miała do swojej dyspozycji doskonale opatrzone baraki. W skład dywizji, z uwagi na jej specjalne przeznaczenie, wchodziły trzy „k u r e n i e", ogółem około 1900 żołnierzy. Idąc za tendencją całkowitego odseparowania dywizji pod względem politycznym i administracyjnym od niemieckich sił zbrojnych, 28 marca odbyła się przysięga na wierność Ukraińskiemu narodowi i państwu, przeprowadzona przez księdza prałata Bileckiego. Niełatwo było postawić Niemców przed faktem dokonanym o takiej wymowie. Była to pierwsza ukraińska formacja w obcym kraju, która składała przysięgę pod ukraińskim narodowym sztandarem (patrz moją książkę „Arms of Valor", str. 226-248).

W międzyczasie, razem z Dr Arltem, złożyłem wizytę u dowódcy Środkowej Grupy Niemieckich Armii w Czechach, feld-

marszałkowi von Schernerowi, i poprosiłem go o przyjęcie Dywizji w skład jego ugrupowania i w miarę możności nie wprowadzania jej do walki aż do chwili, gdy oswoi się z warunkami frontowymi i zostanie dostatecznie dozbrojona. Feldmarszałek zgodził się, wyznaczył odpowiedni rejon na tyłach do zakwaterowania dywizji i przydzielił ją do pancernego korpusu generała hrabiego von Strachwitza, który na moją prośbę podczas kolejnej wizyty zadbał o zabezpieczenie dywizji i potraktował ją we właściwy sposób. Generałowi Djaczence poleciłem, aby za wszelką cenę unikał wprowadzenia dywizji do walki, aż do otrzymania ode mnie dalszych instrukcji. 11 kwietnia Dywizja została przetransportowana do wyznaczonego miejsca postoju.

W ciągu dziesięciu dni (od 24 marca do 5 kwietnia) sformowana została Brygada do Specjalnych Zadań (spadochronowa), z tego samego kontyngentu sowieckich żołnierzy Ukraińców, wziętych do niewoli; na jej dowódcę wyznaczyłem atamana Bulbę-Borowcia. Brygada składała się z dwóch „kureni", razem około czterystu ludzi. Także i ten oddział przetransportowano do Czech. Miała tam uzupełnić swoje wyszkolenie, przewidywano jednak możliwość użycia jej jako formacji piechoty.

Do Ukraińskiej Armii Narodowej zgłosiła się Brygada Wolnych Kozaków w liczbie około 350 żołnierzy, pod dowództwem pułkownika Tereszczenko.

Telefonicznie zgłosił swój akces i całkowicie podporządkował mi się pułkownik F. Hudyma, dowódca 281-ej Brygady Rezerwowej, która stała załogami w różnych miastach Danii, w sile około pięciu tysięcy żołnierzy. Pułkownik Hudyma prosił o spowodowanie niezwłocznego przeniesienia Brygady do rejonu, w którym formowała się Ukraińska Armia Narodowa.

Również zgłosiły się dwa pułki stacjonowane w Belgii i Holandii, razem około tysiąca żołnierzy, w służbie wartowniczej.

Osobiście odwiedziłem kilka zgrupowań obrony przeciwlotniczej w rejonie Berlina, zawiadamiając, że odtąd grupy te należą do Ukraińskiej Armii Narodowej. W bateriach przeciwlotniczych znajdowało się około 250 naszych chłopców i dziewcząt. Rękopis pracy profesora Białostockiego o tych bateriach przesłałem do redakcji czasopisma „Ameryka".

Z różnych miejscowości Niemiec zgłaszały się oddziały żandarmerii.

Nosiłem się z zamiarem, żeby — jeśli czas i warunki na to pozwolą — skoncentrować wszystkie formacje Ukraińskiej Armii Narodowej w Austrii, gdzieś w pobliżu frontu, którego odcinek trzymała Dywizja „Hałyczyna".

Według kalkulacji przeprowadzonej przez generała Kestringa, w składzie niemieckich sił zbrojnych znajdowało się około dwustu dwudziestu tysięcy żołnierzy ukraińskiej narodowości, którzy formalnie, chociaż nie faktycznie, mieli wejść do Ukraińskiej Armii Narodowej.

◆

7 kwietnia, kiedy bolszewicy opanowali już wschodnie przedmieścia Berlina, wyjechałem, wraz z Dr Arltem przez Pragę do Dywizji, która trzymała front w Austrii, w rejonie Feldbachu.

W Pradze odbyłem rozmowy z profesorem Smal-Stockim; dzięki jego zakonspirowanym kontaktom, udało się zawiadomić dowództwo sojusznicze o istnieniu Ukraińskiego Komitetu Narodowego i Ukraińskiej Armii Narodowej. Po kapitulacji Niemiec, gdy decydował się los Dywizji i trzeba było szukać kontaktów z dowódcami zbliżających się dywizji angielskich, okazało się, że zabiegi profesora Smal-Stockiego były potrzebne i celowe.

18 kwietnia, po wielce uciążliwej podróży przez Alpy, dobrnąłem do miejscowości Felkenmarkt, gdzie stał nasz pułk rezerwowy. Pierwszym spotkanym był sotnik, Dr M. Małeckyj, który wielce się zdziwił, gdy ujrzał generała z odmiennymi niż dotychczas szlifami, z ukraińskim t r y z u b e m na czapce i na rękawie. Wiedział już z niemieckiego radia o powstaniu Ukraińskiego Komitetu Narodowego, ale widać było, że to spotkanie stało się dla niego wielką niespodzianką. Dr Małeckyj, a następnie sotnik inż. Liszczynskyj i major Dr Makaruszka — to byli pierwsi oficerowie Dywizji, którzy poinformowali mnie o jej moralnym i materialnym stanie i o taktycznej sytuacji.

Dokładnie o moich kontaktach z Dywizją i o staraniach, aby ją oderwać od SS, napisałem w moich wspomnieniach pod tytułem „Arms of Valor". Tu pragnę jedynie podkreślić, że między innymi chodziło o przemianowanie — drogą odpowiedniego rozkazu — Dywizji na 1-ą Ukraińską Dywizję, zaprzysiężenie jej na wierność Ukraińskiemu Narodowi i Państwu, oraz przeprowadzenie mego polecenia tj. usunięcia z mundurów odznak SS i nałożenie na czapki odznak z tryzubem. Około czterech tysięcy tych odznak udało mi się zamówić podczas mego pobytu w Pradze i przywieźć ze sobą do Dywizji. Dla kogo zabrakło odznaki, zakładał wstążeczki o barwach narodowych. Nie należy zapominać, że żołnierze Dywizji mieli na rękawach symbol Ziemi Halickiej — złotego lwa na błękitnym tle.

Raz jeszcze pragnę podkreślić, że w celu zewnętrznego — że tak powiem — unarodowienia Dywizji, poza zaprzysiężeniem, powzięto szereg decyzji, jak na przykład, oficjalne podporządkowanie formacji memu dowództwu, oficjalne (w rozkazie nr 71 z dnia 27 kwietnia 1945) oświadczenie, że w razie kapitulacji Niemiec Dywizja przejdzie na teren zajęty przez zachodnich sojuszników, oraz przegląd przeze mnie osobiście bojowych stanowisk. Ponadto nad moją kwaterą przy Dywizji powiewał nasz sztandar narodowy. Wewnętrznego „unarodowienia" Dywizja, rzecz oczywista, nie potrzebowała. Również miałem zamiar dokonać zmiany na stanowisku dowódcy Dywizji i w tym celu przyjechał ze mną generał Krat, ale już po przyjeździe stało się jasne, że rozporządzenia tego rodzaju, na krótko przed kapitulacją, mogłoby okazać się niewłaściwe, ze względu na możliwość zignorowania nowego dowódcy przez techniczny personel niemieckiej intendentury.

Sztab Dywizji znajdował się w Felkermarkcie, gdzie stał pułk rezerwowy. Po odwiedzeniu odcinka frontu, zajmowanego przez Dywizję, powróciłem do Felkermarktu, do mojej stałej kwatery.

Rankiem 7-go maja wpadł do mnie generał Wechter i oznajmił mi, że radio podało wiadomość, iż 9 maja o godzinie 0.01 Niemcy skapitulują, i dodał: „Teraz, panie generale, jest pan najważniejszą osobą, jeśli chodzi o ratowanie Dywizji i nas wszystkich, którzy tu z panem jesteśmy".

Natychmiast wyjechałem do Dywizji i wydałem rozkaz generałowi Freitagowi zejścia dywizji z frontu najpóźniej o świcie 8 maja. Tak się też stało. My wszyscy, ja, Dr Arlt, generał Wechter, major Leweniec, major Dr Makaruszka, generał Freitag i mój adiutant, porucznik R. Cijołko — wyruszyliśmy parę godzin później. Jechaliśmy pomiędzy kolumnami piechurów i przekroczyliśmy rzekę Mur w okolicach Leoben, zaś, następnego dnia ruszyliśmy w kierunku na Judenburg.

Pułk rezerwowy, przy którym znajdował się sztab Armii z generałem M. Kratem na czele, szedł w tym czasie drogą na Judenburg. Podczas marszu bolszewicy zrobili wypad od strony Brucku lekkimi czołgami i rozdzielili Dywizję na dwie części — jedna, większa, poszła przez Sen-Veit na Willach i tam została internowana przez Anglików, druga zaś, w której znajdowałem się wraz z wymienionymi osobami, poszła na Tamsweg i tam z kolei została internowana przez Amerykanów. Z uwagi na to, że atak bolszewicki nastąpił w górskim i zalesionym terenie, straty w ludziach były minimalne; według moich wiadomości zginęło dwóch żołnierzy, a jedenastu odniosło rany, ale straciliśmy tabory i wszystkie konie.

Nie chcę powtarzać tego, co już dawniej pisałem o dalszym rozwoju wydarzeń, więc tych, którzy się tymi sprawami interesują, znowu odsyłam do „Ams of Valor", str. 279-309.

Nieco później, po rozlicznych i niezwykłych przygodach, przyjechaliśmy do Monachium i tam, dzięki pomocy Apostolskiego Wizytatora na Niemcy, ks. Wojakowskiego, udało się nam przesłać list do Arcybiskupa Iwana Buczki, który przebywał w Rzymie, z prośbą o zaopiekowanie się Dywizją, znajdującą się już w angielskim obozie dla internowanych w Rimini. Tę grupę osób, która została w Tamsweg, przeniesiono z czasem do innego obozu; zaopiekowała się nią medyczno-charytatywna organizacja majora Dr Worobca. Moja próba przedostania się do Rimini zakończyła się ponownym internowaniem w angielskim obozie Agatenhof koło Klagenfurtu; wraz ze mną internowano panią I. Ławriwską, która była tłumaczką, księdza Lewencia i szofera T. Kosowycza.

◆

Omówiłem już zewnętrzne warunki polityczne, które wymagały — według zgodnego poglądu zarówno mojego, jak wszystkich wybitniejszych przedstawicieli społeczeństwa i wszystkich

żołnierzy Dywizji — przemianowania Dywizji na 1 Dywizję Ukraińską. Ale były także inne powody, natury bardziej wewnętrznej, które podyktowały tę decyzję: nazwa „Dywizja Hałyczyna" stanowiła świadectwo pewnego prowincjonalizmu, z czym nie godziło się moje ideologiczno-polityczne nastawienie. Wydawało mi się, że żołnierze Dywizji, których w pierwszej mierze dotyczyła ta sprawa, przyjęli nową nazwę z należnym zrozumieniem; bardzo dobrze stronę psychologiczną owej chwili naświetlił Oleh Łysiak w swojej książce pod tytułem „Za strzelecki obyczaj".

Należy podkreślić, że chociaż żołnierze Dywizji doskonale zdawali sobie sprawę, jak skończy się wojna i lękali się dalszych losów, to jednak nie było żadnych nastrojów psychozy i rezygnacji — na ogół zachowali oni aż do końca dobrego ducha, zaufanie do dowództwa i rzetelnie wykonywali rozkazy. Natomiast niemieccy wojskowi, wchodzący w skład Dywizji (11 procent), owładnięci zostali panikarskim nastrojem — dowódca popełnił samobójstwo, zaś inni oficerowie i podoficerowie po prostu zdezertowali do czysto niemieckich formacji (ten i ów obawiał się zasłużonego rewanżu ze strony naszych żołnierzy). Natomiast szef sztabu Dywizji, major W. Heike, oświadczył mi w drodze służbowej, że odchodzi do pierwszej napotkanej formacji Wehrmachtu (był oficerem Wehrmachtu, przydzielonym do Dywizji).

Także podkreślam, że inne oddziały Ukraińskiej Armii Narodowej zachowały aż do końca swoją żołnierską godność, nikt nie porzucił szeregów aż do otrzymania zawiadomienia przez łączników, że każdemu wolno szukać wyjścia z sytuacji na własną rękę, gdyż nie było żadnych innych możliwości.

Gdy więc obecnie ten i ów „doradza", żeby powrócić do „tradycyjnej nazwy Dywizji SS „Hałaczyna", widzę w tym tendencję do ponownego rozkopywania Zbrucza, który został zasypany aktem państwowym z dnia 22 stycznia 1919 roku. Prowadząc skromną ale dobrze przemyślaną działalność, jako przewodniczący Ukraińskiego Komitetu Narodowego i Dowódca Ukraińskiej Armii Narodowej, starałem się w ówczesnej beznadziejnej sytuacji „zasypywać Zbrucz" i nie dbałem o ryzyko związane z moją akcją. Otóż, sądzę, że sami żołnierze Dywizji, zjednoczeni w Bractwie żołnierzy 1-ej Dywizji Ukraińskiej, najlepiej wiedzą, jaka nazwa im odpowiada. Aby rzecz lepiej wyjaśnić, warto zadać pytanie: jak ustosunkowaliby się do nas Anglicy i czy nie zechcieliby potraktować „14 Dywizji broni SS" tak samo, jak potraktowali kozacki SS Korpus generała von Pannwitza?

A co do obcych, choć zza sąsiedniej miedzy, demagogów, zgłaszam pod ich adresem żądanie: złóżcie wiarygodne, udokumentowane świadectwa, że żołnierze 1-szej Dywizji, czy też jak uparcie twierdzą, „Dywizji SS Hałaczyna", brali udział w tłumieniu przeciwniemieckiego powstania w Warszawie.

◆

W poczuciu pełnej odpowiedzialności za moje słowa i aby skończyć ze sprawą 1-ej Dywizji Ukraińskiej i wszystkich innych formacji Ukraińskiej Armii Narodowej, stwierdzam, co następuje:

1) Wersja jakoby Dywizja, względnie poszczególni żołnierze Dywizji brali udział w walkach przeciw sojusznikom, a w szczególności przeciw Polsce, jest zwyczajnym kłamstwem, rzuconym w interesie czynników, wrogo nastawionych zarówno do nas jak do Polaków;

2) 2-ga Dywizja Ukraińska została sformowana w drugiej połowie marca i na początku kwietnia 1945;

3) Wszystkie inne formacje Ukraińskiej Armii Narodowej znajdowały się na terenie Austrii, Danii, Belgii, Holandii, i Niemiec, w służbie wartowniczej lub przeciwpożarowej;

4) Brygada Specjalnego Przeznaczenia sformowana została w Berlinie i przeniesiona do Czech;

5) Niestety, są jeszcze osoby, które uważają, że Ukraińska Armia Narodowa nie istniała, a ja byłem dowódcą 1-ej Dywizji Ukraińskiej;

Sensacyjne wiadomości należy opierać na rzeczywistych danych, a nie na kłamstwie, ani na ignorancji.

Luty 1965 *Paweł SZANDRUK*

Przełożył z ukraińskiego
Józef Łobodowski

Pamiętniki gen. Szandruka

Przed sześciu laty ukazała się w Nowym Jorku książka, która pozostała niezauważona przez czasopisma polskie na emigracji, choć z wielu względów warta jest ona odnotowania*. Są to pamiętniki ukraińskiego generała, a byłego oficera Wojsk Polskich, Pawła Szandruka. Obejmują one okres obu wojen światowych, oraz wojnę polsko-rosyjską roku 1920; zarówno w tej ostatniej jak i w kampanii wrześniowej autor walczył ramię w ramię z żołnierzem polskim.

Generał Paweł Szandruk był bliskim współpracownikiem Głównego Atamana Petlury i pod jego rozkazami wziął udział w

* Pavlo Shandruk, *Arms of Valor*. With an introduction by Roman Smal-Stocki, Ph. D. Translated by Roman Oleśnicki, Robert Speller & Sons, New York, 1959, stron 320 i XIV, 26 map i ilustracji.

wyprawie na Kijów i w bitwie warszawskiej. Po traktacie ryskim służył w armii polskiej jako jeden z ukraińskich oficerów kontraktowych. W tym charakterze w stopniu podpułkownika dyplomowanego był m.in. komendantem tajnej ukraińskiej komórki sztabowej przy Wojskowym Biurze Historycznym, kierowanej przez Gen. Juliana Stachiewicza. Zadaniem tej komórki było przygotowywanie ewentualnej odbudowy ukraińskich sił zbrojnych w oparciu o Polskę. W roku 1939, w czasie kampanii wrześniowej, Szandruk był szefem sztabu 29 Brygady Piechoty, zwanej też Grupą Pułkownika Bratry. Wobec zasłabnięcia dowódcy w walkach pod Zamościem w dniach 20-29 września, ppłk. Szandruk faktycznie dowodził Brygadą i odznaczył się tam odwagą i energią, jak dowodzą tego liczne świadectwa jego polskich kolegów.

W niewoli niemieckiej zachorował ciężko i jako inwalida, wraz z innymi oficerami polskimi w podobnej sytuacji, był wypuszczony z obozu jeńców do domu w Skierniewicach. Wkrótce jednak, na skutek denuncjacji agenta OGPU, został aresztowany przez Gestapo pod zarzutem organizowania sabotażu; były to czasy bliskiej współpracy niemiecko-sowieckiej. Trzymany przez czas dłuższy w piwnicach Gestapo w Warszawie, Paweł Szandruk uniknął jednak wykonania wyroku śmierci na skutek interwencji politycznych organizacji ukraińskich. W latach 1941-1944 Szandruk wielokrotnie otrzymywał, zarówno od władz niemieckich jak i od swych przyjaciół ukraińskich, propozycje objęcia rozmaitych stanowisk w Ukraińskiej Narodowej Armii, m.in. dowództwa dywizji. Wszystkie te propozycje zostały przezeń konsekwentnie odrzucone. Przez cały ten czas był on pod ścisłym dozorem policyjnym.

Postawa Szandruka uległa zmianie w styczniu roku 1945. Wówczas nie było już wątpliwości, że Trzecia Rzesza wali się w gruzy, a Europa Wschodnia wydana będzie na łup Rosji Sowieckiej. Szandruk zdecydował wówczas, że jednym z najważniejszych zadań jego, jako Ukraińca-patrioty, jest ratować co się da z narodowej substancji. Podjął więc rokowania z Niemcami o stworzenie Ukraińskiej Armii Narodowej „Hałyczyna".

Tutaj warto powiedzieć parę słów wyjaśnienia o dywizji. „Hałyczyna" stworzona została przez Niemców w końcu 1943 roku po Stalingradzie i El Alamein. Był to jeden z rozpaczliwych gestów, przy pomocy których Hitler próbował ratować się od ostatecznej katastrofy. Rosyjska armia Gen. Własowa była innym przykładem tej spóźnionej polityki. Formalnie była to dywizja ochotnicza, powstała z młodzieży ukraińskiej z Małopolski Wschodniej, stąd nazwa formacji. W gruncie rzeczy jednak powstała ona w drodze zwalniania przez Niemców Ukraińców wywiezionych na roboty przymusowe, osadzonych w więzieniach, lub też zagrożonych tymi represjami. Kadry dywizji powstały z inicjatywy aktywistów ukraińskich, którzy wzorując się na tradycji Legionu Ukraińskiego, z pierwszej wojny światowej chcieli mieć

do swej dyspozycji zalążek narodowych sił zbrojnych na wypadek spodziewanego wykrwawienia się i załamania obu wrogów. Dla całości obrazu należy dodać, że jednocześnie z Ukraińską Armią Narodową zaczęła się tworzyć Ukraińska Powstańcza Armia, która nie tylko odrzuciła ideę czasowej nawet współpracy z Niemcami, lecz rozpoczęła od razu bezkompromisową walkę na dwa fronty, przeciw Niemcom i przeciw bolszewikom.

Trzeba też pamiętać, że Niemcy nawet w rozpaczliwej sytuacji u schyłku 1943 i lat 1944/45 nie zdobyli się na wspaniałomyślność wobec swych przymusowych sojuszników. Ukraina była nadal łupiona przez hitlerowskich wielkorządców, a ludność jej męczona i dręczona niemal na równi z Polakami. Małopolska Wschodnia, jako część Generalnego Gubernatorstwa, dzieliła jego tragiczne losy. Oddziały Ukraińskiej Armii Narodowej, utworzone w zasadzie dla walki przeciwko Rosji, były traktowane przez Niemców wyniośle i brutalnie. Plotki, że U.A.N. brała udział w tłumieniu Powstania Warszawskiego są nieścisłe. U.A.N. powstała 17 marca 1945. W Warszawie byli wtedy bolszewicy.

Trzeba tu dodać, że Generał Szandruk postawił szereg warunków jeśli idzie o objęcie dowództwa U.A.N. Żądał on zebrania wszystkich Ukraińców rozsianych po armii niemieckiej w jedną armię narodową, wypuszczenia z obozów pracy Ukraińców wywiezionych do Niemiec, ukrainizację dowództwa poszczególnych jednostek, przysięgę na służbę Ukrainie oraz deklarację polityczną w sprawie ukraińskiej. Po około miesiącu wahania, pod koniec lutego 1945 roku, warunki zostały przyjęte. Tak więc objęcie przez Szandruka dowództwa U.A.N. na niespełna trzy miesiące przed ostatecznym rozgromem Niemiec miało zdecydowanie charakter ratowniczy. Po kapitulacji Niemiec dywizja została internowana przez Anglików. Wkrótce potem do obozów jenieckich, w których osadzeni byli żołnierze dywizji, przybyło szereg międzyalianckich komisji dla badania zbrodni wojennych. Była tam też i komisja z Londynu, wysłana przez Dowództwo Polskich Sił Zbrojnych. Po szczegółowych badaniach i przesłuchiwaniach dochodzenia zostały umorzone z braku dowodów[1].

Pomimo nieszczególnego tłumaczenia, wyraźnego braku dozoru edytorskiego i luk (dotyczy to przede wszystkim okresu 1920, chyba zbyt gorliwie ocenzurowanego) pamiętniki Gen. Szandruka są cennym dokumentem dla każdego badacza dziejów współczesnych Europy Wschodniej. Zwłaszcza cenne są dla czytelnika polskiego: niewiele mamy przykładów dwukrotnego polsko-ukraińskiego braterstwa broni na wysokim szczeblu. Zachowanie się Gen. Szandruka nie tylko w czasie kampanii wrześniowej, ale przez cały okres ostatniej wojny jest dowodem nie lada hartu ducha, a jednocześnie rozsądku politycznego. Połączenie

1 Dzieje niektórych oddziałów „Hałyczyny" zostały barwnie opisane przez jednego z jej żołnierzy, Oleha Łysiaka, w formie wspomnienia-powieści pt. *Za strilećkij zwiczaj*, Wydawnictwo Związku Żołnierzy 1 Ukraińskiej Dywizji „Hałyczyna", Monachium, 1953.

dosyć rzadkie: walczył, gdy było można i trzeba, trzymał się z dala od poczynań kompromitujących i zbyt ryzykownych, ratował to, co należało ratować: zagrożoną substancję narodową.

Między Polakami a Ukraińcami jest ciągle wiele spraw bolesnych i spornych. Ale są też sprawy, które powinny być pewnikami dla ludzi myślących, nie odruchami uczuciowymi ale długofalowymi kategoriami politycznymi: do tych należy przesłanka, że istnieje niewątpliwa wspólnota losów między obu narodami a zagrożenie bytu jednego z nich stanowi śmiertelne niebezpieczeństwo dla drugiego. Generał Szandruk jest przykładem, że wśród Ukraińców są ludzie, którzy aksjomat ten rozumieją.

M. K. DZIEWANOWSKI

Za co gen. Szandruk dostał Virtuti Militari

Z resztek rozbitej na zachód od Wisły 29 D.P. oraz z innych luźnych oddziałów żołnierzy, w dniach 16-19 września 1939 utworzona została w rejonie Rejowca 29 Brygada Piechoty, nazywana również Grupa płk. Bratry. Szefem sztabu tej Brygady mianowany został oficer kontraktowy, Ukrainiec, ppłk. dypl. Paweł Szandruk.

W dniach 20-29 września 29 Brygada brała udział w walkach w rejonie Zamościa, najpierw samodzielnie a później w składzie Grupy Operacyjnej gen. Przedrzymirskiego.

W czasie bitwy jaka rozegrała się pod Łabuniami pomiędzy 39 D.P. a Korpusem Bawarskim 29 Brygada osłaniała działania od zachodu od strony Zamościa organizując obronę po obu stronach szosy Zamość-Hrubieszów, w rejonie Horyszów Dwór.

Grupa niemiecka w Zamościu pod dz-twem płk. Macheusena uderzała kilkakrotnie na tę osłonę starając się ją przełamać, czego nie udało jej się uczynić. Ponieważ płk. Bratro zachorował, faktycznym dowódcą 29-ej Brygady był ppłk. dypl. Szandruk.

Dnia 22 września wieczorem Korpus Bawarski zaprzestał bezskutecznych natarć i przeciwnatarć z Łabun na północ, przegrupował się w rejonie Zamościa i od świtu 23 września rozpoczął natarcie na kierunku Zamość-Hrubieszów, zwiększając stopniowo nacisk na osłaniającą ten kierunek 29 Brygadę Piechoty.

Grupa gen. Przedrzymirskiego osłonięta od południa nadeszła w nocy z 22 na 23 września na ten odcinek frontu, rozkazując 29-ej Brygadzie Piechoty utrzymywanie dalszej osłony na tym kierunku, aż do czasu otrzy-

mania rozkazu wycofania się wraz z siłami głównymi w charakterze tylnej straży.

23 września rano 29 Brygada była zagrożona natarciem czołowej straży przedniej niemieckiej i oddziałami pancerno-motorowymi, które pojawiły się na prawym-północnym i w tym czasie odsłoniętym skrzydle odizolowanej brygady.

W tej sytuacji ppłk. Szandruk udał się osobiście na pozycje czołowych baonów aby przekazać ich dowódcom plan odwrotu. Goniec gen. Przedrzymirskiego przybył z rozkazem odwrotu około godz. 10-ej rano. Ponieważ płk. Bratro nie było już na posterunku dowodzenia, rozkaz ten przekazano na pozycje czołowe płk. Szandrukowi, który po otrzymaniu go dopilnowywał osobiście kolejnego wycofywania się baonów z pozycji. Odwrót odbywał się już pod silnym ogniem artylerii niemieckiej i przy okrążonym skrzydle, do którego zbliżały się już niemieckie samochody pancerne. Sytuacja Brygady była właściwie beznadziejna, jednakowoż wojska wyszły z pułapki szczęśliwie, unikając zagłady w dużej mierze dzięki osobistej ingerencji płk. Szandruka, jego przewidywaniu, energii i odwadze. Zrobił on o wiele więcej dla uratowania wojska niż można się było spodziewać od przeciętnego dowódcy w podobnej sytuacji.

Przez cały czas działań wojennych w 1939 roku, ppłk. Szandruk zachowywał się jak lojalny i dzielny oficer. W konsekwencji, odznaczony został po wojnie krzyżem Virtuti Militari.

Nowość

TOM CX BIBLIOTEKI "KULTURY"

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

WOJNA I SEZON

„Wojna i sezon" jest dalszym ciągiem „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego" — powieści, która w latach 1959-1960 była czymś w rodzaju best-sellera emigracyjnego. Tamta „powieść" zamknęła się dniem 1 sierpnia 1914, ta — obejmuje okres od początku pierwszej wojny do dnia 18 września 1939 roku. Obie książki mają charakter gawędy. Jest jednak między nimi zasadnicza różnica. O ile „Dzieciństwo i młodość" obraca się przede wszystkim dokoła przeżyć *Tadzia*, o tyle „Wojna i sezon" jest „małą historią" małych i wielkich zdarzeń widzianych oczami i z podwórka *Tadeusza*. Postać „bohatera" schodzi przy tym na dalszy plan. Chwilami autor zdaje się zupełnie zapominać o jego istnieniu. Lata pierwszej wojny i rewolucji rosyjskiej przechodzą w „sezon" czyli okres „pieredyszki" w całej niemal Europie między dwiema wojnami.

Str. 308 Cena egz. 15 F (22/6; $ 3,25)

Katolicyzm postępowy ??

To nie rozrzutny składacz, lecz ja sam postawiłem w tytule podwójny pytajnik. Nawet tak wzmocniony, jest on ciągle słabym jeszcze znakiem rozlicznych wątpliwości, jakie budzi owo określenie „katolicyzm postępowy" — często używane i nadużywane, z cudzysłowem i bez niego, z uznaniem i z przekąsem, w odniesieniu do bardzo różnorodnych zjawisk. Na dobrą sprawę jeszcze jeden znak zapytania należałoby postawić pomiędzy oboma członami określenia, dla uwydatnienia jego pozornej przynajmniej — „wewnętrznej sprzeczności": z jednej strony niezmienna, tradycyjna nauka kościoła katolickiego, z drugiej — postęp, a więc zmiany, a więc rozbrat z tradycjonalizmem. Jeszcze jeden wielki pytajnik należy się samej idei postępu. I jeszcze jeden — mały, prywatny — na znak moich wahań i obaw, z którymi przystępuję do tematu tak rozległego i złożonego, słabo uzbrojony do takiego zadania, chwiejny w wyborze własnego stanowiska.

Pobudziła mnie do tych rozważań książka, która wyszła we Francji pod koniec ubiegłego roku i po dziś dzień jest tam przedmiotem ożywionej, zapalczywej niejednokrotnie dyskusji*). Ten *roman à thèse* można by nazwać beletrystyczną rozprawą z katolicyzmem postępowym, a ściślej mówiąc z jego osobliwą odmianą przeważającą — zdaniem autora — wśród młodszego wiekiem i niższego stanowiskiem duchowieństwa francuskiego, czynnego w ośrodkach wielkomiejskich. Powieść publicystyczna, powieść-debata jest dziś rodzajem wzgardzonym przez znawców. Jest istotnie czymś pośledniejszym od arcydzieł niezbrukanej sztuki powieściowej, ale w swoim rodzaju może być lekturą pasjonującą. Nawet z estetycznego punktu widzenia w dobrze zrobionej tendencyjnej powieści politycznej czy społecznej szamotanie się autora pomiędzy ciasnotą stronniczych przekonań a wymogami szerokiej, bezstronnej obserwacji, pomiędzy sumie-

*) Michel de Saint Pierre: *Les nouveaux prêtres*, roman, La Table Ronde, Paris 1964.

niem ideologicznym a artystycznym — ma pewien dramatyczny urok. Wyobraźmy sobie pisarza katolicko-narodowego o umysłowości — powiedzmy — Jędrzeja Giertycha, lecz z talentem literackim Tadeusza Nowakowskiego, a będziemy mieli zarys sylwetki Michela de Saint Pierre'a. Jak ten „Jędrzej" w nim z tym „Tadeuszem" się zmaga — warto na to patrzeć, to pełne napięcia widowisko.

W obfitym dorobku tego pisarza w sile wieku (ur. w 1916 r.) zwraca uwagę kilka utworów o bohaterze zbiorowym: „Les Aristocrates", powieść nagrodzona przez Akademię Francuską, „Les Nouveaux Aristocrates", „Les Ecrivains" — powieść i komedia pod tym samym tytułem — i „La Nouvelle Race", rzecz o współczesnej młodzieży. Do tej samej kategorii należą „Nowi księża". Przekładam tytuł dosłownie, choć należałoby raczej użyć przymiotnika „nowoczesny", może nawet „nowomodny".

„Nową falę" duszpasterską reprezentuje tu przede wszystkim dwu wikarych parafii św. Marka na robotniczym przedmieściu paryskim: ks. Barré i ks. Reismann. Proboszcz, stary i schorowany ks. Florian, usuwa się w cień do czasu gdy pod koniec powieści episkopat w osobie sufragana Mérignaca nakazuje mu zrobić porządek, ująć mocno ster parafii i wyprowadzić ją z mielizny niebezpiecznych a bezowocnych apostolsko nowinek. Wesprze go w tym młody, lecz nie „nowy" trzeci wikary ks. Delance, wcielenie autorskiego ideału kapłana.

Cała nowość i postępowość, wszystkie zapędy nowatorskie i reformatorskie księży Barré i Reismanna sprowadzają się do jednej sprawy: do szczególnie dotkliwego, bliskiego rozpaczy odczucia wielkiej tragedii kościoła francuskiego, jaką już od stulecia jest utrata klasy robotniczej. Parafia św. Marka jest „pustynią marksistowską". W ostatnich wyborach samorządowych trzy czwarte głosów padło tu na komunistów. Praktykujących jest — półtora procent. Kościół wprawdzie zapełnia się w niedzielę, ale — wzdycha ks. Barré — kto do niego przychodzi? Dewotki, paniusie kapeluszowe, bigoci, mieszczańscy notable, emerytowani oficerowie, intelektualiści, kupcy, ba, może nawet przedsiębiorcy... „Nieuleczalni" burżuazyjni faryzeusze.

Wprowadzić Chrystusa z powrotem w świat robotniczy — oto ambitny cel „nowych księży". Najważniejszą, jeśli nie wręcz jedyną przyczynę odejścia mas robotniczych od kościoła widzą oni w jego nieświętym przymierzu z klasami uprzywilejowanymi. Robotnicy nie wrócą do kościoła, póki nie uwierzą, że jest on po ich stronie w walce o poprawę proletariackiej doli. Najpierw ją trzeba poprawić, a dopiero potem mówić im o królestwie niebieskim. Jeśli w tym „doczesnym" społeczno-politycznym „zaangażowaniu" przyjdzie się stowarzyszyć z marksistami — nie ma w tym nic złego. Trzeba rozróżniać między błędną doktryną a szlachetnymi jej wyznawcami. Marksiści po swojemu naprawiają zaniedbania chrześcijaństwa na polu społecznym. Z nimi należy przejść spory szmat drogi, potem przyjdzie czas na wyleczenie ich z dziecięcej wysypki ateizmu.

Wszystkie inne „nowinki" przedstawione są w powieści jako pochodne tego zasadniczego stanowiska. „Nowi księża" są pacyfistami, bo komuniści mają pełne gęby „pokoju". Zwalczają nacjonalizm i bałwochwalczy kult ojczyzny i sztandarów, bo komunizm boi się patriotyzmu na Zachodzie, choć u siebie w domu pielęgnuje patriotyzm sowiecki. Hołdują „nowej teologii" wymyślanej przez jakichś tam niemieckich zakonników (tu nacjonalistyczne szydło aż śmiesznie wychodzi z worka autora), która przeciwstawia się np. przerostom kultu maryjnego i nabożeństwa do świętych lub zbyt literalnej, fundamentalistycznej interpretacji Pisma św. — znów dlatego aby się przypodobać materialistycznie i niesentymentalnie jakoby nastawionym robotnikom. Od Piusa XII wolą Jana XXIII — lecz tylko dlatego, że nie szafował on antykomunistycznymi anatemami. W obcowaniu mają niechęć do form i ceremonij, posługują się językiem prostym aż do prostactwa, „argot" robotniczym a nawet żargonem marksistowskim, z którego zapożyczają m.in. tak niechrześcijański czasownik jak „likwidować", szacowne szatki duchowne zastępują skórzanymi kurtkami, ćmią śmierdzące papierosy (a nie, jak ks. Florian, aromatyczny tytoń fajkowy) — cały ten nowy styl jest rodzajem mimikry, próbą przystosowania się do środowiska robotniczego i niewyróżniania się z niego. W kościele nie chcą kwiatów, chórów, statuetek, obrazy zastępują abstrakcyjno-symbolicznymi „totetami", są zwolennikami liturgii surowej, ascetycznej, ogołoconej z ozdób i przepychu, ubogiej, bo to się — rzekomo — spodoba tym do których wyłącznie chcą trafiać: ubogim, proletariuszom.

W tak odmalowanym stanowisku „nowych księży" tyle jest rażącej jednostronności, oczywistej przesady, wyraźnych błędów, że rozprawa z nimi idzie autorowi jak z płatka. Wytyka im, że zamiast kochać wszystkie owieczki, wybierają sobie niektóre z nich, uprawiając „apostolat selektywny", zacieśniony do klasy robotniczej, a przecież nie ona jedna uległa w naszych czasach dechrystianizacji. Krytykuje ich doczesne zaangażowanie, ich ambicję bezpośredniego rozwiązywania problemów społecznych ze szkodą dla funkcji kapłańskich. Zapominają o Bogu służąc materialnym interesom robotnika. Ksiądz ma być przede wszystkim głosicielem dobrej nowiny i szafarzem sakramentów, a nie działaczem. „Ksiądz, który zajmuje się tylko swoim powołaniem kapłańskim, nie myli się nigdy". Zajmując się nieswoimi sprawami, wchodząc w obcy i wrogi świat, zarażają się jego materializmem. Zamiast nawracać, sami się po części nawracają na marksizm, stając się nieraz w swej naiwności mimowolnymi narzędziami wrogów Boga i ojczyzny. Przygważdża ich wreszcie zarzutem całkowitej nieskuteczności nowych metod. Przeciwstawia im powodzenie apostolskie swego pupila, ks. Delance, osiągane tradycyjnymi środkami: w konfesjonale, na ambonie. Zarzut o tyle nieprzekonywający, że sprawcą tamtych niepowodzeń i tych sukcesów jest w powieści nie kto inny, lecz wszechmocny tu autor.

Ułatwia on sobie zadanie polemiczne wykrzywiając obraz prze-

ciwnika, zna jednak w tym miarę, sumienie artystyczne strzeże go przed zbyt karykaturalnym wypaczeniem. Zbłąkani, jego zdaniem, duszpasterze są przy wszystkich swych błędach ludźmi jak najlepszej woli, pełnymi apostolskiej gorliwości i poświęcenia. Wyposaża ich w niejeden sympatyczny rys: ks. Barré ma „piękną twarz", jest „niemniej wymagający wobec siebie samego niż wobec innych", odważny, inteligentny, wymowny. Swój punkt widzenia umie przedstawić mocno i ze swadą. Infekcja marksistowska nie oślepiła go do tego stopnia, aby nie zauważał „nadużyć" sowieckiego komunizmu. Jest partnerem w debacie nie na niby, ze zdaniem jego autor się sprzecza, ale i liczy.

Niedoli robotniczej Michel de Saint Pierre nie bagatelizuje, jak to się często zdarza innym prawicowcom. Obwoluta podkreśla z dumą, że ma on w swym życiorysie „sześć lat proletariackiego bytowania": był przez krótki czas robotnikiem fabrycznym i dość długo zwykłym marynarzem. Nie przecenia współczesnego procesu „mieszczanienia" klasy robotniczej. Rozumie, że telewizory czy lodówki w mieszkaniach robotniczych — to jeszcze nie rozwiązanie kwestii społecznej. Widzi i opisuje bez obsłonek wysepki skrajnej nędzy w morzu dobrej koniunktury i rosnącej zamożności. Ustami ks. Delance przyznaje, że fabryka zmienia człowieka w automat, że rytm pracy przemysłowej jest nieludzki, że — jak się dobitnie wyraża jedna z postaci Cesbrona („Les saints vont en enfer") — „z więzienia czy ze szpitala w końcu się wychodzi, fabrykę najwyżej się zmienia na inną".

„Nowi", postępowo błądzący — ciągle zdaniem autora — księża mają więc swój przydział sympatii i wyrozumienia z jego strony. Jeszcze cieplej oczywiście potraktowany jest obóz przeciwników „nowego duszpasterstwa". Cieplej, lecz literacko słabiej. Martwą postacią jest sufragan Mérignac, pozbawione indywidualnych rysów uosobienie odwiecznej, nieskwapliwej, dyplomatycznej mądrości kościoła. Paul Delance jest świętym z obrazka, wzorowanym poniekąd na proboszczu z Ars, o którym de Saint Pierre napisał książkę. Obdarza on swego idealnego wikarego pochodzeniem robotniczym (bardzo charakterystyczny chwyt), otwartą głową (ulubieni jego pisarze, to Bloy, Bernanos, Greene), skłonnościami mistycznymi i zdolnościami metapsychicznymi („czyta w duszach ludzkich"), ale nie umie tego wszystkiego uwierzytelnić. Słabostki jego: zbyt dobry apetyt młodości i pokusa wycofania się z niewdzięcznej pracy duszpasterskiej do zakonu kontemplacyjnego — nie robią jeszcze z niego postaci naprawdę trójwymiarowej. Na pytanie ks. Barré, czy wolny jest od wszelkiej pychy, odpowiada: „Nie widzi się samego siebie zbyt dobrze, gdy się stara wpatrywać w twarz Chrystusa". Piękne zdanie, ale w tym kontekście mimo gramatycznie bezosobowej formy trąci zadowoleniem z siebie. Świętość, w każdym razie dynamiczna, pełna bolesnych konfliktów, jest chyba poza zasięgiem wyobraźni autora.

Najbardziej krwistą postacią, istotnym bohaterem autorskiego romansu, sportretowanym z największym smakiem jest nie Paul

Delance, lecz Georges Gallart. Poznajemy go w kluczowej scenie powieści, gdy w dość gorszący sposób protestuje w kościele przeciw niepatriotycznemu kazaniu ks. Barré. Autor z upodobaniem stawia przed nami tę wielką, masywną, muskularną postać, widzi w niej „istotę, która łączy w sobie siłę fizyczną i moralną". Zakrystiana, który staje mu w drodze, Gallart potrafi odtrącić samym spojrzeniem. „Silny człowiek", powiedzmy od razu: kicz silnego człowieka. Z zawodu jest biologiem i zarazem astronomem. Dawniej byłby oficerem sztabowym lub arystokratą, dziś jednak, wiadomo, w naukach przyrodniczych siła. Jakby mu obu specjalności naukowych było mało, zajmuje się jeszcze publicystyką: jest redaktorem skrajnie nacjonalistycznego, wojująco antykomunistycznego pisemka. De Saint Pierre częstuje nas małą antologią wypowiedzi Gallarta, przy czym odnosi się wrażenie, że on sam by tak pisał — napastliwie, demagogicznie, niemiłosiernie — gdyby mu nie było wstyd. Z napaści na „złośliwych masonów", „drapieżnych bankierów" i „zgniłych liberałów" bije wyraźny zapaszek faszystowski. Podobnie jak z takiej sentencji: „Sprawiedliwy podział bogactw — wszyscy go chcemy. Lecz nie sposób uciec od tego: że dżungla należy do tygrysów, a ziemia do wielkich panów". Podobnie jak z zachwytu nad zdaniem Péguy: „Kto godzi się odstąpić piędź narodowego terytorium jest łotrem". W określonych historycznych okolicznościach takie zdanie mogło być słuszne, ale jako absolutna zasada jest anty-chrześcijańskim nonsensem. Dobro narodu, nie mówiąc już o ludzkości, nieraz wymagało kompromisowego załatwienia sporów terytorialnych.

Zakochany w swoim „tygrysie" autor umie się przecież zdobyć na pewien wobec niego dystans. Przede wszystkim nie robi z niego ideału świeckiego katolika. Choć katolik z urodzenia, Gallart dopiero od niedawna, w dobrze już średnim wieku, poczuł potrzebę wiary i praktyk religijnych. Jego życie osobiste nie jest jeszcze moralnie uładzone, lecz bardzo za to przyjemne. Z pewną lubością podkreśla się biegłość („il savait faire") Georges'a w erotycznych zapasach z diaboliczną kochanką, z którą w miarę rozwoju duchowego zaczyna — dość zresztą opieszale — zrywać. Ognisty temperament przeniesiony w dziedzinę sporów polityczno-religijnych zachwala się nam jako żar ducha. Gallartowi brak może roztropności — zdaje się mówić autor — ale jest on ze szlachetnej rasy tych, co gwałtem wchodzą do królestwa niebieskiego. „Un monsieur fatigant" — powiada pobłażliwie Msgr. Mérignac, ale woli go od „umiarkowanych", których umiarkowanie jakoby „polega na miarkowaniu odwagi", i nie waha się snuć planów wciągnięcia go do swej kampanii o oczyszczenie kościoła z „progresistycznych" miazmatów. Jak już wiemy, powieść kończy się pierwszą wygraną batalią o parafię św. Marka. Rządy nad nią obejmuje tradycjonalistyczny tandem Florian-Delance. Barré uzyskuje przeniesienie do innej diecezji, a Reismann nie tyle „zrzuca sukienkę duchowną", bo tej od dawna nie nosi, ile „idzie do cywila" i zamieszkuje u symboliczno-enigmatycznej

Magdaleny, niewierzącej robotnicy, może nawet komunistki, ale szlachetnej, pełnej poświęcenia dla proletariackich braci. Postać to zbyt blada i zagadkowa, ale samo posadzenie takiej lilijki w materialistycznym bagnie raz jeszcze dobrze świadczy o borykaniu się autora z własną stronniczością, z czarno-białym widzeniem ideologa.

◆

Dychotomia jest rozkoszą głupców. Przepadają oni za myśleniem w dwudzielnych kategoriach w rodzaju: „czarne-białe", „źli i dobrzy", „my i oni", „postęp — reakcja". Dwa obozy, dwie drużyny, to dobrze na boisku piłkarskim. Ładnie by wyglądał mecz z bramką na każdym boku boiska i z czterema jedenastkami graczy, uganiających się za kilkoma piłkami!

Tak jednak naprawdę wyglądają procesy historyczne, bardziej złożone od rozgrywek piłkarskich. Podział na dwa obozy jest tu zawsze co najmniej grubym uproszczeniem. Bardzo sceptycznie należy tedy traktować obiegowe podziały katolicyzmu na „postępowy" i „zachowawczy", „otwarty" i „zamknięty", „światły" i „ciasny". Nie wszystkie tendencje reformistyczne, nowatorskie w kościele są jednorodne, wielu duchownych i świeckich katolików może więc równie gorąco jedne popierać a innym się przeciwstawiać. Przykład: prymas angielski kardynał Heenan jest bardzo postępowy w swym gorliwym ekumenizmie, w szukaniu porozumienia z protestantami i żydami, a zachowawczy w dziedzinie etyki seksualnej.

Z tym zastrzeżeniem wszakże nie podobna zaprzeczyć, że jesteśmy dziś świadkami wyjątkowo licznych i silnych, choć czasem rozbieżnych, dążności do przemian w kościele katolickim, w katolicyzmie jako poglądzie na świat. Wolę mówić o dążności do przemian niż o tendencjach „postępowych". Słowo „postęp" ma podejrzany ładunek uczuciowy, wartościuje pochopnie, zakłada że znamy nieomylnie cel dziejów i rządzące nimi prawa. Zostawmy to słowo marksistom. Sami bądźmy skromniejsi i rozważniejsi. Poprzestańmy na stwierdzeniu dążności do zmian nie przesądzając ich wartości.

Choć pomiędzy wielu takimi dążnościami nie ma związku logicznego, jest jednak związek psychologiczny. Logicznie biorąc katolik może być np. przeciwnikiem zbytniej centralizacji i biurokratyzacji kościoła a zarazem żarliwym wyznawcą najbardziej tradycyjnego i sentymentalnego kultu maryjnego. Albo może być pacyfistą i z drugiej strony rygorystą w sprawie kontroli urodzeń. Przeważnie jednak tak się składa, że skłonny do pacyfizmu katolik będzie za ograniczeniem władzy i wpływów kurii rzymskiej, za stonowaniem kultu maryjnego i za „określeniem na nowo" nauki kościoła o małżeństwie. Ludzkie temperamenty można z grubsza podzielić na radykalne i zachowawcze, stąd też ciążenie ku jednym przemianom łączy się zwykle z ciążeniem ku innym — rzadko jednak ku wszystkim innym.

Dla ilustracji raczej niż dla przyjemności (niewątpliwej zresztą) pisania o sobie, chcę teraz określić swój stosunek do tych dążności nowatorskich, które de Saint Pierre wybrał sobie do zwalczania. Robię to przede wszystkim po to, aby wykazać jego pomyłkę w szukaniu ich źródła. Jak pamiętamy, sprowadza on je do pro-komunistycznie zabarwionego, obsesyjnego w swej wyłączności radykalizmu społecznego „nowych księży". Otóż można być dość dalekim od radykalizmu społecznego i nieprzejednanym przeciwnikiem komunizmu, lecz pomimo tego czuć się o wiele bliższym księżom Barré i Reismannowi niż Gallartowi, niż nawet Mérignacowi. Bliższy jest mi ich pesymizm i — sit venia verbo — defetyzm od optymizmu i tryumfalizmu tych katolików, którzy nie zauważają katastrofalnej dechrystianizacji współczesnego świata, a jeśli zauważają, całą winę zwalają na świat a nic na chrześcijan. Nie wierzę w rewolucyjną naprawę stosunków społecznych, ale żarliwe dążenie do ich ewolucyjnej poprawy wydaje mi się nakazem społecznego sumienia chrześcijańskiego. Nie można być „prywatnie" w porządku nie robiąc publicznie nic w obronie krzywdzonych (niekoniecznie proletariatu przemysłowego — w grę wchodzi także obrona mniejszości rasowych, narodowych, obrona wszystkich prześladowanych i ciemiężonych bez względu na powody ucisku). Wiem dobrze co myśleć o obłudnym pacyfizmie komunistycznym, ale to wcale nie zmniejsza mojego przerażenia groźbą zagłady atomowej ani mojej wiary w skuteczność i... chrześcijańskość bezgwałtownego oporu w stylu Gandhiego czy Marcina Lutra Kinga. Nacjonalizm dla de Saint Pierre'a jest bastionem w walce z komunizmem, dla mnie i nacjonalizm i komunizm jest bałwochwalstwem i niczego dobrego nie spodziewam się po wypędzaniu diabła Belzebubem, tym bardziej że potrafią oni ze sobą doskonale współżyć w nacjonałkomunizmie. Oportunistyczne flirty z bezbożnym komunizmem uważam za zbrodniczą niemal naiwność, ale może jeszcze bardziej niechrześcijański jest „zoologiczny" antykomunizm. Z komunizmem trzeba walczyć, ale po chrześcijańsku, to znaczy nie zapominając o miłości i czci, jaka się należy każdemu człowiekowi, a więc i każdemu komuniście. Z innych wreszcie powodów niż te które autor „Nowych księży" przypisuje swym tytułowym nie tyle bohaterom, ile przeciwnikom — uznaję palącą potrzebę odnowy teologii, kultu, całego stylu katolickiego, dostowania ich do sposobu myślenia i odczuwania współczesnego człowieka.

Że te i inne (a mnóstwo de Saint Pierre pomija!) dążności nowatorskie w katolicyzmie nie muszą się łączyć z „lewicowym" nastawieniem społeczno-politycznym, widzimy wyraźnie na przykładzie katolicyzmu anglosaskiego: amerykańskiego i brytyjskiego. Zagadnienie odchodzenia klasy robotniczej od religii nie ma tam zasadniczego znaczenia: w tych protestanckich czy ex-protestanckich krajach katolicyzm jest naogół religią uboższych warstw właśnie, a poza tym ani Stany Zjednoczone, ani W. Brytania i dominia nie mają aż tak rażących nierówności społecznych jak kraje katolickie. Problem współpracy z komunistami

w ogóle nie istnieje dla katolików anglosaskich, w polityce wewnętrznej w każdym razie. Lecz pomimo całkowicie innego klimatu społeczno-politycznego „postępowi" katolicy anglosascy dzielą wiele poglądów „nowych księży" z omawianej powieści.

Zróbmy jeszcze krótką listę tych tendencyj reformatorskich, które jej autor pomija. Nie ma on nic do powiedzenia na tak żywotne tematy jak ekumenizm i związana z nim zmiana stosunku do innych religii i wyznań chrześcijańskich, jak „liberalizacja" i „demokratyzacja" ustroju kościoła (np. rola episkopatu, laikatu, zwężenie pojęcia nieomylnego „magisterium", indeks, tzw. środki ubogie w szerzeniu wiary...), jak zachwiany monopol tomizmu jako filozofii katolickiej, jak nawrót do patrystycznych i mistycznych tradycji przeciwstawianych „kontr-reformacyjnemu" formalizmowi i legalizmowi... Urywam wyliczenie, bo co krok, to zagadnienie bardzo rozległe i zawiłe, samo nazwanie go niewiele da czytelnikowi. Już jednak z tego widać, jak bardzo powieść de Saint Pierre'a zawodzi jako rozprawa z „postępowym" katolicyzmem. Jest polemiką „selektywną" z niektórymi tylko, wykrzywionymi dążeniami do przemian.

◆

Zostawiłem sobie na koniec pewne, niezbyt przyjemne „polonicum" w utworze francuskiego powieściopisarza. Pod koniec powieści księdzu Delance składa wizytę komunistyczny radny miejski i działacz robotniczy w towarzystwie Polaka nazwiskiem Stanecki, który — jak się wyraża — „reprezentuje po trosze piękny ruch Pax Hominum". „Hominum" można sobie darować — chodzi oczywiście o „Pax" Piaseckiego. Czerwone wilki czy lisy w owczej skórze przychodzą z zamiarem podstępnego wciągnięcia wikarego w komunistyczną kampanię pokojową, namawiając go do złożenia podpisu na manifeście pacyfistycznym. Delance odmawia i taką daje odprawę Staneckiemu, który przedtem roztaczał sielankowy obraz koegzystencji katolików i marksistów w Polsce:

— Obawiam się, że jest pan źle poinformowany. Jeśli o moją skromną osobę chodzi, tak się złożyło, że gdy byłem sekretarzem archidziekanatu, przypadkowo natknąłem się na teczkę o sprawach polskich i coś niecoś z niej zapamiętałem. Po pierwsze prymas i episkopat polski odżegnali się jak najkategoryczniej od tej tak zwanej koegzystencji. Dalej: prześladowania i wywłaszczania chrześcijan nigdy w Polsce nie ustały! Na tysiąc szkół laickich wypada zaledwie garstka katolickich, które się skwapliwie pokazuje zagranicznym gościom. Rząd wasz patronuje łupieniu klasztorów, desakracji kaplic, likwidowaniu seminariów. A jeśli idzie o Pax Hominum — z którym, jak pan mówi, jest pan „po trosze" związany — to jest to nic innego jak potężna, zakamuflowana agencja tajnej policji komunistycznej.

Ale mu wygarnął! Nie można zaprzeczyć, że te „rąbane" prawdy są bliższe rzeczywistości niż propaganda Staneckich, niemniej jednak w takim czarno-białym widzeniu nikną istotne

odcienie. „Pax" ma pewne cechy autentycznego „progresizmu" katolickiego, nie wszystko i nie przez wszystkich jego członków jest udawane.

W katolicyzmie polskim na pewno jest miejsce na przemiany i reformy. Należy on — obok irlandzkiego czy hiszpańskiego — do najbardziej tradycjonalistycznych, nieraz — powiedzmy brutalnie — aż do zacofania. Przepraszając za zbyt zamaszyste i drażniące uogólnienia, nie mogę się oprzeć pokusie wyliczenia tego, co mi się wydaje siedmioma grzechami głównymi polskiego katolicyzmu, wczorajszego i dzisiejszego. Są to fideizm, sentymentalizm, antymistycyzm, antyliberalizm, nacjonalizm, aktywizm i kolektywizm. To samo nieco szerzej: niedbałość o intelektualną podbudowę wiary, nadmierna rola uczuć i nastrojów a skromna rozumu i woli w religijności polskiej, brak zainteresowania mistycznym rdzeniem chrześcijaństwa, brak prawdziwego przywiązania do wolności myśli i słowa, zbyt silne związanie katolicyzmu z patriotyzmem (nie przeczę potrzebie związku między nimi, chodzi o jego charakter), wywyższanie akcji, zwłaszcza zbiorowej (pielgrzymki, procesje, manifestacje) kosztem kontemplacji, a więc jednostkowego życia wewnętrznego. Trzeba przyznać, że „Pax" w swej działalności wydawniczej zrobił sporo dobrej roboty, dążąc do wyciągnięcia katolicyzmu polskiego z niektórych przynajmniej z wyliczonych „grzechów"**) Nie jest istotne, czy na szczycie organizacji robotę tę podjęto z przekonania, czy z brzydkiego politycznego wyrachowania (np. dla dokuczenia episkopatowi).

Bzdurą za to, jeśli nie wręcz nieuczciwością jest przypisywanie sobie „postępowości" z tytułu opowiadania się za „socjalizmem" sowieckiego chowu. O ile w niektórych krajach kapitalistycznych zrozumiały jest radykalizm społeczny w stylu „nowych księży" — o tyle w Polsce nie ma do niego żadnych podstaw. To właśnie wiejski i miejski proletariat polski najmniej odszedł od kościoła. Kościół polski — dziś — nie tylko nie jest w przymierzu z warstwami uprzywilejowanymi, lecz staje się coraz bardziej rzecznikiem i przywódcą upośledzonych w ustroju „demokracji ludowej" mas. Przesadnie, ale nie bez racji można powiedzieć, że Polską Ludową rządzi nie sojusz robotniczo-chłopski, lecz sojusz managerów komunistycznych z kolaborującą inteligencją, skierowany przeciw interesom chłopa i robotnika! Tak jak „Pax" jest jednym ze szturmowych oddziałów inteligenckiej kolaboracji, kościół jest jedyną zorganizowaną siłą opozycyjną, nieomal trybunem antykomunistycznego ludu! Rolę tę ułatwia mu zapewne ludowe pochodzenie większości kleru z dostojnikami polskiej hierarchii włącznie.

**) Nie znaczy to, że „Pax" sam jeden jest tu czynny. Lepiej, szlachetniej, bez politycznych motywów poziom katolicyzmu polskiego podnoszą ludzie skupieni dokoła „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego", poniekąd i „Więzi". Z powodu stawianych im trudności robią to może z mniejszym rozmachem.

To szczególne położenie kościoła w państwie komunistycznym jest zarówno błogosławieństwem jak obciążeniem. Z jednej strony potężnie przeciwdziała de-chrystianizacji narodu polskiego, z drugiej — hamuje odnowę naszego katolicyzmu, do której jego ludowa „baza" nierychło dojrzeje.

Michał CHMIELOWIEC

Tom XCIX BIBLIOTEKI «KULTURY»

WINCENTY WITOS

MOJE WSPOMNIENIA

Tom I zawiera 360 stron; Tom II 440 stron; Tom III wraz z Diariuszem, Indeksem Nazwisk i Wykazem Subskrybentów — 528 stron.

PAMIĘTNIKI MOŻNA NABYWAĆ JEDYNIE W CAŁOŚCI

Cena 3-ch tomów: F 87 (dol. USA 18,00; dol. kan. 20,00; £ 6.10.00)

Z kronik Buchenwaldu

Bezpośrednio po uwolnieniu obozu przez wojska amerykańskie — z inicjatywy wybitnego dziennikarza francuskiego Maurice Negre, późniejszego dyrektora Agencji France-Presse, a przed wojną korespondenta Havasa w Warszawie, powstało w obozie „Biuro Prasowe". Było to międzynarodowa grupa dziennikarzy, która postawiła sobie za zadanie ocalenie archiwów obozu i zebranie dokumentacji i relacji.

Do grupy tej przystąpili dziennikarze-byli więźniowie, należący do 12-tu różnych narodowości. Było tam 5-ciu Belgów, 1 Hiszpan, 16-tu Francuzów, 5-ciu Holendrów, 1 Włoch, 1 Jugosłowianin, 4-ch Austriaków, 2-ch Czechów, 10-ciu Polaków, 4-ch Rosjan, 3-ch Węgrów i 31 Niemców. Z Francuzów warto tu wymienić tak znane dziś nazwiska jak: Rémy Roure, który po powrocie do kraju był wybitnym członkiem redakcji *Monde'u*, a obecnie *Figaro,* Christian Pineau, późniejszy socjalistyczny minister Spraw Zagranicznych, oraz znany publicysta Jean Gandrey-Réty.

Polacy — poza prof. Zygmuntem L. Zaleskim i mną — byli to w lwiej części współpracownicy regionalnej prasy śląskiej, którzy przetrwali w Buchenwaldzie od września 1939.

Z ramienia Komitetu Polskiego, który się od razu ujawnił w obozie i tej komisji międzynarodowej spisałem wtedy szereg relacji o wydarzeniach obozowych i przeżyciach więźniów. Co się stało z tymi materiałami po moim odjeździe z Buchenwaldu — nie wiem. Ale przywiozłem z sobą do Paryża część notatek i brulionów. I z nich czerpię dwa poniższe fragmenty.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

TAJNA RADIOSTACJA W OBOZIE

Gdy wróciłem z Buchenwaldu do Paryża, to każdy z dawnych znajomych i przyjaciół zadawał mi przy pierwszym spotkaniu zawsze jedno i to samo pytanie: *Est-ce que vous avez beaucoup souffert là-bas?* — „Musiałeś tam przejść straszne rzeczy!" Słowo „Buchenwald" było dla nich wyrazem zawierającym tylko okropność i cierpienia. I niczym innym. A to nie jest wcale słuszne.

Bo Buchenwald — to było coś o wiele więcej. Bo poza głodem czy robotami w kamieniołomach czy w tzw. „ogrodach", które były karnym kommando, poza okropnościami baraków kwarantanny, które w styczniu i lutym 1945 r. dawały po 250 do 300 trupów dziennie, działo się w obozie i coś innego, było inne życie, zamaskowane wprawdzie i ukryte, niewidoczne na powierzchni, ale pełne energii i ducha oporu, nie zniżające głowy i nie tracące nadziei. Istniały i działały w Buchenwaldzie tajne organizacje prawie wszystkich narodowości, pod kierownictwem doskonale zakonspirowanych komitetów narodowych i komitetu międzynarodowego na czele. Spośród kierowniczych członków komitetu francuskiego pamiętam płk. Manhès i deputowanego Marcel Paul'a. W skład pierwszego tajnego komitetu polskiego wchodzili przede wszystkim dawni kierownicy mniejszości polskiej w Niemczech, którzy zamknięci byli w obozie od października roku 1939: Stefan Szczepaniak, Paweł Kwoczek, Stefan Taberski, potem dr Marian Ciepielowski z Krakowa, Ignacy Szymała, działacz społeczny z Częstochowy, i młody komunista polski z dawnego Śląska niemieckiego, Henryk Mikołajczak. Były tajne organizacje, nie tylko cywilne ale i wojskowe, o charakterze bojowym: niemiecka, rosyjska złożona wyłącznie z jeńców b. żołnierzy i oficerów Czerwonej Armii, francuska, polska, jugosłowiańska itd. Przygotowywały się one do wystąpienia zbrojnego w momencie krytycznym. Grupy te starały się o broń. Kradły SS-om rewolwery, albo za przemycone do obozu pieniądze kupowały te rewolwery i karabiny od żołnierzy z oddziałów wartowniczych. Od stycznia 1945 jedna z tych grup miała nawet ręczny karabin maszynowy z amunicją.

Przygotowania te nie poszły na darmo, bo gdy 11 kwietnia oddziały gen. Pattona zaczęły z dwóch stron podchodzić do Buchenwaldu, grupy wojskowe zmobilizowały się błyskawicznie, uderzyły od wewnątrz obozu, zgodnie z dawno opracowanym planem, na bramę i wieżyczki wartownicze i zdobyły je, biorąc do niewoli setkę strażników obozu.

Niesposób w krótkim opowiadaniu przedstawić całą historię tych tajnych organizacji buchenwaldzkich, ale chciałbym opowiedzieć o jednym szczególe, tym ciekawszym, że mało znanym nawet wśród Buchenwaldczyków: o tajnym radio w obozie. Sprawa ta jest o tyle dla nas interesująca, że główną rolę odegrali w niej więźniowie-Polacy. Było ich trzech. Z zawodu byli radiotechnikami: inż. Gwidon Damazyn z Warszawy (numer obozowy 712 — to znaczy, że wytrzymał w obozie od r. 1939), inż. Fuchsenbronner (z Oświęcimia nr 108061, w Buchenwaldzie 117598) i b. instruktor szkoły podchorążych lotnictwa w Bydgoszczy Władysław Gocławski (nr buchenwaldzki 818).

Przydzieleni do roboty w warsztatach, w których reperowano aparaty radiowe, postanowili oni zbudować sobie tajny odbiornik. Od kwietnia 1944 roku zaczęli systematycznie wykradać Niemcom poszczególne części i przemycać do wnętrza obozu. Potem sklecili z nich odbiornik, naturalnie nie głośnikowy tylko na słuchawki, i umieścili u jednego z kolegów należącego do tajnej organizacji, który był stałym pracownikiem tzw. „rewiru" czyli szpitala obozowego i mógł łatwiej niż inni ukryć niebezpieczny instrument. I w ten sposób zaczęliśmy otrzymywać prawdziwe wiadomości ze świata. Zachęceni sukcesem nasi radiotechnicy wzięli się do budowania w ten sam sposób dalszych aparatów. Do końca roku zbudowali ich sześć czy siedem. Dwa były w szpitalach obozowych „dużym" i „małym", jeden u Rosjanina w warsztacie reperacji butów wojskowych przy komando „Schweinestall", tj. przy chlewach, w których tuczyło się około 500 świń na potrzeby pilnujących obozu SS-manów. Aparat ten wmontowany został w podwójne dno kubła wypełnionego smarem do butów. Inny wreszcie, na bloku polskim 27-ym, ukryty był w tekturowym pudełku od margaryny, w jakim więźniowie przechowywali swą bieliznę otrzymaną z domu.

Odbieranie wiadomości otoczone było naturalnie szeregiem ostrożności. W nocy, późnym wieczorem lub nad ranem włączano aparat. Dwóch więźniów wstawało ukradkiem i obejmowało straż. Trzeci kładł się ze słuchawkami na uszach na swej pryczy, nakrywał się kocem i słuchał, starając się jak najdokładniej zapamiętać. Otrzymane w ten sposób wieści z Londynu, z Freiheitssender czy Moskwy szły szeptem po całym obozie. Na każdym bloku był jeden mąż zaufania, któremu przekazywano wiadomości, a on podawał je dalej tym, którym można było zaufać. Wieści rozchodziły się cicho i tajemniczo, a jednocześnie sprawnie i ze zdumiewającą szybkością. Po wieczornym apelu cały obóz już o nich wiedział. Aż dziw, że się rzecz nie wydała.

Kto nie był w obozie, ten po prostu sobie nie może wyobrazić jak ogromne znaczenie miały dla więźniów te tajne odbiorniki

radiowe, gdy stale, dwa razy dziennie ryczał w każdym bloku głośnik niemiecki, podający hitlerowską propagandę. Była ona kłamliwa, niezręczna — to prawda — ale powtarzana ciągle, bez ustanku i brzmiąca w uszach całymi miesiącami, jeśli nawet nie zatruwała umysłów, to jednak zaczynała osłabiać ducha w tych, co byli czy bardziej wygłodzeni czy mniej wytrzymali nerwowo. Kto zaś w obozie załamywał się na duchu, ten tracił ostatnią szansę przetrwania. Tych kilka tajnych odbiorników stało się doskonałą, skuteczną odtrutką. Może więcej ludzi, niż by to się mogło zdawać, zawdzięcza im że przetrwało wszystko i doczekało się wyzwolenia.

Nasi trzej radiotechnicy znudzili się jednak kleceniem drobnych aparatów odbiorczych. Przyszedł im do głowy pomysł jeszcze bardziej zuchwały: skoro udało się z odbiornikami, to dlaczego nie miałoby się udać z aparatem nadawczym? I postanowili zmontować w obozie koncetracyjnym, pilnowanym i szpiegowanym troskliwie przez Gestapo, tajną radiostację nadawczą.

Zadanie wydawało się niemal niemożliwe. Przez szereg tygodni wyszukiwali, kradli po wszystkich możliwych warsztatach i gromadzili poszczególne części, potrzebne do montażu. Ale potem trzeba było montować. Kiedy i jak? Trzeba było wykradać się nocą z baraku, w którym każdy był zamknięty, przedostawać się do warsztatu szewskiego Iwana Sapoczenko, przy chlewach świńskich i tam w ciągu nocy bezsennych, po całodziennej pracy przymusowej, montować aparat z przygodnych, nie pasujących do siebie części. Na szczęście psów wewnątrz obozu nie było, a patrole SS chodziły niechętnie i rzadko. Tajna organizacja wojskowa dała technikom polskim osłonę zbrojną: 5-ciu b. żołnierzy rosyjskich uzbrojonych w rewolwery i noże. Byli to: Aleksy Krawczenko i Aleksander Pawłow z Leningradu oraz Aleksander Lisienko z Kaukazu. Nazwisk dwóch pozostałych nikt już nie wie. Mieli oni w razie rewizji nocnej SS-manów rozprawić się z nimi zbrojnie. Na szczęście — nie doszło do tego.

Pod koniec marca aparat był prawie gotów. Postanowiono go zmontować ostatecznie w tzw. kinie obozowym, które miało na dachu antenę, a służyło jako hala zbiórki dla odchodzących transportów i przeważnie stało pustkami. Aparat miał czerpać prąd z sieci oświetleniowej obozu, ale na wszelki wypadek, gdyby prąd świetlny miał zawieść, skonstruowano jeszcze dwa akumulatory i transformator. 23 marca dokonano próby z aparatem. Aparat działał. Rozmontowano go i schowano częściami.

Nadszedł dla Buchenwaldu ostatni, krytyczny tydzień niewoli. Komendant ogłaszał oficjalnie, że nie ma zamiaru ewakuować obozu. Ale nagle, 6 kwietnia, w piątek, straż porządkowa obozu wyciągnęła szpalery wzdłuż bloków i ponad 7.000 Żydów, ledwo

wlokących nogi, zaczęło przeciągać makabrycznym pochodem na plac apelowy, a potem na ogrodzone miejsce zbiórki transportów. Wielu z nich zdołało się wyrwać i poukrywać na blokach innych grup narodowych, ale ponad 5.000 odjechało w nocy. Nazajutrz, w sobotę, rozeszła się wieść, że szykuje się nowy transport. A wszyscy wiedzieli, że z tych co szli na ewakuację zaledwie jeden na dziesięciu miał szanse zachowania się przy życiu. W tych warunkach szef tajnej organizacji bojowej obozu, komunista — Niemiec Otto Roth, nakazał zmontować w nocy radiostację i dał radiotechnikom depeszę do generała amerykańskiego Pattona, który dowodził na froncie naprzeciw nas. Depesza zredagowana w trzech językach brzmiała: „Do armii sprzymierzonych. Do generała Pattona. Obóz buchenwaldzki wzywa S.O.S. S.O.S. S.O.S. Mamy być ewakuowani przemocą. Wzywamy pomocy!"

W nocy z soboty na niedzielę 8-go kwietnia stacja została zmontowana w kinie. O godz. 10.30 rano Damazyn, Fuchsenbronner i Gocławski zaczęli nadawać na krótkiej fali 36 m. tekst depeszy do gen. Pattona. Nadawali przez 4 godziny, do godz. 14.45 bez przerwy.

A były to godziny ogromnego napięcia w obozie. Komendant nakazał na godz. 11 zbiórkę wszystkich bloków na placu apelowym. Wiedzieli już wszyscy, że miało to być formowanie transportu, który miał być pognany piechotą ku Bawarii. Zdecydowano bierny opór. Ani jeden blok nie wymaszerował na plac apelowy. Wówczas, o godz. 12-ej, wmaszerowały do wnętrza obozu silnie uzbrojone oddziały SS, zaczęły otaczać jeden blok po drugim i pałkami oraz strzałami rewolwerowymi wypędzać więźniów na plac. W całym obozie zawrzał zgiełk, rozlegały się strzały i klątwy. I w czasie tego zamętu radiotelegrafiści nadający depesze spostrzegli, że prąd nagle się urwał. Co się stało? Prądu oświetleniowego nie wyłączano dotychczas nigdy w obozie. Mogło to znaczyć jedno tylko: że Niemcy przychwycili depeszę nadawaną do gen. Pattona, że zorientowali się, że z obozu działa tajna radiostacja i że wyłączyli prąd, aby ją unieruchomić. Co robić? Uciec i skryć się w zamęcie? A może jednak Niemcy nie zdołali stwierdzić dokładnie skąd wychodzą depesze? Przełączono aparat na akumulatory i zaczęto nadawać w dalszym ciągu.

W chwilę później jednak nowy, jeszcze groźniejszy alarm: przez bramę wjechał autem do środka komendant obozu, otoczony uzbrojonymi SS-manami i powoli jechał wśród baraków drogą, która wiodła prosto ku szpitalowi i kinu. Technikom zamierało serce. Ale nadawanie depeszy nie ustawało ani na chwilę.

Auto komendanta nie dojechało do szpitala i kina. Zatrzymało się. Po chwili... zawróciło i odjechało z powrotem ku bramie.

Przez te kilka minut, które mogły wydawać się wiekami, trzej technicy nie zamienili ze sobą ani słowa.

Nadawanie depeszy trwało dalej do godz. 14.45. Następnie aparat rozmontowano i części ukryto lub zakopano. O godz. 15.30 nadleciał nad obóz od zachodu samolot amerykański, zniżył lot na niecałe 100 metrów, puścił serię z karabinu maszynowego na jedną z wieżyczek wartowniczych i trzy razy zatoczył koło nad obozem. Wszyscy wtajemniczeni uznali, że było to potwierdzenie odbioru depeszy.

Czy tak było naprawdę — nie wiem, ale sądzę, że należało zarejestrować ten szczegół z ostatnich dni Buchenwaldu i ten moment z życia trzech radiotelegrafistów Polaków, którzy może dziś żyją w Polsce, gdyż uniknęli transportów i doczekali uwolnienia.

Takie przeżycia i takie chwile trzeba znać, aby zrozumieć, że słowo „Buchenwald" zawiera w sobie więcej treści, niż się myśli powszechnie. Buchenwald — to nie tylko okrucieństwa, to także silne przeżycia, takie jak tajna radiostacja obozu.

DĄB GOETHEGO W BUCHENWALDZIE

Obóz koncentracyjny założony był na miejscu dawnej leśniczówki, do której z pobliskiego stołecznego Weimaru zjeżdżał podobno sam Goethe. By wytyczyć obóz wycięto na wzgórzu drzewa pozostawiając jednak ogromny dąb, w którego cieniu Goethe lubił podobno wypoczywać czy też — jak mówiła inna wersja — sam go zasadził. Tradycja miejscowa nazywała go „dębem Goethego". Istniała jakoby legenda, że jak długo ten dąb stoi i rozrasta się, tak długo trwać i wzrastać będzie potęga Niemiec; gdy zaś dąb uschnie lub gdy burza go zwali, będzie to zapowiedź katastrofy i upadku Niemiec.

Była w obozie niewielka grupka ryzykantów, którzy zaczęli rozmyślać nad tym czy nie udałoby się podłożyć ukradkiem pod dąb jakiejś kluski dynamitu, ale po zastanowieniu zaniechali tej myśli: konsekwencje dla wszystkich więźniów mogłyby być zbyt okrutne.

W południe dnia 24 sierpnia 1944 roku nadleciały nad obóz kilku falami eskadry bombowców amerykańskich, ciągnąc za sobą długie białe smugi. Przyleciały, by zniszczyć warsztaty wojskowego sprzętu radiowego, zbudowane tuż za drutami, i zatrudniające tysiące więźniów. Warsztaty zostały zniszczone dokładnie, ale i kilkuset więźniów Buchenwaldu padło ofiarą bomb.

Zginął wtedy także jeden z kierowników polskiej tajnej organizacji w obozie, człowiek młody jeszcze, lecz cieszący się wielkim autorytetem moralnym, b. sekretarz ambasady w Paryżu, Kazimierz Sośnicki.

Około pół tuzina bomb lotniczych spadło na obóz sąsiadujący z warsztatami. W obozie powstał pożar. Zapaliła się dwupiętrowa pralnia i magazyn, koło których stał dąb Goethego. Z dachu pralni ogień przerzucił się na drzewo. Dąb stanął wkrótce cały w płomieniach i do późnej nocy płonął jak pochodnia. Nad ranem pozostał tylko osmalony, ale wysoki jeszcze na 3 piętra czarny kikut.

Na trzeci dzień po nalocie przyprowadzono o świcie grupkę więźniów-drwali z tzw. „Kommando Holzhof" i kazano im zrąbać sterczący pień.

Taki był koniec „dębu Goethego" w sierpniu roku 1944. A że legenda — wspomniana na wstępie — musiała istnieć i musiała być znana komendzie obozu — o tym zaświadczyło dobitnie jedno: koło opalonego pnia stał potem przez długie dnie na warcie — nie zwykły strażnik z Wehrmachtu — ale SS-man i nie wolno było więźniom do tego miejsca się zbliżać, ani mu się nawet przyglądać z daleka.

Okoliczni mieszkańcy traktują chyba dziś tę legendę jak prawdziwe proroctwo, które się spełniło.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

ROZGŁOŚNIA POLSKA
RADIA WOLNA EUROPA

POSZUKUJE MŁODYCH KANDYDATÓW

na stanowiska redaktorów, lektorów („speaker'ów")
oraz sekretarek.

Zgłoszenia z życiorysem kierować należy na adres:

POLISH BROADCASTING DEPARTMENT
RADIO FREE EUROPE
ENGLISCHER GARTEN 1
(8) MUNCHEN 22

Maria Dąbrowska

W chwili gdy zamykamy numer czerwcowy „Kultury" dochodzi do nas wiadomość o śmierci Marii Dąbrowskiej.

Była ona nie tylko czołową pisarką Polski, była autorytetem moralnym jak chyba żaden inny pisarz polski od czasów Żeromskiego. „Ludzie stamtąd" — okrutne spojrzenie na nędzę społeczną i głębiej jeszcze na nędzę bytu ludzkiego, „Noce i dnie" — ta wielka powieść już dziś klasyczna, bez której nie umiemy sobie wyobrazić literatury polskiej, jej studia krytyczne o Conradzie, Żeromskim i Orzeszkowej — to żelazne pozycje literatury polskiej.

Związana z lewicą polską, uczestniczka walk o niepodległość od zarania młodości, walk o wolność Polski, wolność słowa i myśli — ta wątła kobieta zabierała głos zawsze, gdy inni milczeli, w obronie skrzywdzonych, przeciw gwałtom i nieprawości. Jej głos w sprawie Brześcia, antysemityzmu, pacyfikacji Ukrainy, w okresie przedwojennym, jej udział w prasie konspiracyjnej z czasów okupacji, jej podpis pod „Protestem 34" za który wzięła całą odpowiedzialność walcząc do końca przeciw zakłamanym i brutalnym reakcjom Polski Ludowej — ratowała i ratuje honor pisarstwa polskiego.

Maria Dąbrowska, ciężko chora już od lat, pozostała do śmierci tą samą kobietą niezłomną, wzorem dla każdego, dla kogo pisarstwo *zobowiązuje* także moralnie i społecznie.

Zarysy systematyzacji nauk społecznych

Omawiając osiągnięcia III Zjazdu Socjologicznego w warszawskiej „Kulturze" Jan Szczepański zastanawiał się, czy można mówić o „polskiej szkole socjologii" i udzielił na to pytanie następującej odpowiedzi.

W pewnym sensie tak. Mamy swoje wyraźnie zarysowane problemy, nad którymi pracują duże zespoły. Mamy swoiste zespoły założeń teoretycznych i metodologicznych, nadbudowanych nad ogólnymi koncepcjami materializmu historycznego, lecz wykorzystujących wszystkie osiągnięcia współczesnych technik badań empirycznych. Są więc spełnione ogólne warunki powstania takiej szkoły.

Czy ocena sytuacji oglądanej oczyma czołowego krajowego socjologa jest zgodna z oceną podjętą z zewnątrz przez niezaangażowanego obserwatora?

Jest rzeczą przedwczesną mówić o polskiej szkole socjologii. Można przytoczyć wiele względów przemawiających za tą oceną, ale dwa z nich całkowicie wystarczą na jej uzasadnienie. Nie ma odrębnej szkoły socjologii w Polsce w tym samym sensie w jakim nie ma jej w Anglii, Francji lub Niemczech Zachodnich. We wszystkich tych krajach socjologia jest mniej lub bardziej zależna od socjologii amerykańskiej, nie świeci światłem własnym a zapożyczonym. Socjologii w Polsce brak jest samodzielności, jej założenia, aparat pojęciowy, metody i techniki badawcze, nawet terminologia czerpią obficie z dorobku socjologii amerykańskiej. Dotyczy to również tych socjologów, którzy w kraju uchodzą za surowych krytyków amerykańskiej socjologii z marksistowskich pozycji, ale w rzeczywistości produkują inteligentne streszczenia krytycznych i polemicznych argumentów, jakie można znaleźć w socjologicznej literaturze amerykańskiej.

Nie tylko brak samodzielności podważa tezę o istnieniu odrębnej szkoły w Polsce. Do tego samego wniosku prowadzi analiza problemowej zawartości licznych publikacji socjologicznych ukazujących się w kraju. Są to w olbrzymiej części studia, które gromadzą, porządkują i analizują fakty oraz dostarczają socjologicznego opisu Polski współczesnej. Natomiast nie stawiają sobie one na celu formułowania i empirycznej weryfikacji hipotez i teorii o ogólnym charakterze, sprawdzających się w każdym społeczeństwie, niezależnie od jego granic geograficznych, odrębności historycznych lub kulturowych. Socjologia w Polsce jest socjografią, socjologią historyczną, a nie socjologią teoretyczną. W tym stanie rzeczy nie można mówić o polskiej szkole socjo-

logii, gdyż szkoły w nauce nie powstają przez nagromadzenie studiów historyczno-opisowych. Nie ma szkoły w socjologii bez samodzielnej intelektualnej inwencji w zakresie teoretycznych i metodologicznych założeń.

Powyższe uwagi nie są pisane w duchu nieżyczliwej i negatywnej krytyki. Socjologia ma dwa zadania, mianowicie, ma zbierać fakty i budować teorie. W realizacji tych zadań istnieje pewien naturalny porządek w czasie. Niezależnie od tego gromadzenie i opis faktów mają doniosłą funkcję społeczną, gdyż opisowa wiedza o społeczeństwie dostarcza podstaw do racjonalnych decyzji praktycznych. Tylko doktrynerzy i dogmatycy znają fakty przed ich zbadaniem. We współczesnych społeczeństwach podlegających stałym i szybkim zmianom istnieje nieustanna obawa, najczęściej uzasadniona, iż przemiany rzeczywistości społecznej znacznie wyprzedzają wysiłki ich uchwycenia i opisu. Pod tym względem postęp socjologii polskiej w ostatnich 10 latach jest w stosunku do okresu przedwojennego niewątpliwy i niezwykle pomyślny. Polska, jak podkreślił to Szczepański we wspomnianym artykule, posiada obecnie kilkuset socjologów wychowanych po wojnie, którzy są doskonale obznajmieni ze współczesnymi technikami badań empirycznych i są w stanie prowadzić badania społeczne na szerokim froncie.

Socjologia teoretyczna zmierza do wiedzy uniwersalnej, socjologia historyczna zajmuje się tym tylko, co dotyczy ograniczonego rejonu czasu i przestrzeni. W tym sensie można socjologię historyczną określić mianem prowincjonalnej. Prowincjonalizm nie jest specyficzną cechą polskiej socjologii, ale w mniejszym lub większym stopniu cechą socjologii wszystkich krajów, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych. Ponieważ zainteresowania opisowe dominują w nich nad teoretycznymi, element lokalny nad uniwersalnym, socjologowie różnych krajów są socjograficzną analizą własnych tylko społeczeństw. Socjologia amerykańska, angielska, francuska lub polska dostarczają materiałów porównawczych, ale ich wspólny składnik uniwersalnej wiedzy teoretycznej jest bardzo skromny. Jeśli pominiemy ściśle ogólne twierdzenia o banalnej treści, na przykład, „wszyscy ludzie ubiegają się o nagrody i unikają kar", których uniwersalność przypuszczalnie wynika z faktu, iż nie są twierdzeniami empirycznymi, a analitycznymi, składnik wiedzy uniwersalnej zawartej w prowincjonalnych socjologiach sprowadza się niemal wyłącznie do zasobu wspólnych pojęć i definicji. Badania amerykańskie mogą inspirować podobne badania w Niemczech lub w Polsce i dostarczać im wypróbowanej aparatury pojęciowej, ale każde z nich z osobna zbiera i porządkuje informacje jedynie o jednym kraju i okresie czasu. Nie wzbogacają one natomiast wiedzy o grupach społecznych, o działaniu społecznych systemów, o zachowaniu jednostek ludzkich i ich współdziałaniu, która sprawdziłaby się w każdym społeczeństwie i w każdym odcinku czasu.

Jeśli słuszne jest twierdzenie, iż socjologia historyczna jest dominującą tendencją we współczesnej socjologii, tym bardziej

cenne są wysiłki nielicznych jednostek rozsianych we wszystkich krajach świata, które nie rezygnują z wysiłków rozwijania teoretycznej socjologii. Nie musi to oznaczać, powtórzmy to raz jeszcze, iż na skali ocen socjologia teoretyczna nieodmiennie i pod każdym względem zajmuje miejsce wyższe aniżeli socjologia historyczno-opisowa. Obie są potrzebne i nie ma powodu, by jedną stawiać wyżej niż drugą. Chodzi natomiast o zachowanie równowagi między zamierzeniami teoretycznymi i opisowymi, która została dotkliwie naruszona przez koncentrację ludzkich umiejętności, talentu i czasu na zadaniach historyczno-opisowych.

W Polsce zachwianie równowagi między obu tendencjami jest może bardziej widoczne aniżeli w wielu innych krajach, gdyż pokolenie które poprzedziło współczesną generację i położyło podwaliny pod socjologię jako dyscyplinę akademicką, składało się w przeważającej mierze z teoretyków o niepośledniej indywidualności, twórczej inwencji i dorobku naukowym. Współczesna generacja, jak była o tym mowa, uprawia socjologię historyczno-opisową, a tylko bardzo nieliczne jednostki idą w ślady działalności Czarnowskiego, Krzywickiego i Znanieckiego. W tej nielicznej grupie troje uczonych, Stanisław Ossowski, Maria Ossowska i Andrzej Malewski ma doniosłe osiągnięcia i zyskało rozgłos przekraczający granice własnego kraju. Z wieku Ossowscy są na pograniczu między przedwojennym pokoleniem teoretyków oraz pokoleniem współczesnym zainteresowanym niemal wyłącznie zbieraniem wiedzy socjologicznej o własnym kraju. Malewski należał wiekiem do współczesnej generacji i pod wieloma względami był jej doskonałym przedstawicielem. Jeśli jednak mowa o orientacji naukowej, ten młody uczony o niezwykłych talentach chodził od początku własnymi drogami i reprezentował, jak każdy oryginalny umysł, tylko samego siebie.

Ostatnia publikacja Malewskiego *O zastosowaniu teorii zachowania*[1] nie jest łatwą lekturą. Wolno również wątpić, czy książka ta ukazałaby się w obecnej formie, gdyby autor żył dłużej i miał możność spojrzeć na nią raz jeszcze krytycznym okiem. Dotyczy to zarówno podstawowych metodologicznych koncepcji jak i spraw merytorycznych. Zanim jednak zajmiemy się niedociągnięciami książki, należy wyjaśnić na czym polegają jej zalety i oryginalność.

Jak wiele nowych pomysłów, podstawowe idee książki *O zastosowaniu teorii zachowania* są niezwykle proste. W naukach społecznych jesteśmy świadkami daleko posuniętej specjalizacji, stałego zawężania się zakresu badanych faktów i stosowania coraz bardziej skomplikowanych i pracochłonnych technik badań empirycznych. Jednym z niepomyślnych następstw tego stanu rzeczy jest nagromadzenie olbrzymiej ilości nie powiązanych z sobą faktów, rozpadających się na liczne odrębne dyscypliny, istniejące obok siebie w całkowitej izolacji. Innym nie-

1. PWN 1964, str. XII i 186.

pomyślnym następstwem jest banalność hipotez i praw socjologicznych formułowanych w warunkach daleko posuniętej specjalizacji i wzajemnej izolacji poszczególnych dyscyplin. Banalność hipotez i praw socjologicznych jest wynikiem ich wysokiego stopnia prawdopodobieństwa łącznie z ich niską zawartością informacyjną.

Wielu socjologów i przedstawicieli innych nauk społecznych zdaje sobie sprawę z tego stanu rzeczy, ale jego naprawę wiąże z nadzieją pojawienia się socjologicznego Newtona, który wyprodukuje socjologiczny odpowiednik *Philosophiae Naturalis Principia Mathematica* i pokaże, jak wielka liczba różnorodnych i szczegółowych prawidłowości socjologicznych wynika z kilku podstawowych praw analogicznych do praw ruchu w newtonowskiej mechanice. W przeciwstawieniu do nich Malewski uważał, iż istnieje już dzisiaj możliwość systematyzacji zasobu wiedzy socjologicznej pod warunkiem zastosowania właściwych założeń metodologicznych.

> Wszelkie nowe kroki zmierzające w kierunku integracji nauk społecznych są dziś znacznie ułatwione przez prace tych autorów, którzy podejmowali próby formułowania teorii dotyczących zachowań jednostek i funkcjonowania systemów społecznych, albo którzy próbowali stosować istniejące teorie do wyjaśniania uogólnień sformułowanych na niższym szczeblu ogólności, albo którzy podejmowali badania zmierzające do rozbudowania lub zmodyfikowania zastanych teorii.

Malewski ma na myśli przede wszystkim uczonych, którzy rozwijają naukę lub nauki o zachowaniu *(the behavioral sciences)* i do których zalicza czystych psychologów behawiorystów (C. L. Hulla, K. W. Spence'a, O. H. Mowrera, B. F. Skinnera), psychologów społecznych (L. Festingera, J. W. Thibauta, H. H. Kelleya, S. Schachtera, F. Heidera, D. Cartwrighta) i socjologów teoretyków (G. C. Homansa, R. K. Mertona, H. L. Zettenberga).

Pojęcie nauk o zachowaniu jest pojęciem nowym, ukutym w Stanach Zjednoczonych przed mniej więcej dziesięciu laty. Służy ono do wyodrębnienia pewnego określonego zespołu zagadnień tradycyjnie przynależnych do nauk społecznych (antropologii społecznej, socjologii, psychologii społecznej, nauk politycznych, ekonomiki i historii), które tworzą jednolitą całość ponieważ zajmują się wyłącznie tym samym przedmiotem badań — społecznym zachowaniem człowieka w jego różnych aspektach, oraz stosują tę samą metodę badawczą, wzorowaną na naukach przyrodniczych. Malewski posługuje się terminem „nauka o zachowaniu" najczęściej w sensie wyżej wyjaśnionym, ale wprowadza go początkowo w znacznie węższym znaczeniu, mianowicie, na oznaczenie psychologicznych teorii uczenia się i teorii odruchów warunkowych. Czasem wynikać z tego mogą nieporozumienia między czytelnikiem a autorem, gdyż behawioryzm psychologiczny nie jest wystarczającą bazą dla budowania teorii socjopsychologicznych i socjologicznych. Malewski chyba jednak podzielał te zastrzeżenia pod adresem psychologicznego behawio-

ryzmu, gdyż jako przykłady twierdzeń teorii zachowania podaje on, między innymi, następujące tezy:

> Prawdopodobieństwo występowania reakcji wzrasta wraz ze wzrostem wartości, częstości i regularności nagród otrzymywanych w następstwie tego rodzaju reakcji.
>
> Jeżeli jakaś nagroda jest często powtarzana w krótkim okresie czasu, to każda następna nagroda tego samego rodzaju w coraz mniejszym stopniu zwiększa prawdopodobieństwo wystąpienia nagradzanych reakcji.
>
> Gdy powtarzanie jakiejś wyuczonej reakcji nie przynosi żadnych nagród, prawdopodobieństwo występowania tej reakcji stopniowo słabnie.

Jak te przykłady wskazują, teoria zachowania jest systemem twierdzeń o zmianach zachowań ludzkich pod wpływem poprzednich doświadczeń, sformułowanych w terminach reakcji, działania, nagrody i kary, oraz pojęć dających się przy ich pomocy zdefiniować. Pojęcia nagrody i kary, zaczerpnięte z teorii behawiorystycznych, są bardzo ubogie i dla celów socjo-psychologicznych i socjologicznych są uogólniane w świetle aktualnych społecznych doświadczeń ludzi. Tak na przykład nagroda w sensie socjo-psychologicznym może polegać na zmniejszeniu lub usunięciu niezgodności przekonań lub niezgodności statusu. Jest rzeczą jasną, iż tego rodzaju różnicowanie skali nagród i kar zwiększa użyteczność teorii dla analizy ludzkich zachowań. Z socjo-psychologicznego i socjologicznego punktu widzenia jest rzeczą istotną, by w ramach teorii zachowania człowiek był dla człowieka „bodźcem społecznym" i posiadał uniwersalną tendencję wywoływania reakcji u innych. Jest to niezbędne dla behawiorystycznie zorientowanej socjologii, która zakłada, iż fakty lub zjawiska społeczne są skutkami jednostkowych zachowań.

Zastosowanie teorii zachowania dla integracji nauk społecznych wymaga jednak pewnych zabiegów przygotowawczych. Sformułowanie dyrektyw metodologicznych niezbędnych w systematyzacji istniejącej wiedzy o ludzkich zachowaniach i na tej podstawie o działaniu systemów społecznych stanowi istotne *novum* książki Malewskiego. Jego propozycje metodologiczne sprowadzają się do trzech dyrektyw: 1) Niski stopień systematyzacji nagromadzonej wiedzy o ludzkich zachowaniach jest wynikiem stosowania różnych technik badawczych oraz opisywania rezultatów badań w terminach o nieporównywalnych znaczeniach lub przy pomocy pojęć o różnym stopniu ogólności. Należy przeto zaprzestać wprowadzania nowych pojęć i terminów, jeżeli nie są one niezbędne dla formułowania hipotez ogólnych i nie dają się zdefiniować w ramach teorii zachowania. 2) Należy przekształcać opisy zachowań w twierdzenia teoretyczne wyrażające związki zależności między różnymi typami zachowań. (Dla nie wtajemniczonych warto może dodać, iż jasno i zwięźle sformułowane twierdzenia są w dziełach socjologicznych rzadkością;

często czytać można dziesiątki lub setki stronic wypełnionych impresjami, opisami, sugestiami, propozycjami i spekulacjami zanim napotka się pierwsze twierdzenie. Formułowanie twierdzeń socjologicznych jest rzeczą trudną, co jednak nie oznacza, iż należy poniechać tego zabiegu całkowicie. Nic nie pomaga bardziej w rozeznaniu, iż genialna myśl socjologiczna jest banałem, jak wypowiedzenie jej w krótkim zdaniu przy użyciu takich terminów, które są jednoznacznie rozumiane przez autora i jego czytelników). 3) Twierdzenie socjo-psychologiczne i socjologiczne oparte bezpośrednio na wynikach badań empirycznych mają zazwyczaj wąski i bliżej nieokreślony zakres stosowalności. Twierdzenia o niskim szczeblu ogólności należy przeto wyprowadzać z twierdzeń bardziej ogólnych, dających się wywnioskować z podstawowych założeń teorii zachowania. Wyprowadzanie twierdzeń mniej ogólnych z bardziej ogólnych wymaga zazwyczaj wprowadzenia dodatkowych przesłanek wyszczególniających warunki, w jakich spełniają się twierdzenia bardziej szczegółowe.

Dla wyjaśnienia postępowania opartego na trzeciej dyrektywie metodologicznej weźmy jako przykład następujące twierdzenie:

> Członkowie grupy bardzo popularni lub mający wysoki status częściej wybierają się wzajemnie i kontaktują ze sobą aniżeli członkowie grupy mało popularni lub mający niski status. (T^3).

Twierdzenie T^3 można wyprowadzić z bardziej ogólnego twierdzenia teorii zachowania:

> Im bardziej zachowania jakiegoś członka grupy są źródłem nagrody dla innych, tym częściej będą oni go wybierać i tym chętniej będą się z nim kontaktować, (T^1),

oraz warunku ograniczającego:

> Kontakty z członkami grupy mającymi wysoką popularność lub wysoki status przynoszą większe nagrody aniżeli kontakty z członkami o niskiej popularności lub niskim statusie. (T^2).

Mając do dyspozycji T^1 i T^2 możemy bądź zadowolić się faktem, iż T^3 wynika z T^1 i T^2 oraz że T^3 stwierdza zależność o niższym szczeblu ogólności niż T^1, bądź też nadać T^3 nowe i dokładniejsze sformułowanie umieszczając T^2 w poprzedniku i T^3 w następniku okresu warunkowego. Uzyskamy wówczas tezę nową, T^4, której wyższość nad T^3 polega między innymi na tym, iż wyraża kumulatywność wiedzy o ludzkim zachowaniu. T^4 ma następujące brzmienie:

> Jeżeli kontakty z członkami grupy mającymi wysoką popularność przynoszą większości członków większe nagrody niż kontakty z członkami o niskiej popularności, to członkowie bardzo popularni częściej wybierają się wzajemnie i kontaktują się ze sobą aniżeli członkowie grupy mało popularni.

Korzyści płynące z konsekwentnego przestrzegania trzech dyrektyw metodologicznych Malewskiego byłyby niewątpliwe. Można oczekiwać, iż dokonałby się w ten sposób znaczny krok naprzód w uporządkowaniu istniejącej wiedzy o ludzkich zachowaniach oraz iż powstałyby warunki sprzyjające kumulatywnemu narastaniu wiedzy socjologicznej, systematycznej modyfikacji istniejących uogólnień empirycznych oraz formułowaniu hipotez i pomysłów poszerzających granice poznania. Z tych jednak względów należy wytknąć pewne niejasności i zaniedbania omawianych propozycji metodologicznych.

Malewski nie rozróżnia twierdzeń ściśle ogólnych i twierdzeń statystycznych lub probabilistycznych. To rozróżnienie jest doniosłe dla wszystkich nauk, ale w szczególności dla nauk społecznych, ponieważ twierdzenia ściśle ogólne występują w naukach społecznych bardzo rzadko, a twierdzenia statystyczne są regułą. Tak na przykład twierdzenie:

> Jeżeli pod presją zewnętrzną ludzie zachowują się niezgodnie z własnymi przekonaniami, to występuje w nich tendencja do zmiany przekonań i akceptacji zewnętrznego zachowania,

jest pomimo uniwersalistycznej szaty słownej twierdzeniem probabilistycznym. Mówi ono o tym, co ma miejsce zazwyczaj, w znacznej części wypadków, a nie o tym co ma miejsce nieodmiennie, tak że zawsze gdy spełniony jest poprzednik okresu warunkowego, to spełniony jest również jego następnik. Niektórzy bowiem ludzie nie zachowują się stosownie do presji zewnętrznych okoliczności i przekonań swych nie zmieniają, ale to odstępstwo od reguły nie narusza wysokiego prawdopodobieństwa statystycznie rozumianego twierdzenia.

Odnosi się wrażenie, iż brak rozróżnienia twierdzeń ściśle ogólnych i probabilistycznych nie jest wynikiem przypadku lub przeoczenia. Malewski zdaje się hołdować poglądowi, iż twierdzenia probabilistyczne obrazują przejściową fazę i prymitywny okres w rozwoju nauk społecznych. Ponieważ nasza wiedza o ludzkich zachowaniach jest uboga i niedoskonała, musimy się zadowolić twierdzeniami w przybliżeniu prawdziwymi. W miarę jednak tego jak coraz dokładniej będziemy opisywać warunki, od których zależy spełnianie się zależności wyrażonej w danym twierdzeniu, będziemy coraz bardziej ulepszać opis przybliżony i ostatecznie dotrzemy do twierdzeń ściśle ogólnych. Jeśli Malewski rzeczywiście przypuszczał iż można w ten sposób przekształcić twierdzenia probabilistyczne w twierdzenia ściśle ogólne, był on na błędnej drodze.

Rozróżnienie twierdzeń ściśle ogólnych i probabilistycznych nie narusza w żaden sposób trzeciej reguły metodologicznej, którą można stosować niezależnie od tego, czy mamy do czynienia z twierdzeniami ściśle ogólnymi lub probabilistycznymi. W metodologii nauk często dzielimy rozumowania na dedukcyjne i redukcyjne. Dedukcyjnym jest takie rozumowanie, które przebiega zgodnie z kierunkiem wynikania, to znaczy, od racji do następ-

stwa, redukcyjnym zaś gdy biegnie przeciw kierunkowi wynikania, to znaczy, gdy rozumujemy od następstwa do racji. Za Łukasiewiczem typ rozumowania, który do następstwa uznanego za prawdziwe poszukuje racji, nazywa się tłumaczeniem. W nauce pełno jest przykładów tłumaczenia, gdyż jeśli tylko formułujemy jakąś hipotezę, pod którą dane zjawisko podpada, lub domyślamy się prawa bardziej ogólnego, z którego mniej ogólne prawo wynika, rozumujemy redukcyjnie i tłumaczymy w wyżej wyjaśnionym znaczeniu tego słowa.

Jasną jest rzeczą, iż „wyjaśnianie twierdzeń teoretycznych", którym zajmuje się trzecia reguła metodologiczna Malewskiego, jest szczególnym przypadkiem tej odmiany rozumowania redukcyjnego, które nazywa się tłumaczeniem. Wyjaśnić bowiem pewien fakt lub prawo jest to podać rację logiczną dla zdania stwierdzającego ten fakt lub prawo, taką mianowicie rację z której w połączeniu z innymi twierdzeniami zdanie stwierdzające fakt lub prawo logicznie wynika. Wyjaśnienie o tej strukturze formalnej ma prawo obywatelstwa w nauce od czasów Arystotelesa. Na nim bowiem opiera się odkrywanie i budowanie nauki jako logicznie uporządkowanego systemu twierdzeń. Zastosowanie tłumaczenia do twierdzeń statystycznych, których prawdopodobieństwo jest wyznaczone przy pomocy matematycznej teorii prawdopodobieństwa, nasuwa szereg technicznie skomplikowanych problemów. Nie istnieją one natomiast, gdy prawdopodobieństwo statystycznego twierdzenia wyraża logiczny stosunek tego twierdzenia do pewnego zbioru zdań, to znaczy, gdy mamy na myśli prawdopodobieńswo zdań a nie zdarzeń, a ten rodzaj prawdopodobieństwa wchodzi najczęściej w grę w wypadku probabilistycznych twierdzeń nauk społecznych.

O zastosowaniu teorii zachowania jest raczej pierwszym zarysem planowanej książki aniżeli dziełem wszechstronnie przemyślanym, pomysłem wyrzuconym na papier aniżeli koncepcją konsekwentnie przeprowadzoną i wykończoną w szczegółach, czego niestety autor nie zdążył dokonać. Jednak nawet w obecnej niedoskonałej formie, pośmiertna książka Malewskiego jest jedną z najbardziej wartościowych publikacji w dziedzinie nauk społecznych w języku polskim ostatnich 20 lat. Można ją postawić obok *Podstaw nauki o moralności* Marii Ossowskiej i *Struktury klasowej w społecznej świadomości* Stanisława Ossowskiego, gdyż różniąc się od nich całkowicie zamierzeniem, podejściem teoretycznym i metodologicznym, dorównuje im ambicją, oryginalnością i twórczością zawartych w nich idei. Starsi przyjaciele i znajomi Malewskiego myślą z żalem o wielkiej stracie, jaką polska nauka i kultura umysłowa poniosła przez przedwczesne zgaśnięcie tak wybitnego intelektu. Może wśród młodszych, mimo odmienności zainteresowań, znajdą się następcy, którzy zajmą się dalszym rozwinięciem idei i pomysłów, jakie czynią z pośmiertnej książki Malewskiego niepoślednie osiągnięcie.

Zbigniew A. JORDAN

Malewski

Niniejsza książka jest ostatnią pracą Andrzeja Malewskiego, dwudziestą pierwszą pozycję dorobku naukowego przerwanego nagle śmiercią w jesieni 1963 roku. Od pierwszego artykułu, opublikowanego w roku 1956, pt. *Postulaty praktycznej użyteczności a rozwój nauk społecznych*, zajmował się on praktycznymi aspektami nauk społecznych — jeżeli przez praktyczne aspekty rozumiemy dążenie do wyjaśnienia sobie, w jaki sposób nauki społeczne mogą się przyczyniać do rozwiązywania ludzkich problemów i codziennych spraw naszego życia. Mniej interesowały go wielkie procesy zachodzące w makrostrukturach, chociaż i te zagadnienia nie były mu obce, gdyż szereg opracowań poświęcił metodologicznym problemom badania procesów historycznych zmieniających społeczeństwa globalne. Jednakże zasadnicze zainteresowanie jego krótkiej, a jakże świetnej, działalności naukowej skupiało się na procesach wewnętrznego życia jednostki, na badaniu sił tkwiących immanentnie w człowieku, na analizowaniu sił motorycznych pchających jednostki ludzkie w sposób nieodparty i nieprzezwyciężony do codziennych zabiegów, dążeń i działań. Można by powiedzieć, że Andrzej Malewski był zafascynowany tą odwieczną grą sił w człowieku, przejawiającą się w dziejach w sposób niezmienny, regulującą i wyznaczającą wzajemne oddziaływania i stosunki między ludźmi, a jednocześnie stwarzającą niepowtarzalne indywidualności z ich osobistymi impulsami, ideałami, konfliktami i klęskami. Nauka nie była dla niego akademickim zajęciem, chociaż z całą siłą wewnętrznego przekonania podkreślił konieczność dążenia do obiektywnego poznania jako zasadniczą cechę nauki. Wyróżniając już w swoim pierwszym artykule trzy funkcje nauki, a mianowicie: diagnostyczną, ideologiczną i prewidystyczną, tę ostatnią uważał za najdonioślejszą, gdyż sądził, że ona właśnie jest środkiem do rozwiązywania ludzkich spraw, jakże zrozumiałych w chwilach olśnień wewnętrznej refleksji, a jakże trudnych do ujęcia w racjonalnych kategoriach naukowego wyjaśnienia, Andrzej Malewski szukał racjonalnego klucza do ludzkich niepokojów i rozterek, ich projekcji na stosunki z bliźnimi, klucza do wyjaśnienia zarówno monotonii zachowań człowieka w toku dziejów, jak i niezrozumiałych zachowań w prostych sytuacjach.

Dojrzewał w epoce zbiorowego szaleństwa. Brał czynny udział w krwawych obrachunkach tych czasów. Najmłodszy żołnierz batalionu „Parasol", odznaczony Krzyżem Walecznych jako piętnastoletni chłopiec, ciężko ranny 31 sierpnia 1944 roku w próbie przebicia się ze Starego Miasta do Śródmieścia, jak tylu innych rówieśników pytał o sens, o przyczyny tego, co się działo wokół niego, i odpowiedzi szukał w starannych, żmudnych i pozornie dalekich od rzeczywistości analizach psychospołecznych mechanizmów ludzkiego zachowania. Poprawność metodologiczna była jedną pasją jego poszukiwań, rozumiał bowiem dobrze jej doniosłość; była gwarancją uzyskania poprawnej odpowiedzi. Niektórzy sądzili, że jest to zabawa sama dla siebie, ostrzenie precyzyjnych narzędzi dla subtelnych gier pojęciowych. Andrzej Malewski uważał dążenie do metodologicznej poprawności badań za niezwykle ważny warunek praktycznych rozwiązań naukowych. Tylko nauka logicznie poprawna może spełniać funkcję diagnostyczną i prewidystyczną, a zatem stać się podstawą naukowego wyjaśnienia, podstawą teorii, z której można będzie wyprowadzać praktyczne programy rozwiązywania spraw ludzkich. Jednakże ze względu na obecny stan nauk społecznych autor obawiał się bardziej prac jałowych i banalnych niż prac kontrowersyjnych i nasuwają-

cych zastrzeżenia z punktu widzenia precyzji używanych w nich terminów teoretycznych. Niniejsza książka jest wyrazem skrystalizowanych już poglądów, jest próbą rozprawienia się z problemami, które uważał za istotne. Jeżeli bowiem nauki społeczne mają dać klucz do wyjaśnienia mechanizmów psychospołecznych oddziaływań ludzi, a więc zarówno do zjawisk codziennego współżycia, jak i masowych procesów zmieniających makrostruktury, to trzeba znaleźć jakąś wspólną platformę, na której zbierać i spotykać się będą wyniki szybko się różnicujących dyscyplin, nauk społecznych dzielących się w procesie specjalizacji na coraz mniejsze przedziały. Widział potrzebę teorii jednoczącej nauki społeczne i przeciwdziałającej dezintegracji nauk społecznych.

Taką platformą była dla niego teoria zachowania. We wstępie do wyboru prac z psychologii społecznej pisał: „Narzuca się potrzeba syntezy nowych technik badawczych rozwiniętych w badaniach opisowych, w laboratoriach i w klinikach, oraz pomysłów teoretycznych wywodzących się z różnych tradycji. W różnych ośrodkach badawczych wystąpiły tendencje do podejmowania badań weryfikacyjnych, zmierzających do sprawdzania, modyfikowania i wzbogacania zastanych w literaturze hipotez dotyczących ogólnych zależności, do reinterpretowania korelacji wykrytych w badaniach empirycznych i do systematyzowania nagromadzonej wiedzy teoretycznej, ukazywania jej aktualnego stanu i nie rozwiązanych problemów wymagających dalszych badań". Teoria zachowania jest usystematyzowaną wiedzą o działaniach jednostek i funkcjonowaniu systemów z nich złożonych.

Książka niniejsza jest wynikiem wieloletnich refleksji i badań Autora. Jest ona próbą stworzenia spójnego systemu teoretycznego, w którym twierdzenia mniej ogólne o ludzkim zachowaniu byłyby podporządkowane niewielu tezom ogólnym. Znajdziemy tu nie tylko przegląd różnych teorii dotyczących różnych aspektów zachowań społecznych, lecz także próbę sformułowania twierdzeń ogólnych. Chociaż tradycje ogólnej teorii zachowania sięgają daleko w przeszłość refleksji nad człowiekiem, to jednak dorobek badań empirycznych nie jest stosunkowo duży, a propozycji teoretycznych jego kodyfikacji niewiele. Autor dokonuje krytycznego przeglądu tych najbardziej znanych propozycji. Czytelnik znajdzie więc w książce także rodzaj wprowadzenia do aktualnego stanu badań w tej dziedzinie.

Chciałbym podkreślić niektóre cechy warsztatu naukowego Andrzeja Malewskiego. Czytelnik łatwo spostrzeże, że podjął on w tej książce ambitną próbę systematyzacji, integracji i dokonania syntezy wielu badań empirycznych, wielu pomysłów i propozycji teorii średniego zasięgu czy też różnych teorii *ad hoc*. Żeby jednak podjąć się takiej próby, Autor musiał dokonać ogromnej pracy przestudiowania literatury przedmiotu. Erudycja wykazana w tej książce jest zadziwiająca. Autor porusza się swobodnie po dziedzinach psychologii ogólnej, psychologii społecznej, socjologii i ekonomii. W tych bowiem wszystkich naukach szuka przyczynków do tworzonej teorii ogólnej wyjaśniającej ludzkie zachowania. Podkreślmy dalej kulturę metodologiczną wysokiej klasy. Mówiłem już o wadze, jaką Andrzej Malewski nadawał poprawności metodologicznej. Książka niniejsza jest przykładem, jak wygląda staranność metodologiczna w stawianiu zagadnień, precyzowaniu pojęć i szukaniu rozwiązań. Obecnie w socjologii polskiej toczą się długie dyskusje o konstruowaniu teorii, o wyjściu z badań opisowych i materiałowych do uogólnień teoretycznych. Książka Andrzeja Malewskiego jest przykładem modelowym konstruowania teorii. Jest nie tylko przykładem o walorach dydaktycznych dla tych pracowników nauki, którzy szukają wzorów konstruowania teorii, lecz przede wszystkim wnosi teorię do dorobku naszej socjologii i psychologii społecznej, daje orientację i podstawę do dyskusji. Trzeba także wspomnieć o innych walorach dydaktycznych tej książki,

mianowicie jej ogromnej przydatności dla studentów, którzy w niej szukać będą konkretnych wiadomości z zakresu teorii zachowania.

Gdy umiera uczony, który w ciągu długiego życia miał możność wypowiedzieć wszystkie swoje pomysły twórcze mówimy, że nauka poniosła niepowetowaną stratę. Jakich słów trzeba by użyć, aby określić stratę spowodowaną zgaśnięciem ogniska myśli, które już w pierwszych chwilach twórczości zabłysło tak silnym światłem?

Jan SZCZEPAŃSKI

Powyższy artykuł jest przedmową do książki Andrzeja Malewskiego pt. „O zastosowaniu teorii zachowania" (PWN, Warszawa 1964). Przedrukowujemy ją jako szkic informacyjny gdyż Malewski, zarówno z powodu młodego wieku jak i charakteru swej twórczości, jest znany bardzo niewielu. A należy upamiętnić jego postać tak reprezentatywną dla pierwszego powojennego pokolenia uczonych i badaczy.

Prof. Szczepański jest jednym z tych sygnatariuszy znanego memoriału „34", który w y c o f a ł swój podpis — podpisując list do Redakcji „Times'a". (Redakcja).

Stanisław Lam (1891-1965)

W *Bibliographie de la France* ukazało się wspomnienie pośmiertne o Stanisławie Lamie, które zamieszczamy poniżej w tłumaczeniu.

Stanisław Lam, kierownik Księgarni Polskiej w Paryżu zmarł w dniu 5 marca rb. Wraz z nim odszedł człowiek całkowicie związany z wydawnictwami i literaturą polską, będący przez wiele lat łącznikiem pomiędzy kulturami polską i francuską.

Zawsze z dobrodusznym uśmiechem spoglądający spoza swoich okularów, posiadał Stanisław Lam wielki zmysł obserwacyjny, cięty i ironiczny uśmiech księgarza, którym był z przypadku, a ponadto encyklopedyczną wiedzę i zapał, z którym całe swoje życie, przecięte dwiema wojnami, poświęcił książce.

Bratanek Jana Lama, autora satyrycznych powieści w stylu Thackeraya, Stanisław Lam urodził się w r. 1891 w Tarnopolu, w Galicji, będącej wówczas pod panowaniem austriackim. Studia ukończył z wynikiem celującym a mając lat zaledwie 18 lat opublikował pierwszą swoją pracę — esej o Stanisławie Wyspiańskim. Wkrótce potem został redaktorem wydawnictwa imienia Piotra Skargi we Lwowie. Po wybuchu pierwszej wojny światowej, zmobilizowany i wysłany na front włoski, następnie ranny, pracuje w dalszym ciągu naukowo i uzyskuje we Wiedniu doktorat z filozofii.

W okresie między dwiema wojnami odznacza się wybitną aktywnością. Osiada w Warszawie, pracuje jako krytyk literacki, historyk książki, bibliograf i wydawca, kieruje „Tygodnikiem Ilustrowanym", zakłada szereg pism jak „Przegląd Literacki" (1930) i „Nowa Książka", dozoruje szeregu serii wydawniczych jak np.: *Biblioteka Laureatów Nobla* (1922-1926); *Biblioteka Dzieł Wyborowych* (1924-1925); *Książki ciekawe* (1923); w tychże latach wydaje dwie prace bibliofilskie w językach polskim i francuskim: „Le beau livre", traité de l'esthétique d'imprimerie" (1922) i „Le livre polonais au

XV-e et XVI-e siècles" (1923), a jednocześnie w dalszym ciągu zajmuje się krytyką literacką wydając w r. 1924 „Współczesnych pisarzy polskich".

W r. 1924 zostaje naczelnym redaktorem wydawnictw Trzaska, Evert i Michalski i kieruje szeregiem publikacji encyklopedycznych o wielkim rozmachu, wydawanych w zeszytach, w ramach subskrypcji i które mają ogromne powodzenie. W ten sposób ukazują się: *Ilustrowana Encyklopedia Powszechna* (1924-1927); *Polska, jej dzieje i kultura* (1927-1933); *Wielka Historia Powszechna* (1932-1939); *Wielka Geografia Powszechna* (1933-1939); *Wielka Literatura Powszechna* oraz *Encyklopedia XX wieku.*

Wybucha druga wojna światowa która przerywa wszystkie te czynności w pełnym rozwoju. Aresztowany po raz pierwszy we Francji, w 1942 roku, przez władze włoskie, uwolniony w 1943, a następnie ponownie aresztowany przez Gestapo w 1944, dr Lam, po zakończeniu wojny, mianowany zostaje kierownikiem Księgarni Polskiej w Paryżu, przy 123, Bld. Saint Germain.

Księgarnia ta, założona przez emigrantów w 1833 roku, bogata w pamiątki i tradycje, była w 1944 roku pustym lokalem, ograbionym z wszystkiego. Mimo trudności i ograniczonych środków materialnych dr Lam natychmiast zabiera się do pracy. Wkrótce ukazują się: *Antologia poezji polskiej* i *Antologia prozy polskiej za lata 1939-1945,* a następnie *Podręczna Encyklopedia Powszechna* — pierwsza polska encyklopedia powojenna, *Tysiąc lat kultury polskiej, Wielka Emigracja* oraz szereg innych książek, a ostatnio *Biblioteka Pamiętników XX wieku.*

Stanisław Lam, dbając o zachowanie roli łącznika pomiędzy Francją a Polską, jaką odgrywała zawsze księgarnia, wydaje Korowicza *Dix siècles de relations franco-polonaises; Pologne d'hier et d'aujourd'hui; Stanislas-Auguste dernier roi de Pologne* J. P. Palewskiego oraz w języku polskim *Polska w pamiętnikach Generała de Gaulle'a.*

Pionier w wielu dziedzinach, niestrudzony w pracy nad rozwojem kultury polskiej, Stanisław Lam, z dala od kraju rodzinnego, umiał w swojej księgarni stworzyć atmosferę, która nawiązując do ponad stuletnich tradycji, szła z postępem czasu.

Alfons Bronarski (1891-1965)

Zmarły w dniu 11 maja rb. w Szwajcarii prof. Alfons Bronarski urodził się 13 marca 1891 r. w Tłumaczu (Galicja Wschodnia). Szkołę ukończył we Lwowie, a następnie studiował w Wiedniu i we Lwowie. Do Fryburga przyjechał w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej i na wydziale literatury tamtejszego uniwersytetu zdobył tytuł doktora tezą „Le petit Jehan de Sainte — une énigme littéraire".

W latach 1920-1923 był sekretarzem redakcji Encyklopedii Polskiej, wydawanej we Fryburgu i w Genewie staraniem Rady Narodowej Polaków w Ameryce. W r. 1925 Alfons Bronarski zapisał się na uniwersytet paryski, zaś w 1927 rozpoczął karierę dyplomatyczną jako szef biura prasowego polskiego poselstwa w Bernie. W dyplomacji pozostał aż do r. 1945, ale w międzyczasie, w r. 1929, został docentem uniwersytetu w Neuchâtel, gdzie wykładał język polski oraz historię literatury i kultury polskiej; w r. 1937 mianowano go profesorem nadzwyczajnym tegoż uniwersytetu; zaś od r. 1944 prowadził zlecone wykłady języka i literatury polskiej na uniwersytecie we Fryburgu.

Alfons Bronarski poświęcał wiele czasu sprawom polskim. Był długoletnim prezesem a potem prezesem honorowym Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii, założycielem Muzeum i Towarzystwa Kościuszkowskiego w Solurze oraz współzałożycielem Twa Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu jak również organizatorem wystaw mających na celu zbliżenie polsko- szwajcarskie.

Maria Kosko (1908-1965)

Maria Kosko, urodzona w Ozarzyńcach, pow. Mohylow Podolski, ukończyła szkoły średnie w Lozannie i w Poznaniu zaś studia wyższe na Wydz. Filozoficznym Uniwersytetu Poznańskiego (romanistyka) i na Sorbonie.

W r. 1935 otrzymała tytuł Docteur ès lettres na podstawie monografii „La fortune de ‚Quo Vadis' en France". W 1937 obejmuje lektorat języka polskiego na uniwersytecie w Lyonie, rozszerzony potem na uniwersytet w Grenoble.

W latach 1940-1944 nadal prowadzi kursy jęz. polskiego. Bierze udział w polskim Ruchu Oporu. Ścigana przez Gestapo ukrywa się pod przybranym nazwiskiem u pp. de Montfort w Paryżu.

W r. 1945 wyjeżdża do Kanady. Wykłada literaturę francuską na kilku uniwersytetach kanadyjskich oraz w Ameryce (New London, Connecticut). W r. 1950 obejmuje na stałe katedrę języka i literatury francuskiej w Queens College of the City University of New York, gdzie wykłada do listopada 1964 r.

W r. 1961 wydaje w Paryżu dwie książki: „Un best-seller 1900: „Quo Vadis" (Ed. Corti) i „Le Thème de Mateo Falcone" (Ed. Nizet).

W r. 1964 oddaje wydawcy gotową do druku monografię z dziedziny folkloru światowego — owoc 10 lat wytężonej pracy — pt. „Le Thème du ‚fils assasiné': tradition folklorique et littéraire". Książka ma się ukazać w roku bieżącym lub w przyszłym.

Komunikaty

ZEBRANIE POLSKIEGO INSTYTUTU NAUKOWEGO W AMERYCE

24 kwietnia 1965 r. odbyło się w siedzibie Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce 24-te ogólne zebranie doroczne jego członków, w którym uczestniczyło osobiście bądź per procura 117 osób.

Dyrektor dr J. Wszelaki omówił działalność P.I.N. podczas trzyletniej kadencji ustępującego Zarządu. W tym okresie liczba członków w U.S. podwoiła się, osiągając 282 osoby, a łącznie z Oddziałem w Kanadzie i członkami zamieszkałymi w Europie przekroczyła 450 osób. Odczytał on listę 42 osób przyjętych do P.I.N. w r. 1965. Biblioteka P.I.N. w Nowym Jorku wzrosła o 6200 jednostek do ogólnej liczby 20600 i ma zapewniony stały dopływ książek z Polski i z zapisów osób prywatnych. W r. 1964 wydano książkę zbiorową pod redakcją Prof. W. Lednickiego pt. ZYGMUNT KRASIŃSKI — ROMANTIC UNIVERSALIST, oraz zbiór wypowiedzeń zmarłego Pre-

zydenta pt. JOHN F. KENNEDY AND POLAND (drugi jej nakład po wyprzedaniu pierwszego ukazał się w końcu marca). Dr Wszelaki poruszył potrzebę koordynacji kilku organizacji kulturalnych w Nowym Jorku.

Sekretarz Generalny inż. D. Wandycz omówił odczyty i zebrania publiczne zorganizowane przez P.I.N. w roku sprawozdawczym, w tym akademie ku czci poety Kazimierza Wierzyńskiego, oraz nagrody im. Alfreda Jurzykowskiego, przyznane przez P.I.N. w grudniu 1964 po raz pierwszy. Redaktor THE POLISH REVIEW dr L. Krzyżanowski przedstawił pomyślny rozwój pisma w ubiegłym trzechleciu; wkroczyło ono w dziesiąty rok istnienia i zamieściło dotąd ponad 200 rozpraw z zakresu literatury, historii, sztuki i innych dyscyplin. Prof. T. Romer, dyrektor Oddziału P.I.N. w Kanadzie, zdał sprawę z jego działalności: liczba członków wzrosła w 1964 o 14 osób, uzyskano od Uniwersytetu McGill w Montrealu darmowy dwupiętrowy lokal na bibliotekę i biuro oddziału i przeprowadzono spis uczonych pochodzenia polskiego w Kanadzie (213 osób), który niedługo ukaże się w druku.

Zebranie zaleciło Zarządowi przygotowanie na następne zebranie doroczne uzgodnionego tekstu nowego regulaminu, którego opracowanie zostało powierzone komisji z pięciu osób. Komisja ma przygotować swe wnioski na jesieni. Dyrektor Wszelaki przedstawił plan działalności na rok następny, obejmujący m.in. wydanie drukiem spisu uczonych pochodzenia polskiego w Stanach Zjednoczonych.

Na zebraniu podkreślono potrzebę zwołania zjazdu uczonych polskiego pochodzenia w Ameryce w r. 1966 i polecono Zarządowi poczynienie odpowiednich przygotowań.

Zarząd został uzupełniony przez Dra J. Morelowskiego z Uniwersytetu St. John's, Queens i D-ra J. Wieczerzaka z Uniwersytetu Miejskiego Nowego Jorku — ten ostatni jest pierwszym członkiem Zarządu urodzonym w Ameryce. Wymienieni zostali wybrani na lata 1965-68, zostało wszakże ustalone, że po przyjęciu nowego regulaminu odbędą się w r. 1966 nowe wybory do władz P.I.N.

Zebrani uczcili minutą milczenia pamięć członków zmarłych w roku sprawozdawczym. Byli nimi Dr Mieczysław Fryde, profesor historii nauki na uniwersytetach: Columbia i Yeshiva w Nowym Jorku, Dr Marian Heitzman, prof. filozofii na St. Thomas College w St. Paul, Minn., Dr Mario Kosko, Prof. literatury francuskiej w Queens College, Rafał Malczewski, pisarz i malarz w Montrealu, oraz Dr David Thmopson, b. wice-pryncypał Uniwersytetu McGill w Montrealu.

POLSKA BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W AUSTRALII

Od czterech lat prowadzone są starania o utworzenie na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberze Lektoratu Nauki o Polsce *(Lectureship in Polish Studies)*. Zadaniem takiego lektoratu byłoby nie tylko nauczanie języka polskiego, ale również prowadzenie nauki o Polsce współczesnej. Są wszelkie warunki na to, że placówka ta będzie utworzona nie później niż w roku 1968. Zasadniczym jednak warunkiem, od którego będzie uzależniona decyzja Uniwersytetu, jest utworzenie odpowiedniego księgozbioru, składającego się z dzieł traktujących o Polsce, jak i książek polskich. Bez takiego księgozbioru nie może być mowy o rozpoczęciu pracy dydaktycznej i badawczej.

Biblioteka Uniwersytetu posiada już spory księgozbiór dzieł w języku angielskim na tematy polskie. Nowe pozycje są systematycznie kupowane. Brak natomiast dzieł w języku polskim. Przydałby się bardzo zestaw klasy-

ków polskiej literatury pięknej, histografii, myśli filozoficznej i nauk społecznych, zestaw poważniejszych periodyków wychodzących w Kraju i na emigracji, komplety Rocznika Statystycznego, atlasy geograficzne, albumy sztuk plastycznych, wydawnictwa krajoznawcze — słowem wszystko co się drukuje w kraju i na emigracji (nie wyłączając beletrystyki), a co dla pracownika nauki może być potrzebne.

Planowany księgozbiór polski pod nazwą *Polish Collection*, stanowić będzie oddzielną sekcję w Menzies Library, głównej bibliotece uniwersytetu przeznaczonej w pierwszym rzędzie dla doktorantów i starszych pracowników naukowych.

Niewątpliwie wiele osób prywatnych jak i organizacji posiada zbędne egzemplarze książek i periodyków polskich. Są też osoby, które chciałyby zapisać swoje księgozbiory w testamencie.

Książki i wszelkie wydawnictwa należy adresować: *Polish Collection, Menzies Library, The Australian National University, Canberra, A.C.T.*

Biblioteka gotowa jest pokryć koszty przesyłki. Każdy dar zaopatrzony będzie odpowiednim „Ex Libris" i pokwitowany.

◆

Doceniając znaczenie tej akcji Instytut Literacki ofiarował nowopowstającej bibliotece 332 tomy.

POLSKIE SUKCESY W MONACO

Jury VI Nagrody Muzycznej ustalonej przez księcia Rainiera III z Monaco obradowało w Monte-Carlo w dniach 26 kwiecień - 7 maj 1965 pod przewodnictwem Georges Auric'a.

Jury złożone z pp. Nadia Boulanger, Georges Auric i Roland Manuel (Francja), Vagn Holmboe (Dania), Alexei Haleff (Stany Zjednoczone), Lennox Berkeley (Wielka Brytania), Virgilio Mortari (Włochy), Zygmunt Mycielski (Polska), Dag Wiren (Szwecja), Conrad Beck (Szwajcaria) rozpatrzyło 290 partytur pochodzących z 41 krajów.

Wśród nagrodzonych znaleźli się Polacy, a mianowicie:

W kategorii „Muzyki scenicznej:

Nagroda w wysokości 30.000 F. przyznana została baletowi „Les statuts du sorcier" Romualda Twardowskiego, który otrzymał również pierwsze wyróżnienie w kategorii „Muzyki kameralnej" za „Canti antiqui". Romuald Twardowski, urodzony 17 czerwca 1930 roku, mieszka w Katowicach.

W kategorii „Muzyka na orkiestrę", wyróżnienie *ex-aequo* oraz nagrodę F. 2.500 otrzymał za „Troisième Symphonie à la mémoire de J.-F. Kennedy" Tadeusz Natanson, urodzony 26 stycznia 1927 roku, zamieszkały we Wrocławiu.

NAGRODY LITERACKIE

Na posiedzeniu w dniu 5 maja rb., jury w składzie: Michał Chmielowiec, Wacław Grubiński, Ryszard Kiersnowski, Ignacy Wieniewski, Wiesław Wohnout (przewodniczący) — przyznało za rok 1964 następujące nagrody:

Nagrodę im. Herminii Naglerowej, £50 ufundowaną przez mec. Chmielewskiego — *Edwardowi Raczyńskiemu;*

Nagrodę Domu Polskiego im. gen. Wł. Sikorskiego w Glasgow, £50., ufundowaną przez Two Społeczno Oświatowe w Glasgow — *Mieczysławowi Lisiewiczowi;*

Nagrodę A.K., dol. 100, ufundowaną przez Oddział Koła A.K. w Detroit — *Edwardowi Chudzyńskiemu.*

◆

Jury w tym samym składzie przyznało nagrodę publicystyczną, ufundowaną przez firmę „Tazab" — *Aleksandrowi Bregmanowi.* Nagroda wynosi £50.—

WITOLD GOMBROWICZ

Jury Międzynarodowej Nagrody Literackiej, które zebrało się w tym roku po raz piąty w St Raphaël, po kilkudniowych naradach przyznało tegoroczną nagrodę Amerykaninowi Saulowi Bellow za powieść pt. „Herzog". Do ostatniej chwili spodziewano się, że nagrodę otrzyma *Witold Gombrowicz* za „Pornografię". W pierwszym głosowaniu Bellow otrzymał dwa głosy, Japończyk Mishima jeden głos, zaś Gombrowicz cztery głosy; w drugim głosowaniu Gombrowicz i Bellow po 3 głosy, Mishima — jeden głos, dopiero w trzecim głosowaniu Gombrowicz — 3 głosy, a Bellow — 4 głosy, które zadecydowały o jego zwycięstwie. Międzynarodowa Nagroda Literacka przyznawana jest autorowi znanemu i uznanemu. Jury składa się z przedstawicieli Ameryki, Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, Skandynawii i Włoch.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Książki

" Zaklęte lata "

Książka Władysława Smólskiego ma świadczyć o tym, że poświęcenie się Polaków dla Żydów było omal powszechne i że tysiączne ich rzesze zostały zachowane przy życiu dzięki bohaterstwu warszawiaków. Książka, jak wyznaje sam autor we wstępie pisana jest dla tych, którzy niemieckiej okupacji w Warszawie nie przeżyli, a więc porównać jej treści z rzeczywistością tamtych lat nie mogą. Są jednak jeszcze tacy co ją zachowali w żywej pamięci i dla nich relacje p. Smólskiego są zupełnie nieprzekonywujące, jako że roją się od nieścisłości, uogólnień i nieprawdopodobieństw.

Kilka przykładów na chybił trafił: Kapitulacja Warszawy w 1939 r. „...doznajemy uczucia odprężenia. Z ustaniem kanonady wychodzimy ze schronu niemal pogodni. Zapominamy, że to klęska... To, że możemy chodzić po zalanych słońcem ulicach i oddychać świeżym powietrzem, przygłusza wszystko inne". (str. 31).

Jednocześnie z kapitulacją Warszawy zaczęły się nieprzerwane słoty. Rozwalone ulice były zalane błotem, cuchnęło trupem, sklepy były puste. Nie było chleba, wody, światła. Stało się na deszczu w długich ogonkach, przy nielicznych studniach lub źródłach po kubełek wody.

„...moja matka i ciotki rzucają się do zajęć gospodarskich, sprzątają, gotują, piorą. Zdaje się, że nic ich nie obchodzi przegrana wojna, ofiary, oczekująca nas niewola". (str. 32).

Co mogły te panie gotować, *jak* prać? I skąd autor czerpał swój pogodny nastrój przechadzając się po ulicach Warszawy „zalanych słońcem"?!

„Od kilku dni wiemy już o ucieczce rządu do Rumunii i obsadzeniu przez wojska radzieckie terenów za Bugiem. Ciekawe, że wiadomość ta nie budzi prawie w nikim oburzenia. Żaden Polak nie wierzy w przyjaźń rosyjsko-niemiecką..." (str. 29).

Prawie w nikim?! O dalszych poczynaniach władz sowieckich na terenach zajętych oczywiście ani słowa.

Żołnierze i oficerowie polscy zdesperowani klęską. „Wkrótce jednak oprzytomnieli i sprzedawszy chłopom, dawniej wojskowe a teraz bezpańskie już konie i różne rzeczy, rozpoczęli zyskowny handel". (str. 38).

Charakterystyczna łyżka dziegciu!

Wł. Smólski. *Zaklęte lata.* Inst. Wyd. „Pax", Warszawa, 1964.

„Z nędzy, rozpaczy umarło w pierwszych latach wojny paru znanych pisarzy: Lorentowicz, Sieroszewski, Berent". (str. 40).

Pisarze otrzymywali zapomogi z dyspozycyjnych, tajnych funduszów. O ile wiem, nikt z nich z nędzy nie umarł, ani z rozpaczy, bo im cięższe przeżywaliśmy chwile tym większe były nadzieje.

Strona 68: Inżynier Czerniakow prezes Rady Żydowskiej getta warszawskiego nie zabił się w kilka dni po rozpoczęciu „akcji" w getcie, ale — tejże chwili kiedy mu Niemcy kazali podpisać rozporządzenie transportów likwidacyjnych; Czerniakow wyszedł wtedy do drugiego pokoju i tam się zastrzelił. To był jedyny dostępny mu protest. Nikt nie mógł mu zarzucić — jak pisze Smólski — że *zezwolił* na pierwsze transporty chcąc „za cenę zagłady części uratować całość"!

„W parę tygodni po rozpoczęciu akcji w getcie — czytamy dalej — na Marszałkowskiej uderzyło mnie coś nieprawdopodobnego..." Pokazały się *setki*, jeśli nie *tysiące* twarzy o typie semickim, mężczyźni, kobiety, dzieci niosący swoje bagaże, stali w grupach, rozmawiając z aryjczykami. Radość ogarnęła autora na widok tylu Żydów, którzy się zdołali wydostać z getta (str. 77).

Czytelnik przeciera oczy. Kto to pisze? Ktoś co przeżył w Warszawie zagładę getta czy ktoś, co tylko o nim słyszał z opowiadań? Ktoś, który wiedział na ile getto było strzeżone, właśnie w okresie „akcji" i na jakie trudności natrafiał każdy chcąc uratować *jednego* tylko człowieka, i zapewnić mu bezpieczeństwo, czy ktoś, który świadomie chce prawdę przeinaczać?

Miłość do dzieci — pisze autor — budziła się nawet u antysemitów... „Gdyby nie strach — czytamy — przechowano by miliony żydowskich dzieci". (str. 120). *Miliony?!* W sierocińcu w Płudach było ich jakoby trzydzieścioro, a w tej podmiejskiej miejscowości ukrywano jakoby pięćdziesięcioro Żydów (str. 290). Cyframi obraca autor całkiem beztrosko. Miliony, tysiące, dziesiątki...

Powstanie getta: „Co dzień żołnierze A.K. i G.L. atakują granatami niemieckie patrole wokół getta, kanonierów przy działach itd..." Niestety! Wiemy na ile szczupła była pomoc polska zagrożonemu śmiertelnie gettu, o codziennych wypadach nie mogło być mowy.

O latach okupacyjnych pisano już wiele i pisać o nich będą jeszcze długo, ale wszelkie fantazjowanie, wszelkie nieścisłości dotyczące cyfr i dat podważają wiarę w same fakty, oparte, być może częściowo, na rzeczywistych wydarzeniach; wszelkie mitologizowanie wypadków, to zaciemnianie obrazów, krzywda wyrządzona zarówno ofiarom jak ich obrońcom, to wypaczanie prawdy.

Styl książki jest niedbały i upstrzony takimi określeniami jak: *okrutne fatum, krwawy wróg, koszmar terroru, strach mrożący krew w żyłach* itp. Nie brak też fałszywie pobożnych westchnień i nauk udzielonych Europie, która przez swoje „handle i szacherki" spowodowała triumf Hitlera, czeka ją za to kara „zmierzch i koniec cywilizacji"... (str. 51).

Na takie książki jak „Zaklęte lata" dosłownie szkoda papieru, na który Polska Ludowa jest, skąd inąd, tak skąpa.

Maria CZAPSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

KUKIEL (Marian). *Od Wiednia do Maciejowic.* Studia i szkice historyczne. Str. 173 i 3 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna w ramach obchodu jubileuszowego 80-lecia urodzin Autora. Londyn, 1965).

RAST (Pius), SADZIK (Józef). *Wincenty Pallotti.* Str. 27 i 70 stron fotografii. (Wyd. Société d'Editions Internationales, Paryż, 1964).

MIREWICZ (Jerzy) ks. T.J. *Wierność Łasce. Rozważania na Tysiąclecie Chrztu Polski.* Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. Ojcowie Jezuici, Londyn, 1965).

Informator Uniwersytecki. Str. 60. (Nakł. Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, Londyn 1964).

GANTHER (Krystyna). *Funkcja składni w ukształtowaniu rytmicznym utworu* na materiale „Ballada o chorym księżycu" Beaty Obertyńskiej. Zeszyt I „Zeszytów Naukowych" Wydziału humanistycznego. Str. 51. (Nakł. Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, Londyn, 1964).

Polemiki. Zeszyt III. Zima 1964-65 (Rok II) Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Polonia Book Fund Ltd. Londyn).

WŁODKOWSKI (W.K.) *„Zapole Duszy".* Poezje z portretem autora. Str. 22 i 2 nlb. (Nakł. autora, Toronto).

Koło Generałów i Pułkowników b. wyższych dowódców. Opinie o książce Tadeusza Machalskiego „Pod Prąd". Str. 15. (Powielacz. Londyn 1965).

Anthologie de la Poèsie Polonaise. Opr. Konstanty Jeleński. Przedmowa Czesława Miłosza. Str. 454. (Wyd. Editions du Seuil, Paryż, 1965).

LEDNICKI (Wacław). *Tolstoy between War and Peace.* Posłowie i Indeks. Str. 169 i 5 nlb. (Wyd. Mouton & Co. The Hague, 1965. Cena 25 guld.).

NIEMCEWICZ (Julian Ursyn). *Under Their Vine and Fig Tree.* Travels through America in 1797-1799, 1805 with some further accounf of life in New Jersey. Z przedmową Wiktora Weintrauba. Tłum., opr., wprowadzenie i noty Metchie J.E. Budka. Załączniki, bibliografia, Indeks. Str. 398. (Wyd. jako XIV T. Serii The New Jersey Historical Society at Newark przez The Grassmann Publishing Co. Inc. Elizabeth, N.J. USA, 1965). Cena dol. 10.—

Postwar Polish Poetry. Przetłumaczył i opracował Czesław Miłosz. Okładka St. Zagorskiego. Str. 149 i 9 nlb. (Wyd. Doubleday & Co., Inc. New York, 1965, Cena dol. 4,95).

SOLOVEY (Dmytro). *Distribution of State Funds for Health Care Between the Republics in the USSR.* Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. S. Dovhal, Munich, 1965).

SYMMONS-SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Nationalist Movements: an Attempt at a Comparative Typology.* Odbitka z „Comparative Studies in Society and History". Vol. VII — No 2 — January 1965. Str. 221-230. (Wyd. Mouton & Co. Publ. Haga, 1965).

CONRAD Joseph. A Bibliography of Master's Theses and Doctoral Dissertations, 1917-1963. Zebrali Edmund A. i Henry T. Bojarski. Powielacz. Str. 33 i 2 nlb. (Wyd. University of Kentucky Libraries Occasional Contribution, No 157, Lexington, 1964).

Wydawnictwa « Biblioteki Kultury »

(z wyjątkiem pozycji wyczerpanych)

1. Witold GOMBROWICZ .. *Transatlantyk i Ślub*
4. James BURNHAM .... *Bierny opór czy wyzwolenie?*
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI .... *Koniec „Zgody narodów"*, 2 tomy
15. Graham GREENE ..... *Moc i chwała*
18. Jeanne HERSCH ..... *Polityka i rzeczywistość*
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
25. Daniel BELL ..... *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)
26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
30. Jan KOWALIK ..... *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
31. Stanisław REMBEK .... *W polu*
33. Simone WEIL ..... *Wybór pism*
34. Albert CAMUS ..... *Człowiek zbuntowany*
35. James BURNHAM .... *Rewolucja manadżerska*
36. Tadeusz KATELBACH .. *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO .. *Rozstriljane widrodżennja* (Antologia)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii* (Seria „Dokumenty". Zesz. 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty". Zesz. 6)
43. Jan KOWALIK ..... *„Kultura" 1947-1957. Bibliografia „Kultury".*
45. Wacław LEDNICKI .... *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej*
46. Abram TERC ..... *Sąd idzie*
ANONIM ..... *Co to jest realizm socjalistyczny?*
47. Tibor DERY ..... *Niki*
48. Wiktor SUKIENNICKI . *Kolumbowy błąd* (Seria „Dokumenty". Zesz. 7)

50. Czesław MIŁOSZ ..... *Rodzinna Europa*
51. Gustaw HERLING GRUDZIŃSKI ..... *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-CHMIELOWSKA ..... *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI ..... *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ . *Pornografia*
55. Leo LIPSKI ..... *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY ..... *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi*
58. Stanisław KOT ..... *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej*
59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty". Zesz. 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK ..... *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ ..... *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska*
Róża LUKSEMBURG .. *Rewolucja rosyjska* (Seria „Dokumenty". Zesz. 9)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i Bolesław SULIK ..... *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN .... *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC .... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ .... *Żydzi w kulturze polskiej*
68. Abram TERC ..... *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW ..... *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC ..... *Fantasticzeskije powiesti*
71. I. IWANOW ..... *Jest' li żiźń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA ..... *Historia Polski.* Cz. I
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
76. Józef CZAPSKI ..... *Na nieludzkiej ziemi*
77. Czesław MIŁOSZ ..... *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER ..... *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ ..... *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-1961)*
82. Milovan DŻILAS ..... *Rozmowy ze Stalinem*
83. (Jerzy MOND) ..... *6 lat temu...* (Kulisy polskiego Października) (Seria „Dokumenty". Zesz. 11)
84.— *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN ..... *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT ..... *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO ..... *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA ..... *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia

89. Witold JEDLICKI .... *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty". Zesz. 12)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC ..... *Lubimow*
92. — *We własnych oczach.* Antologia współczesnej literatury sowieckiej.
93. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Drugie przyjście* oraz inne opowiadania i szkice
94. Jan KOWALIK ..... *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty)
96. Marek HŁASKO ..... *Wszyscy byli odwróceni.* — *Brudne czyny*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach* (Poezje)
98. Bogdan CZAYKOWSKI *Spór z granicami* (Poezje)
99. Wincenty WITOS ..... *Moje Wspomnienia.* Tom I/III
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji")
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty)
104. Ignazio SILONE ..... *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji")
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga* (Seria „Dokumenty" Zesz. 13)
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewolucjonizm*
107. Abram TERC ..... *Myśli niespodziewane*
108. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-y)
109. Wacław IWANIUK .... *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI ..... *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI ..... *Inny świat*
112. Witold GOMBROWICZ *Kosmos*

Humor krajowy

Przy spisie ludności w Związku Sowieckim okazało się że w małej wsi pod Moskwą żyje starzec liczący 192 lata. Do wsi zjechała ekipa dziennikarzy z telewizją, aby przeprowadzić wywiad z najstarszym człowiekiem na kuli ziemskiej. Staruszek był jeszcze dziarski i chętnie odpowiadał na zadawane mu pytania:

— Powiedzcie towarzyszu, jak to się stało, że dożyliście w zdrowiu tak sędziwego wieku?

— Abo, moi ludzie, widzicie to było tak: Jak w r. 1917 nastała nasza władza radziecka...

— Nie o to chodzi, ojczulku, przerwał dziennikarz — my nie o politykę pytamy, ale o was...

— Abo, widzicie, kochani, jak nastała nasza kochana władza radziecka...

— Ależ ojcze, znowu zaczynacie o władzy, o sobie mówcie, o sobie...

— No przecież mówię wszystko, jak było, tylko mi ciągle przerywacie — zgniewał się starzec — jak nastała nasza kochana władza radziecka, to się zrobił taki bałagan, że mi do metryki dopisano 100 lat...

◆

PYTANIA I ODPOWIEDZI

— Jaka jest różnica pomiędzy sklepem mięsnym przed wojną a obecnie?

— Przed wojną na szyldzie było napisane „rzeźnik", a w środku było mięso, a obecnie na szyldzie jest „mięso", a w środku tylko rzeźnik.

◆

— Dlaczego pszczoły mają królową?

— Bo gdyby miały pierwszego sekretarza to musiałyby jeść g .... zamiast miodu.

◆

O CZYM MÓWI WARSZAWSKA KAWIARNIA

...że po mających się odbyć w końcu maja rb. wyborach do Sejmu i Rad Narodowych będzie w kraju kilka tysięcy *radnych* i 30 milionów *bezradnych*...

...że Inturist ogłosił konkurs z nagrodami dla turystów zagranicznych. Pierwsza nagroda — tydzień pobytu w ZSRR. Druga nagroda — dwa tygodnie pobytu w ZSRR. Trzecia nagroda — trzy tygodnie pobytu w ZSRR...

...że w stolicy coraz częściej zdarzają się cuda. Tym razem na domu Partii ukazuje się zdumionym oczom Bierut, trzymający w ręku kiełbasę po 26 złotych za kilogram...

◆

Spotyka się w Warszawie dwóch Żydów. Jeden pyta drugiego:
— Moniek czy to prawda, że zapisałeś się do partii?
— Tak — odpowiada zapytany.
— Zwariowałeś! Po sezonie?

◆

JESZCZE O CHRUSZCZOWIE

Chruszczow rozgoryczony po pozbawieniu go władzy szukał wytłumaczenia co spowodowało jego nagły upadek. Ponieważ nikt nie mógł mu odpowiedzieć na dręczące go pytanie urządził seans spirytystyczny. Najpierw zjawił się duch Piotra Wielkiego.

— Powiedz mi duchu — zapytał Nikita — za co mnie spotkał taki los?

— To zrozumiałe odpowiedział duch — ja miałem większe kontakty z zagranicą, ale wyrżnąłem połowę moich bojarów, więc...

— Jako drugi zjawił się duch Katarzyny Wielkiej, który na postawione pytanie odparł:

— Bo trzeba umieć się urządzać. Ja także miałam burdel, ale w pałacu, a nie w rolnictwie...

Ostatni odezwał się duch Stalina, który na biadolenia Chruszczowa zawołał:

— Ty, durak, gdybyś ty wylał na pola połowę tego g.... które wylałeś na mnie, to miałbyś taki urodzaj, że wszystko wyglądałoby inaczej.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Toronto, 5. IV. 1965

Szanowny Panie,

W N-rze 207/208 Pańskiego czasopisma przeczytałem artykuł M. Czapskiej, pt. Fl. Czarnyszewicz. Wobec tego, że powołuje się autorka na moje listy do Fl. Czarnyszewicza, chciałem sprostować jeden zasadniczy błąd. Białoruskie „kuzurka" nie odpowiada polskiemu „robak". Ten ostatni po białorusku znaczy „czarwiak".

„Kuzurka" odpowiada polskiemu „chrząszcz", angielskiemu „beetle". Chciałem, w powieści swojej „Zmaharnyja darohi" określić Polaków na białoruskich ziemiach, jako element cudzy, najezdny, a jeśli miejscowy to wręcz spolonizowany i służący interesom zaborcy, jednak nie miałem zamiaru ubliżać ich, nazywając „robakami".

Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

K. AKUŁA

◆

Lima, 21. IV. 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Nr 3/209 „KULUTURY" nadszedł do Limy w dniu zebrania S.P.K. (Samodzielne Koło Peru). Zebrani jednogłośnie uchwalili zaprotestować przeciw artykułowi „Week End", podpisanemu przez S. Gostkowskiego, uważając że poziom , treść i styl artykułu nie odpowiadają należnej powadze przedmiotu.

Uważamy że pseudo-dowcipne podejście autora do „smutnej sensacji" — jak pisze — obraża w najwyższym stopniu uczucia zebranych kombatantów.

Pozostawiając ocenie i decyzji Pana Redaktora reakcję na wyżej przytoczony fakt, dodam że również w poprzednim numerze „Kultury" (1/207), cuchnący artykuł Hłaski (85 cennych stron!) wywołał szereg protestów.

Nie tego rodzaju lektury spodziewaliśmy się dotąd po tak poczytnej wśród nas „Kulturze".

Za Zarząd:
Jan GIEŁGUD

◆

Meksyk, kwiecień 1965

W książce mojej pt. "Jurij Dąbski" poświęciłem cały rozdział krytyce działalności ówczesnego wojewody wołyńskiego Henryka Józewskiego. Ten dygnitarz, wysoce szkodliwy dla polskiej racji stanu, ukrainizował Wołyń a bunty, będące konsekwencją owej ukrainizacji, tłumił przy pomocy wojska i policji. Po krwawych pacyfikacjach w Kiwercach pow. łuckiego i na Ko-

zackich Mogiłach pod Beresteczkiem, długi sznur wozów chłopskich wypełniony zabitymi i rannymi, opuszczał te miejscowości. Dziesięcioletnia „działalność" pana wojewody została wreszcie zakończona przeniesieniem go do Łodzi. Te fakty, były nam Wołyniakom, dobrze znane i obszernie komentowane.

Recenzent, podpisany inicjałami (m.l.d.), nazywa moją krytykę działalności H. Józewskiego: „rozbrajająco-naiwną".

„(m.l.d.)" pisze, że owa rozbrajająco naiwna krytyka: „łączy się z nieukrywanym entuzjazmem okazywanym przez autora nie tylko w stosunku do właściwej akcji Związku polegającej na „podnoszeniu wzwyż" przy pomocy masowo przechowywanych w kufrach dokumentów szlacheckich — ale i prowadzonej równolegle i bardzo po niedźwiedziemu akcji „polonizacji" cerkwi i masowych „nawróceń", budzących zastrzeżenia nie tylko posłów sejmowych ale i światłego kleru".

Zgadzam się z autorem, że cała akcja odrodzenia polskości Wołynia i Małopolski Wschodniej, budziła zastrzeżenia niektórych posłów sejmowych i kleru.

— Ale jakich posłów i jakiego kleru? — zapyta zdumiony czytelnik. Nacjonaliści ukraińscy a może i komuniści, na pewno nieraz interpelowali w sejmie w sprawie tak niebezpiecznej dla nich akcji.

Co zaś do zastrzeżeń kleru, to owo odrodzenie polskości naszych ziem południowo wschodnich było bardzo nie na rękę renegatowi, metropolicie greko-katolickiemu Andrzejowi hr. Szeptyckiemu, znanemu ze swej nienawiści do wszystkiego co polskie. Jakże przykrą była dla niego na przykład działalność księdza Miodońskiego, stojącego na czele 500 Kół Związku Szlachty Zagrodowej w Małopolsce Wsch.?

Lekturę „Juria Dąbskiego" nazywa mój recenzent „Przeżyciem bolesnym i nieoczekiwanym". I tym razem zgadzam się z nim zupełnie. Istotnie będzie ona przeżyciem bardzo bolesnym dla każdego rodaka, który nigdy nie słyszał o istnieniu setek tysięcy zruszczonych Polaków, ukrainizowanych w niepodległej Polsce a potem pacyfikowanych i zamykanych do więzień.

Będzie ta lektura również przeżyciem nieoczekiwanym dla przeciętnego obywatela, spodziewającego się po sternikach polityki państwowej postępowania konsekwentnego.

Wypadki, o jakich jest mowa w mojej pracy, miały miejsce na Wołyniu w latach 1918-39. Byłem ich osobistym świadkiem. W Meksyku znalazłem się dopiero w kilkanaście lat potem i nigdy nie byłem tu „izolowany" jak to twierdzi recenzent.

A. JACEWICZ

◆

Griffith, N.S.W., 3 kwietnia 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł pt. *„Cień Frankowskiego w Australii"* (nr 11/205 „Kultury") wywołał nie tylko spodziewaną reakcję w postaci listów tutejszego Prezydium Rady Naczelnej i Zw. Dziennikarzy (w n-rze 3/209), bo także, wkrótce po ich publikacji, Prezydium zwołało Nadzwyczajny Zjazd Prezesów organizacji polskich w Australii (27/28 marca rb.). Artykuł został tu wysunięty na czoło obrad: miały wywołać uchwałę, piętnującą mnie jako „rozbijacza emigracji", a skończyły się fiaskiem intrygi i stwierdzeniem przewodniczą-

cego zjazdu (prezesa Zarządu Głównego SPK), że szukanie drogi do prawdy poprzez prasę leży w granicach praw słusznych i zgodnych z ustrojem demokratycznym. Tzw. sprawy Iwańczaka, rzekomo personalnej, bronię z uwagi na jej aspekty społeczne w tutejszym terenie. Wrócę do nich poniżej, przedtem jednak — rozwiążmy sprawę Iwańczaka, raz na zawsze. Bez zrozumienia przyczyn i metod, które doprowadziły do niej, niesposób dojść do sedna zjawisk politycznych, przeżerających ogół polski w Australii.

1. List Zw. Dziennikarzy w „Kulturze" zapewnia nas, iż nieprawdą są twierdzenia Iwańczaka, jakoby usiłował on zabiegać o rewizję wyroku poprzez odwołanie się do W. Zebrania Związku, ani też jakoby Związek odmówił mu dostępu do dokumentów, będących podstawą wyroku. Twierdzenia Związku poparł w „Kulturze" p. Krygier, który prowadził dochodzenia przed wyrokiem. Ale wyrok mówi, że o rewizję Iwańczak może odwołać się do Zwyczajnego W. Zebrania. Toteż w kwietniu 1963 r., wskutek pogłosek o bliskim terminie zebrania (zawiadomienia mu nie przysłano), Iwańczak wysłał swój list do Związku. W rezultacie...

Redakcji „Kultury" przesyłam fotokopie następujących dokumentów: (Fot. 1) odpowiedzi Związku z 1. 5. 63 (na list Iwańczaka), gdzie czytamy: *„...nie może Pan apelować przeciwko oświadczeniu Związku"* (tj. przeciw wyrokowi — Zb. J.), *„...lecz tylko przeciwko sankcjom"*, itd.; w liście tym Związek daje Iwańczakowi tylko dwa tygodnie na przygotowanie obrony — fizyczna niemożliwość; przesyła mu też, na jego prośbę, *„Spis załączników"* Prezydium Rady Naczelnej (fot. 2), złożonych Związkowi jako dowody oskarżenia. Następny list Związku (fot. 3) z 13. 5. 63, w odpowiedzi na dwa listy Iwańczaka, głosi: *„Nie może być Pan obecny na W. Zebraniu w dn. 19 maja rb., ponieważ został Pan zawieszony w prawach członka na dwa lata"*; oraz: *„Nie może Pan otrzymać odpisu żadnych dokumentów, gdyż sprawa przeciwko Panu została merytorycznie zamknięta. Miał Pan możność zbadania i odpisania tych dokumentów w czasie dochodzenia"*, itd.; A także: *„...zechce Pan nadesłać list do W. Zebrania z podaniem motywów"*, itd. *„Jednocześnie może Pan zwrócić się do jednego z kolegów, aby poparł Pański list na W. Zebraniu"*. Mimo iż Iwańczak prosił o podanie mu adresów członków spoza Sydney, którym mógłby zaufać — list Związku wymienia tylko 10 nazwisk z terenu Sydney: (a) dwu członków władz Rady Naczelnej, a więc oskarżycieli; (b) trzeciego oskarżyciela; (c) autora dochodzeń oraz czterech autorów wyroku; (d) gospodarza przyjęcia na cześć Frankowskiego; (e) tylko jednej osoby ewentualnie neutralnej. A oto dalsze fotokopie (listy Związku do mnie): (Fot. 4) z dnia 21. 5. 63, w odpowiedzi na mój apel o rozpatrzenie sprawy na W. Zebraniu: *„...W. Zebranie stwierdza, iż wobec niezłożenia przed terminem W. Zebrania odwołania przez p. Iwańczaka, nie ma podstaw do ponownego zajęcia się tą sprawą"*. (Fot. 5) z dnia 19. 6. 63, po złożeniu przeze mnie Związkowi pełnomocnictwa Iwańczaka: *„...Zarząd uważa, iż uchwała W. Zebrania wyczerpuje sprawę"*. (Fot. 6) z dnia 1. 7. 63, po założeniu przeze mnie sprzeciwu: *„...Zarząd Syndykatu nie może udzielić Panu zgody"* (sic!) *„na występowanie w charakterze pełnomocnika p. Iwańczaka, gdyż zgodnie z uchwałą W. Zebrania, sprawa p. Iwańczaka została uznana za zamkniętą"*; oraz: *„...Jeśli W. Zebranie postanowi sprawę p. Iwańczaka otworzyć, wtedy będzie mógł powołać obrońcę"*.

Tak wygląda związkowe „nieprawdą jest" na użytek czytelników „Kultury". Podkreślam: stanowisko Związku podżyrował autor dochodzeń przed

wyrokiem. Iwańczakowi nie dano ani zeznań do podpisu, ani przyrzeczonego odpisu protokołu dochodzeń. A oto chronologia procedury: skargi wpłynęły do Związku w czerwcu 1962 r.; z kolei, 29 lipca Związek zwołuje Nadzwyczajne W. Zebranie celem uchwalenia niezbędnych mu *„Norm etycznych"*; 10 września zapada wyrok na podstawie *„Norm"* — za „przestępstwa", popełnione... przed *„Normami"!*... Taką procedurę znaliśmy przedtem tylko w ustrojach totalnych. Nie koniec chronologii: w listopadzie, prezes Rady Naczelnej tryumfalnie powiewa „wyrokiem" nad głowami delegatów Zjazdu. Sprawiedliwości stało się zadość.

2. O sprawie Frankowskiego, a nawet o istnieniu osoby p. Iwańczaka, dowiedziałem się dopiero na owym zjeździe, z ust prezesa Rady. Dopiero po gorącej debacie zjazdowej — wywołanej stwierdzeniem delegata Polskiej Macierzy Szkolnej (mec. Iwczenki), iż kontakty z Frankowskim istniały — wyszperałem „Naszą Drogę", by poznać również publikacje Iwańczaka na ten temat. Tymczasem list Prezydium w "Kulturze" twierdzi, że artykuł swój zbudowałem *„na kruchej podstawie, — jednego, zasadniczego fałszu twierdzenia p. Iwańczaka, że „leaderzy" Polonii sydneyskiej odbyli tajne zebranie z Dr Frankowskim i za obietnicę korzyści materialnych, daną przez niego, zaprzedali Polonię australijską reżymowi warszawskiemu"*.

Na Boga, skąd to wszystko?!... Przecież w publikacjach Iwańczaka nie ma takich twierdzeń!...

Wspomniany już *„Spis załączników"* Prezydium (fot. 2), będących podstawą oskarżenia, wymienia aż 13 publikacji „N. Drogi" na temat Frankowskiego, mających obciążyć Iwańczaka. Ale tylko 4 z nich wyszły spod jego pióra — wszystkie inne zaś podpisane są przez inne a znane osoby (większość, przez redaktora „N. Drogi"). Żadna z 4-ch publikacji Iwańczaka (załączam ich fotokopie, 7-10) nie wysuwa powyższych zarzutów. Od kiedyż to jednemu z autorów narzuca się odpowiedzialność za powódź wszystkich innych publikacji, spod pióra osób innych, na domiar w piśmie, którego nie jest redaktorem?... Fantastyczny list Zw. Dziennikarzy w „Kulturze" wmawia w nas, iż w prawach członka *„p. Iwańczak zawieszony został jedynie na podstawie artykułów podpisanych jego pełnym imieniem i nazwiskiem"* — i dodaje Związek: *„oprócz zeznań świadków"* Świadków — jakich i czego?... Interesującego argumentu Związku, że, według Iwańczaka, „Orzeł Biały" jest pismem niepodległościowym, a „Kultura" nie jest?...

Cały ten „wyrok", to nieudolna fuszerka, sklecona na rzecz tzw. racji stanu (Autorytetu). Pośród wszystkich autorów alarmów o Frankowskim, jedynie Iwańczak, ponieważ tylko on był członkiem Związku, nadawał się na kozła ofiarnego tej machlojki. Była sprawcom potrzebna jako zasłona dymna, mająca na Zjeździe Rady wykazać, że Frankowski w ogóle nie istniał. Ale kto Frankowskiego ciekaw, niech zagłębi się w lekturę 44-ch stron *„Protokołu" Zjazdu 1962:* Frankowskiego znajdzie tam na pewno.

3. Lecz nie Iwańczak, ani nawet nie Frankowski, stanowią meritum mego artykułu z listopada. Sprawy te są tylko ponurnym tłem tutejszego życia polskiego. Meritum — to prasa, prasa polska w Australii, zdławienie głosów opozycji — czyjej?... M.in., spośród członków Rady. W jakim celu?... „Aby nie podrywać autorytetu Rady", mimo iż samowoli kilku jednostek u szczytu nie wolno utożsamiać z całością działalności Rady, której koniecz-

ność istnienia doceniam w pełni. Ani też — wbrew stanowisku p. Iwańczaka — rozmów z drem Frankowskim bynajmniej nie uważam za rzecz straszną. Jestem zwolennikiem rozmów z przeciwnikiem, nawet z wrogiem, lecz pod warunkiem, że nasi mandatariusze, primo, działają zgodnie ze stanowiskiem społeczeństwa, które powierzyło im mandat; i secundo, nie ukrywają swych kontaktów z przeciwnikiem, to bowiem rodzi zrozumiałą nieufność. Jaką można mieć rękojmię prawdy co do charakteru kontaktów, gdy w tej samej sprawie tumaniano nas tyle razy?...

Dzięki cenzurze prasowej w ciągu ostatnich 3-ch lat, Prezydium było niemal całkowicie wolne od otwartej krytyki. Zdawałoby się, iż te 3 lata niczym nie skrępowanej swobody pozwolą mu na ukazanie owoców swej troski o polskość. Tymczasem, np. w sprawie 34-ch intelektualistów Polski, Prezydium (ani predestynowany do takich spraw Zw. Dziennikarzy) nie bąknęło ani słowem, choć uznało za konieczne zgłosić (na wniosek Zw. Dziennikarzy) apel do rządu Australii w sprawie Chińczyka Willy Wong, wydalonego z granic kraju. Apel ów, bardzo szlachetny, dał poznać Australii, że Polacy mają tu kierownictwo czułe na sprawy społeczne. Nas jednak, Polaków, uderza dysproporcja w rażącym braku stanowiska Prezydium w sprawach nawet tak bardzo polskich jak protest 34-ch. Bo gdy Prezydium drzemało — wróg nie spał. W ciągu ostatnich 3-ch lat swobodnej drzemki — w szkołach polskich w Australii pojawiły się podręczniki reżymowe. Ale zaprotestować w prasie przeciw indolencji Prezydium — nie wolno. Niech nas rozdziobią kruki, wrony, byle Autorytetowi bić pokłony. Śpiączka, na przemian z drygawką. Trzy czwarte marcowego Zjazdu Prezesów, zwołanego w trybie nagłym, by mi wbić knebel w usta, Prezydium poświęciło własnym intrygom: nie tylko w sprawie Iwańczaka, bo także intrygom wewnątrz własnego, prezydialnego zespołu. Czas zatem, aby wreszcie potrząsnąć tym Autorytetem, skierowującym energię zrzeszonych organizacji w łożyska niegodne, wywołujące ciągłe rozruchy i rosnącą niechęć do tak pojmowanej działalności społecznej. W liście swym w „Kulturze" — „...*Prezydium Rady Naczelnej stwierdza, że wszystkie te organizacje są członkami Rady Naczelnej i biorą nader żywy udział w pracy społecznej pod jej ogólnym kierownictwem*". Ale nie pochwalono się faktem, że Koło b. Żołnierzy AK w N.P. Walii i wiktoriańska Rada Organizacji Polskich — nie wzięły udziału w ostatnim Zjeździe Rady Naczelnej (1964), protestując w ten sposób przeciw sabotowaniu uchwał zjazdowych przez Prezydium.

4. Na co liczyło Prezydium, ogłaszając w „Kulturze", iż artykuł swój oparłem na oszczerstwach i wymysłach?... Pod koniec bardzo nagłego Zjazdu Prezesów — gdzie „Kultura" widniała w wielu rękach naraz (fenomen nieznany mi przedtem) — jednego z uczestników o mało nie zalała krew nagła. Był to bardzo bliski współpracownik „Tygodnika". Przedtem, tak jak wielu innych, był wiernym sojusznikiem Autorytetu, w imię świętej zgody i dobra społecznego. Na zjeździe zaś poniosło go i, jak wielu innych, opuścił Sydney porażony bezmiarem intryg: o wszystkim tym wiedział, jak wielu innych, ale przed zjazdem nie wierzył, by mogło być prawdą. Każe mi to zrewidować mój pogląd na przyczyny cenzury, stosowanej przez "Tygodnik" na rzecz Autorytetu. Po rozmowach zjazdowych sądzę, że red. Gronowski, jak wielu innych, został celowo wprowadzony w błąd, a uporczywe milczenie jego pisma przyjąłem, jak wielu innych, za udział w zmowie. Ostatnio, w „Tygodniku" pojawiło się kilka publikacji mocnych, odważnych, których

społeczeństwu naszemu w Australii bardzo trzeba. Daj więc Boże, by sumienie i pasja jego redaktora zechciały wyprowadzić nas z obezwładniającej stagnacji. Wołam o kierownictwo w rękach ludzi nowych, czujnych, świadomych swych zadań i obowiązków społecznych. Jutro może być za późno. Na nagłym Zjeździe Prezesów wysunięto otwarty dezyderat, aby z terminu „emigracja polityczna" usunąć słowo „polityczna". Dlaczego? M. in., bo polityka skłóca emigrację, a to jest na rękę reżymowi!... Dezyderat ten zyskał gorące wsparcie jednego z oskarżycieli Iwańczaka: redaktora „Wiadomości Polskich", oficjalnego organu Prezydium Rady Naczelnej. Sam prezes generał Kleeberg zajął stanowisko pośrednie: skoro nie może być „polityczna", to w zamian niech będzie „niepodległościowa", Ano, niech będzie, bo pod obecnym kierownictwem przestaje nią być z dniem każdym.

Zbigniew JASIŃSKI

P.S. (10.5.65). Po zapoznaniu się z artykułem red. Gronowskiego w kwietniowej „Kulturze", uzupełnienia: Nie sądzę, by nasze wzajemnie przyjazne stosunki w życiu prywatnym — miały zobowiązywać mnie do prywaty w formie rezygnacji z wolnego słowa w sprawach społecznych. Meritum kwestii brzmi: *Tabu w prasie polskiej w Australii,* (a nie personalia). O ostrzeżeniach „Tygodnika" przed Frankowskim, pisałem wyraźnie. O tym, że Gronowski obarczył Prezydium Rady odpowiedzialnością za brak stanowiska w tej sprawie, też pisałem. W tejże listopadowej „Kulturze" podałem cytatę z „Tygodnika", gdzie Gronowski pisał o kontaktach z Frankowskim. Ale czyje to kontakty?... Niechże przyjaciel mój zrozumie: „Tygodnikowi" zarzucam stosowanie „tabu" w *Australii* tam, gdzie chodzi o *konkretne* kontakty *zespołu* Autorytetu, przemilczane przez tenże Autorytet. W „Kulturze", Gronowski pisze o tym nieco wyraźniej. Ale — we własnym piśmie?...

Gronowski był nieobecny na nagłym Zjeździe Prezesów, gdzie całą sprawę udokumentowałem pliką fotokopii, o wiele obszerniej niż mogłam to uczynić w „Kulturze". Wystąpienie moje na zjeździe, to ostry protest przeciw metodom Prezydium Rady Naczelnej i Związku Dziennikarzy (a nie jakieś babranie się personaliami). Może przyjaciel mój zrozumie, o co mi chodzi, gdy podam tu najświeższą ilustrację „tabu": cytatę ze sprawozdania po zjeździe, pióra p. Nowiny, w „Tygodniku" z 24 kwietnia rb.:

„Brak miejsca nie pozwala na streszczenie dyskusji, która potoczyła się raczej chaotycznie. Pragnę tylko nadmienić, że Zbigniew Jasiński odgrodził się stanowczo od oszczerczych oskarżeń pod adresem naszego kierownictwa społecznego, wysuniętych w swoim czasie w „Naszej Drodze". Odnośnie oświadczeń Prezydium Rady, (w liście do „Kultury" — przyp. Zb. J.), *to, zdaniem p. Jasińskiego, zawierały sprzeczności i niedomówienia, a pod jego osobistym adresem obraźliwe uwagi. W toku dalszych wywodów p. Jasiński wycofał niektóre swe twierdzenia, np. na temat „kneblowania" prasy, kultu jednostki, itp.".* W konkluzji p. Nowiny (pseudonim jednego z filarów Autorytetu Zw. Dziennikarzy) na zjeździe *„nastąpiło ogólne odprężenie".*

Całe meritum znów zwekslowano tu na rasdosny tor... załagodzonych personaliów! Mój atak na metody Autorytetu, i moje stanowisko, którego z tego rodzaju metodami pogodzić niesposób — przekabaciły się tu w ogólne „kochajmy się". Autorytet & Co. — w „Tygodniku" znów czysty jak łza, ba! zyskał nową pozłótkę.

Z czego nie wynika, bym stracił nadzieję w dobrą wolę red. Gronowskiego. Nadzieja jest matką głupich, ale jeszcze głupsi są ci, co nie mają nadziei.

Monachium, w maju 1965 r.

Szanowny Panie Redaktorze

Z kraju nadchodzą wiadomości, że prezes ZBoWiDU, minister spraw wewnętrznych, generał i szef Bezpieki w jednej osobie, słowem — Mieczysław Moczar zamierza zająć się „poprawianiem" dziejów wojennych naszego uchodźtwa. W ramach podjętej przez niego akcji, mającej na celu infiltrowanie emigracji przebywającej na Zachodzie, będzie m. in. usiłował, dowieść, że ciągłość władz państwowych czyli legalizm skończył się na ambasadorze B. Wieniawie-Długoszowskim, którego przejściowo Prezydent Ignacy Mościcki wyznaczył swym następcą. Według moczarowych historiozofów — Wieniawa bowiem „nie wyznaczył następcy". Nie jest to teoria nowa. Próbowali szerzyć ją inni. Wystarczy wspomnieć zawodowego paszkwilanta, pozującego na historyka, Stefana Arskiego i jego broszurę „Targowica leży nad Atlantykiem". Placówki reżymowe rozpowszechniały ją w 1952 roku wśród Polaków na Zachodzie.

Wobec prób zaktualizowania teorii o końcu legalizmu zanim Władysław Raczkiewicz został Prezydentem Rzeczypospolitej, warto może przypomnieć pełny tekst dokumentu, który — o ile wiem — poza „Monitorem" z dn. 2. 10. 39 (Nr 218-219) nigdzie nie był ogłoszony. Treść załączonego dokumentu świadczy, że Władysław Raczkiewicz objął urząd Prezydenta RP zgodnie z obowiązującą Ustawą Konstytucyjną, wobec czego był legalnym następcą swego poprzednika Ignacego Mościckiego.

Łączę wyrazy poważania

Tadeusz KATELBACH

Załącznik: Protokół zaprzysiężenia Prezydenta RP. (odpis z oryginału).

Działo się w Paryżu dnia 30 września 1939 roku w Ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej.

W dniu tym Prezydent Rzeczypospolitej profesor Ignacy Mościcki złożył swój urząd. Wobec tego, na zasadzie art. 24 ust. 1 i 2 Ustawy Konstytucyjnej, urząd Prezydenta Rzeczypospolitej objął p. Władysław Raczkiewicz, b. Marszałek Senatu wyznaczony na następcę Prezydenta RP zarządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 17 września 1939 r. o wyznaczeniu następcy prezydenta Rzeczypospolitej na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta R.P., przed zawarciem pokoju, ogłoszonym w „Monitorze Polskim" z dn. 29 września 1939 r. (No 214-217, poz. III).

Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz złożył w myśl art. 19 ust. 1 Ustawy Konstytucyjnej przed objęciem Urzędu przysięgę treści następującej:

> Świadom odpowiedzialności wobec Boga i historii za losy Państwa, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu, w Trójcy Świętej Jedynemu, na urzędzie Prezydenta Rzeczypospolitej: praw zwierzchniczych Państwa bronić, jego godności strzec, ustawę konstytucyjną stosować, względem wszystkich obywateli równą kierować się sprawiedliwością, zło i niebezpieczeństwo od Państwa odwracać, a troskę o jego dobro za naczelny poczytywać sobie obowiązek. Tak mi dopomóż Bóg i Święta Syna Jego Męka. Amen."

Stosownie do art. 19 ust. 2 Ustawy Konstytucyjnej akt złożenia przysięgi stwierdzili poniżej podpisem Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz oraz osoby urzędowe obecne przy zaprzysiężeniu, a mianowicie: Ambasador R.P. w Paryżu Juliusz Łukasiewicz, Naczelny Wódz polskich sił zbrojnych we Francji generał Władysław Sikorski, Podsekretarz Stanu w

Ministerstwie Skarbu płk. Adam Koc, Szef Polskiej Misji Wojskowej przy kwaterze głównej armii francuskiej generał Stanisław Burhardt-Bukacki i Szef Kancelarii Cywilnej Prezydenta R.P. Dr Stanisław Łepkowski.

WŁ. RACZKIEWICZ
J. ŁUKASIEWICZ
SIKORSKI, gen. dyw.
ADAM KOC
BUKACKI, gen. dyw.
DR STANISŁAW ŁEPKOWSKI

◆

Penrhos Home, W. Brytania, dnia 7 maja 1965

Szanowny Panie Redaktorze!

Do przesadnych purystów językowych się nie zaliczam i nie chciałbym być zaliczany, gdyż rozumiem, że język narodu żyjącego podlega i podlegać musi zmianom i tworzyć wyrazy nowe, gdyż postęp w różnych dziedzinach zmusza do tego, ale są pewne formy, przyjęte od dawna, które takich zmian nie potrzebują.

Mam tutaj na myśli, coraz częściej stosowane — i to nawet przez wybitnych dziennikarzy polskich — zastępowanie słowa „jak" — przez „co". Uczono nas w szkołach, że przy porównaniu, słowa „tak" — odpowiada „jak", a słowu „tyle" — „ile". Tymczasem obecnie coraz częściej się spotyka zastępowanie słowa „jak" przez „co"! Skąd się to wzięło i czemu ma służyć — nie wiem i wyjaśnić sobie tego nie umiem, ale razi mnie oko, jak „...zgrzyt żelaza po szkle".

W ostatnim Nr „Kultury" 5/211, w artykule W. A. Zbyszewskiego spotkałem parę razy takie właśnie — niefortunne moim zdaniem — zastąpienie słowa „jak", które bardziej by odpowiadało — przez słowo „co". Poniżej podaję te zdania: str. 35 w. 6 od dołu: ...Polak okazał się równie przywiązany do własności indywidualnej, *co* petit bourgeois francuski...; str. 40 w. 9 od góry: ...Na terenie małżeńskim stosunki polsko-angielskie skończyły się takim samym shipwreck *co* na terenie politycznym...

Wydaje mi się, że w przytoczonych wyżej zdaniach, słowo „jak" byłoby bardziej na miejscu, a gdybym w gimnazjum napisał takie zdania w wypracowaniu, to bez wątpienia poczytano by mi je za błędy.

Ale najważniejsze to, w jakim celu zmieniać ustalone formy, skoro nic nas nie zmusza do wprowadzania takich reform.

Proszę przyjąć wyrazy mego szacunku

Henryk Zygmunt KOMAR

◆

Zürich, 19 kwietnia 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 1/207 i 2/208 „Kultury" przeczytałem ze wstrętem opowiadanie Marka Hłasko pt. „Drugie zabicie psa". Na stronicy 135 byłem wstrząśnięty makabryczną sceną:

„I nie uwierzyłaby chyba również i w to, że widziałem w czterdziestym czwartym roku w Warszawie, jak sześciu Ukraińców zgwałciło jedną dziewczynę z naszego domu a potem wyjęli jej oczy łyżką do herbaty; i śmieli się przy tym i dowcipkowali"...

To okrucieństwo sześciu jakoby „Ukraińców", jakie bohater opowiadania „widział" (na własne oczy) i „słyszał" (na własne uszy), *psychologicznie jest niemożliwe,* nawet dla najpotworniejszych zbrodniarzy!

Ale to ma swój aspekt polityczny: szerzenie nienawiści i pogardy do narodu ukraińskiego.

Czy jest to w intencji intelektualistów polskich, grupujących się wokół wydawnictwa paryskiej „Kultury"?

Z poważaniem

Inż. Iwan LUCZYSZYN

◆

Monachium, 21. 4. 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

W kwietniowym numerze (4/210) „Kultury" czytamy na ostatniej stronie następującą adnotację redakcji:

> Ze względu na zwiększającą się stale liczbę listów do Redakcji jesteśmy zmuszeni zwrócić się do czytelników z prośbą, aby nadsyłane listy nie przekraczały objętościowo pół strony „Kultury". Zastrzegamy sobie jednocześnie prawo do ewentualnych skrótów.
>
> *REDAKCJA*

Nie wiem czy wielu Polaków zdaje sobie sprawę jaki cios te kilka zdań zadaje indywidualnej wolności, a tym samym kulturze polskiej. Formalnie biorąc, notatka redakcji nie może, oczywiście, budzić zastrzeżeń. Tego rodzaju ograniczenia wprowadza większość czasopism w wolnym świecie, ze względów po prostu technicznych. W danym jednak wypadku chodzi mi wyłącznie o stan faktyczny w jakim znalazła się myśl i kultura polska poza zasięgiem leninowskiego (tzn. bolszewickiego) zacisku ideowego. A więc jeszcze od tego zacisku wolna. Ten stan faktyczny jest taki: nie mamy polskiej trybuny parlamentarnej, nie mamy polskiej trybuny sądowej, nie mamy polskich rozgłośni radiowych; mamy tylko skromną, bardzo jednostronną prasę, praktycznie w rękach kilku ośrodków, lub kilku ludzi. Z reguły nie ogłasza ona rzeczy sprzecznych z poglądami tych kilku redaktorów, których zresztą poglądy w istotnych zagadnieniach są do siebie bliźniaczo podobne. Mamy dwa czasopisma o najwyższym poziomie: „Kulturę" w Paryżu i „Wiadomości" w Londynie.

Z tych dwóch czasopism, „Kultura" reprezentuje tendencję polityczną, którą osobiście uważam za najbardziej fatalną. Jest to mój pogląd subiektywny. Obiektywnie natomiast stwierdzić należy iż „Kultura" — (Jakkolwiek zaniechała wprowadzenia zapowiadanej swojego czasu „Wolnej Trybuny", której nie posiada zresztą żadno z pism na emigracji) — zachowywała dotychczas maksimum z gestu dawnego liberalizmu, i to w stopniu za który — na tle panującego „tabu'izmu" — chciałoby się nieraz nisko „Kulturze" pokłonić. Zwłaszcza w rubryce „listów do Redakcji", w której zamieszczane bywały dłuższe wypowiedzi bez zmian i skreśleń. A bywały wśród nich wyrażane stanowiska i takie wolne myśli, które bez istnienia „Kultury" nie miałyby szans ukazania się w druku w ogóle. Gdyż cenzura „listów" w

innych pismach wielokrotnie wyklucza nie tylko możność polemiki z objętymi przez „tabu" postulatami i świecznikami narodowymi, ale nawet z niektórymi wybrańcami losu. Dochodzi do tego, że w „Wiadomościach" na przykład, — jak słyszałem — nie wolno polemizować już z p. Janem Nowakiem, dyrektorem „polskiego desku" Free Europe.

W tym samym kwietniowym numerze „Kultury", zawierającym wspomnianą złowieszczą adnotację redakcji, czytamy w liście p. B. J. Jenne, że „zaczyna on lekturę od wierszy, listów..." etc. Znam moc ludzi, którzy „listy" stawiają na pierwszym miejscu, i zaczynają lekturę od „listów". W naszych warunkach jest to objaw raczej zrozumiały. Tłumaczy się nie tym, aby właśnie „listy do Redakcji" zawierały treść najciekawszą i najbardziej wartościową, bo często bywa odwrotnie; lecz raczej nostalgią do indywidualnych wypowiedzi, indywidualnych myśli, niekoniecznie krępowanych redaktorską granicą w druku, a granicą Odry i Nysy w terenie.

Cesarz Aleksander II wprowadzając w 1864 w życie swą słynną reformę sądownictwa, wydał jednocześnie „ukaz" dozwalający publikowania wszystkiego cokolwiek się dzieje lub mówi na przewodzie sądowym, *bez jakichkolwiek skreśleń*. I w nieparlamentarnej, pozbawionej wolności politycznych, samowładnej Rosji pojawiły się w druku takie mowy adwokatów, za jakie nie tylko w Bolszewii, czy PRL poszłoby się pod ścianę czy do więzień, ale nawet w Polsce Piłsudskiego niechybnie do Berezy Kartuskiej. Naturalnie o wolnościach indywidualnych jakie istniały w XIX wieku, również pod samodzierżawiem carskim, dziś, w wieku skolektywizowanej myśli, trudno nawet marzyć. Nie chodzi jednak o marzenia, chodzi o uratowanie pozostałego jeszcze marginesu.

Otóż to trochę co nam pozostało z prawa do indywidualnej wypowiedzi to były, praktycznie biorąc, „listy do Redakcji", a bardziej ściśle: listy do redakcji paryskiej „Kultury". Ograniczając je do „pół strony", ogranicza się je zarazem, chyba tylko do jakiegoś formalnego wyjaśnienia. Gdyż w takich ramach nie może się zmieścić żadna rzetelna wypowiedź, która z reguły wymaga rozwinięcia myśli. Tej myśli ma teraz nie być. Zastrzeżenie zaś „ewentualnych skrótów", — teoretycznie bez zarzutu, — praktycznie, z braku innych możliwości, cofa nas o sto lat wstecz sprzed „ukazu" Aleksandra II-go. Pozornie, zestawienia moje wydać się mogą zarówno przesadne, jak może patetyczne. Tylko pozornie, gdyż de facto jest tak, jak to przedstawiam.

A teraz pytanie pod adresem Redaktora „Kultury": czy zdaje On sobie sprawę, że swoim kwietniowym „ukazem" odbiera kulturze polskiej jej ostatnią, indywidualną Wolną Trybunę?

Z poważaniem

Józef MACKIEWICZ

◆

New York, 19 kwietnia 1965

Szanowny Panie Redaktorze,

Przypuszczam, że czytelników „Kultury" zaciekawi dalszy raczej nieoczekiwany szczegół dotyczący świeżo ratyfikowanej konwencji przeciw dyskryminacji w wychowaniu wokół której ostatnio zrobiło się głośno *(Kultura* Nr 3/209 i *New York Times* 12. IV. 1965). Już sam fakt, że Związek Sowiecki i wszystkie komunistyczne państwa Europy Wschodniej (prócz Jugosławii) ratyfikowały konwencję zobowiązującą je do zapewnienia dzieciom wychowania religijnego a ich rodzicom swobody posyłania dzieci do szkół

innych niż państwowe jest chyba wystarczająco dziwny. Okazało się, że nie koniec na tym.

Stwierdziłem, że polski tekst umowy ogłoszony w „Dzienniku Ustaw" odbiega w tym punkcie w istotny sposób od autentycznego tekstu francuskiego. Porównanie obu tekstów poniżej daje tę niespodziankę:

„Art 5
b) Qu'il importe de respecter la liberté des parents et le cas échéant, des tuteurs légaux: 1⁰ de choisir pour leurs enfants des établissements autres que ceux des pouvoirs publics, mais conformes aux normes minimums qui peuvent être prescrites ou approuvées par les autorités compétentes; et 2⁰ de faire assurer *selon les modalités d'application propres à la législation de chaque Etat*, l'éducation religieuse et morale des enfants conformément à leurs propres convictions; qu'en outre, aucune personne ni aucun groupe ne devraient être contraints de recevoir une instruction religieuse incompatible avec leurs convictions";

„Rodzice i w odpowiednich wypadkach prawni opiekunowie powinni mieć możność, po pierwsze — *w granicach zakreślonych ustawodawstwem każdego państwa* — swobodnego posyłania swoich dzieci nie do państwowych lecz do innych zakładów nauczania, odpowiadających minimalnym wymaganiom ustalonym, albo zatwierdzonym przez właściwe organy oświatowe i po drugie — zapewnienia religijnego i moralnego wychowania dzieci zgodnie z ich osobistymi przekonaniami; nikomu indywidualnie, ani żadnej grupie osób, jako całości, nie należy narzucać religijnego wychowania niezgodnego z ich przekonaniami";

Jak widać właściwy tekst przewiduje pełną swobodę wyboru rodzicom, a odnośnie obowiązku zapewnienia wychowania religijnego dzieciom odwołuje się tylko do sposobów *stosowania* prawa właściwych danemu ustawodawstwu. Znacznie ostrzejszego zwrotu „ w granicach zakreślonych ustawodawstwem każdego państwa" nie ma w ogóle. Znajduje się on jednak, o dziwo, w tekście rosyjskim konwencji (U. N. Treaty Series t. 429, 1962, Nr 6193, str. 115), z którego polski przetłumaczono. Jak się tam dostał z protokołów Unesco stwierdzić nie można. O kwestii tej w czasie uchwalania konwencji na Konferencji generalnej w Paryżu w grudniu 1960 nikt ani słowem nie wspomniał. Komuś wpływowemu musiało bardzo zależeć na tym, by móc ratyfikować konwencję skierowaną głównie przeciw dyskryminacji rasowej nie zmieniając ustaw usuwających religię ze szkoły. W tym celu tekst rosyjski został, co tu ukrywać, wyraźnie przeinaczony. Szczyt tego, chyba nieprzypadkowego, bałaganu wynika z okoliczności, że wszystkie cztery teksty, tj. francuski, angielski i hiszpański zgodne między sobą i odbiegający od nich rosyjski, są równie autentyczne!

„Mała rzecz a wstyd". Tylko czy naprawdę taka mała?

Łączę wyrazy poważania

Aleksander Witold RUDZIŃSKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1965.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2e trimestre 1965

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redackji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315.20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZILIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 6335, Sao Paulo, Tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Ksiegarniach polskich w Paryzu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyc, Holon, Sokolow Nr. 40		15 £ Izr.	28 £ Izr
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; M. Krol, 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; « Zwiazkowiec », 1475 Queen St., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491 ; W.T. Drymmer, 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1,50 $ Can.	8,00 $ Can.	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : Jerzy Bienkowski, 627 Tracy St., Utica, N.Y., S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y., L. Dudarew Ossetynski, 1603 No Fuller Ave.; Hollywood 46, Cal.; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown 72, Mass.; T. Konopacki, 1242 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal., V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; R.J. Sas-Babczynski, 600 Imogen Ave., apt. 108, Los Angeles, Cal. 90026; Jan Wojcik, 24 Doris Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zaborski, Roma, via Gallia 60 Int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L.	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowość

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM CXI — Seria « Archiwum Rewolucji »

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

INNY ŚWIAT

• Książka Gustawa Herlinga-Grudzińskiego o łagrach sowieckich *Inny Świat* ukazała się w przekładzie na angielski (dwa wydania w Anglii, wydanie normalne i kieszonkowe w USA), niemiecki, hiszpański, włoski (drugie wydanie włoskie w przygotowaniu), szwedzki, japoński, chiński i arabski. Pierwsze wydanie polskie z roku 1953 zostało wyczerpane.

Str. 256 Cena egz. 13.50 F (20/-; $ 3.00)

◆

TOM CXII

WITOLD GOMBROWICZ

KOSMOS

Po *Ferydurce*, *Trans-Atlantyku* i *Pornografii* — Kosmos. Tytuł jest „kosmiczny". Czy treść odpowiada tytułowi? Czy zawartość tego utworu zakrojona jest rzeczywiście na skalę kosmiczną? Czytelnik sam się przekona. Tutaj wystarczy powiedzieć, że jest to powieść prawie kryminalna, o akcji żywej i postaciach plastycznych, dramatyczna, liryczna, miejscami humorystyczna. Wpatrzony w rysy i plamy sufitów, ścian, pochylony nad śmietnikami bohater-detektyw szuka „znaków", którymi rzekomo ktoś go osacza... i to doprowadza go do zdumiewających zdarzeń, przygód rozpaczliwych, do „wezbrań" szalonych i bolesnych „rozpadów" rzeczywistości. Rzecz dzieje się w Zakopanem. Tatry, ta „burza rycząca materii", wdzierają się w akcję.

Str. 144 Cena egz. 9 F (13/-; $ 2,00)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe)

Cena 5,00 F